ROK XVII NR 12/853 ŁÓDŹ, 21 MARCA 1974 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ODGŁOSY

► CO WYBIERZE TEATR – Stefan Kubicki ► TEATR, TEATR... wypowiedzi dyrektorów teatrów ► NA KSZTAŁT DRZAZGI SMOLNEJ – Piotr Kornakiewicz ► GONZAGA ZIÓŁKOWSKI ► Igor Śmiałowski ► WOJNA I PIÓRO – Tadeusz Szewera ► NA WOKANDZIE MODEL – Krzysztof Pogorzelec ► KONFRONTACJE 73 – Ewa Nurczyńska ► PEWNEGO DNIA W GRUDNIU... –Piotr Słowikowski ► REQUIEM NA ŚMIERĆ ŁOSIA – Mieczysław Michał Szargan ► WIĘZIENIE – Georges Simenon ► REPORTAŻE ► FELIETONY ► RECENZJE ► POLEMIKI ► SEX W LITERATURZE ►

ANDRZEJ MAKOWIECKI

WIELKI ESTRADOWY JUBEL

Czytaj na str. 5

☆

ESTRADA

KONRAD FREJDLICH

BEZDOMNOŚĆ PIOSENKI

Czytaj na str. 5

Fot. J. MAKAŁ

ANDRZEJ BLAJER

(I)

WILCZE GNIAZDO

Pisząc na temat środków bezpieczeństwa podejmowanych przez ochronę führera w różnych miejscach jego pobytu nie sposób pominąć kwater polowych, a zwłaszcza kwatery głównej w Kętrzynie – siedzib, w których Hitler w czasie wojny spędzał najwięcej czasu. Kwater tych było kilka, w niektórych z nich führer przebywał tylko krótkie okresy czasu jak np. w „Tannenburgu" (okolice Freudenstadt w Schwarzwaldzie), czy w „Wolfschlucht II", (pod Marrival w pobliżu Soissons we Francji, gdzie był tylko raz, mianowicie 17 czerwca 1944 r.) – w innych, czas jego pobytu był dłuższy jak w „Adlerhorst", czy w Winnicy na Ukrainie.

W okresie kampanii francuskiej w maju i czerwcu 1940 r., Hitler przebywał kolejno w kwaterach „Felsenfest" w Wintereifel w pobliżu Rodern, w Wolfschlucht I" w Belgii pod Bruly-de-Pesche, w „Tannenburgu" pod Freudenstadt, oraz w „Adlerhorst" koło Bad Nauheim gdzie z niewielkimi przerwami pozostawał blisko do końca października. Od inwazji na Związek Radziecki tj. w okresie od czerwca 1941 r. do października 1944 r. stałym miejscem pobytu führera stała się „Wolfschanze" oraz przejściowo „Winnica". Jakiś czas spędził on także w „Berghofie", a ostatnią kwaterą główną był „Adlerhorst" skąd Hitler kierował na przełomie grudnia 1944 r. i stycznia 1945 r. ofensywą w Ardenach. Później już do końca przebywał w swoim bunkrze w Kancelarii Rzeszy w Berlinie.

Chociaż niebezpieczeństwo dokonania zamachu w kwaterze polowej wydawało się być daleko mniejsze niż np. podczas publicznych wystąpień führera, to jednak kroki podejmowane przez jego osobistą ochronę wcale nie były mniej rygorystyczne. Najlepszy tego przykład stanowi wizyta Hitlera w jego kwaterze głównej na froncie zachodnim „Wolfschucht II" – 17 czerwca 1944 r., w dwa tygodnie po rozpoczęciu inwazji aliantów. Zanim führer przybył na miejsce, jednostki SS tak hermetycznie „zaryglowały" dostęp do kwatery, że spowodowało to pewne dysonanse między SS, a stacjonującymi tam jednostkami Wehrmachtu, które podjęte środki bezpieczeństwa, poczytały sobie za zniewagę.

W czasie obiadu z udziałem feldmarszałków von Rundstedta i Rommla, Hitler nie przystąpił do jedzenia zanim podane potrawy nie zostały na jego oczach sprawdzone, czy nie zawierają trucizny. Jak wspomina bezpośredni uczestnik obiadu gen. Hans Speidel w swojej książce: „Invasion 1944: Ein Beitrag zu Rommels und des Reiches Schicksal" – w trakcie jego trwania, za krzesłem führera stało przez cały czas dwóch SS-manów z „Leibstandarte" – oto jak dalece Hitler czuł się „bezpieczny" wśród swoich generałów.

Przy tych środkach ostrożności ze strony jego ochrony, wydawało się wprost nie do pomyślenia, aby zamachu można było dokonać w którejś z kwater głównych. Wszystkie one były poza tym starannie zabezpieczone na wypadek bombardowań, które zwłaszcza w latach 1943–1944 szczególnie dotkliwie dawały się Niemcom we znaki. Znaczna część tych kwater składała się z systemu bunkrów mniej lub bardziej odpornych na używane wówczas bomby lotnicze. Niemniej w miarę postępów w technice wojennej schrony te były wciąż wzmacnia-

Dalszy ciąg na str. 4

JAN BĄBIŃSKI

ŁOKCIEM NIE ZMIERZYSZ

Budynek jest niepozorny, nie rzuca się w oczy. Można przejść i nawet nie zauważyć, że to Instytut Włókiennictwa. Jest to pałacyk poprzerabiany na biura, z braku innych pomieszczeń. W Łodzi się mieszkało i pracowało. Mało kto jednak w Łodzi urzędował. Toteż biurowych budynków budowało się tu mało.

W Łodzi się harowało. Od myślenia był kto inny. Wyższe uczelnie? Placówki badawcze? Skąd? Tego nie było. Powstały później. Dawne kamienice, pofabrykanckie pałacyki, wystrojone w napisy, szyldy, portiernie.

— **Do czasu...** — powiedział docent **ZBIGNIEW WAWRZASZEK**, dyrektor Instytutu Włókienniczego.

I zaczął się rozwodzić o planach i perspektywach. Jak to szef. Wizję mieć musi, inaczej by utknął na mieliźnie, ugrzązł w stojącej wodzie.

— **Proszę, niech pan to przejrzy** — podsunął mi wielostronicowy dokument i wyszedł.

1.

Zostałem sam w dużej sali konferencyjnej, która kiedyś powykładana perskim zapewne dywanem, służyła

Dalszy ciąg na str. 3

JAN KŁOSINSKI

KIERUNEK HAWANA

Popularność żeglarstwa w regionie łódzkim wypływa z tego, że ludzie w dużych ośrodkach przemysłowych silniej odczuwają potrzebę tzw. „wyrwania się". Liczba zarejestrowanych żeglarzy w Łódzkim Okręgowym Związku Żeglarskim stawia nasz okręg w czołówce krajowej, mimo braku miejsca do uprawiania żeglarstwa „niedzielnego". Szczególnie ważne jest, aby młodym ludziom umożliwić pierwsze kontakty z żeglarstwem i nadać temu zetknięciu właściwy kierunek. I w tej materii łódzkie żeglarstwo ma znaczne osiągnięcia. Jest to, w głównej mierze, zasługa klubów harcerskich skupiających drużyny młodzieży starszej z Chorągwi Łódzkiej i Ziemi Łódzkiej.

Początki były skromne. Kiedy w 1956 roku rozpoczynaliśmy działalność w harcerskich drużynach wodnych, brak było sprzętu, brak było doświadczenia. Pływaliśmy po jeziorach na pożyczonych jachtach. Od czasu do czasu – rejs po Bałtyku na jachtach powstającej floty harcerskiej. Zawsze było to pływanie szkoleniowe. Uczyliśmy się od bardziej doświadczonych i przekazywaliśmy własne doświadczenia młodszym, organizowaliśmy drużyny wodne. Zdobywaliśmy coraz wyższe stopnie harcerskie i żeglarskie. Przyszły również pierwsze sukcesy na spartakiadach i w regatach. W tej chwili harcerstwo posiada około 40 jachtów pełnomorskich i zatokowych. Posiadamy także doświadczenie w żeglarstwie morskim i niezbędne stopnie żeglarskie. Pozwoliło to realnie pomyśleć o rejsie oceanicznym. Wybór Hawany jako portu docelowego był wynikiem coraz lepszej i pogłębiającej się współpracy między ZHP i Federacją SZMP a organizacjami młodzieżowymi Kuby – Związkiem Pionierów Kubańskich (UPC) i Związkiem Młodych Komunistów Kubańskich (UJC). Główna Kwatera ZHP uznała za celową wizytę na Kubie grupy instruktorów specjalizujących się w działalności na polu wychowania morskiego i wodnego.

WYJŚCIE

Siódmego sierpnia, po uroczystym pożegnaniu w Gdyni, jacht opuszcza basen jachtowy i kryje się w przedwieczornej mgiełce. Tuż za główkami portu przy pławie świetlnej GD–S, stojąc w bezwietrznej pogodzie odetchnęliśmy. Była to pierwsza chwila relaksu od wielu dni i nocy wypełnionych ciągłą pracą i bieganiną. Siedząc w kokpicie „Odkrywcy" i popijając mocną herbatę uświadomiliśmy sobie czekający nas jeszcze ogrom pracy. Nagle z mgły

Dalszy ciąg na str. 3

Foto. K. Pankiewicz

ŁODZIANIE 1973

Ogłaszany przez nas od sześciu lat plebiscyt czytelniczy na najpopularniejszego łodzianina roku od początku swego istnienia cieszył się wielkim zainteresowaniem, czego najlepszym potwierdzeniem jego trwałość i pewna już, mimo wszystko, tradycja. Stanowi on bowiem nieformalną, a tym samym w dużym stopniu autentyczną próbę bilansu dorobku miasta w dziedzinie tak delikatnej i złożonej jak ludzkie postawy i charaktery, społeczna aktywność i zaangażowanie w pracy. Zdawaliśmy sobie jednocześnie sprawę z tego, że zaproponowane przez nas sylwetki kandydatów stanowią tylko cząstkę pocztu ludzi, którzy z niemałym poświęceniem przyczyniają się do codziennego rozkwitu Łodzi, podnoszenia jej roli i znaczenia w kraju. Ale mimo swej ograniczoności i niedoskonałości plebiscyt nasz odgrywa przecież niemałą rolę w popularyzowaniu postaw społecznie najwartościowszych, godnych upowszechnienia.

Szósty z kolei plebiscyt, nie różniąc się charakterem od poprzednich, wprowadził mimo wszystko pewną innowację. Po raz pierwszy „Odgłosy" zyskały cennego sojusznika w zaprzyjaźnionej z nami prasie i ogłosiły plebiscyt wspólnie z **„Expressem Ilustrowanym"**. Życzliwego poparcia wspólnej akcji łódzkich gazet udzielił **Dom Handlowy „Uniwersal"** fundując nagrody dla czytelników biorących udział w konkursie.

Pierwszymi sygnałami powodzenia plebiscytu w tym nowym kształcie były dla nas nadchodzące listy: poważne i żartobliwe, prozą i wierszem, a już na pewno pisane sercem.

„Nie znęciła Ich stolica,
Ani innych miast uroda.
W szarej Łodzi pozostali,
Aby jej splendoru dodać"

popierała swoich kandydatów na łodzian roku 1973 p. **Krystyna Kendrzyńska.** Pan **Zygmunt Kustrzyński** wypowiedział się fraszką:

„Jedna jedyna
wybrana dziewczyna:
Jadzia.
Łodzianki
lubią niespodzianki"

Niespodzianki nie było. Listy stanowiły zaledwie cząstkę poczty konkursowej, w której znalazło się blisko 2000 kuponów plebiscytowych od naszych czytelników, co poważnie przedłużyło obliczanie głosów oddanych na pretendentów do tytułu Łodzianina Roku. Ostatecznie laureatami tegorocznego plebiscytu zostali:

ZDZISŁAW CIECHANOWSKI, cybernetyk

JADWIGA ANDRZEJEWSKA, aktorka

ANDRZEJ OLCZAK, robotnik

Wszystkim im serdecznie gratulujemy. Społecznego uznania gratulujemy także pozostałym kandydatom naszego plebiscytu, na których padła także niemała ilość głosów czytelniczych.

A oto Czytelnicy, którym w wyniku losowania kuponów plebiscytowych przypadły nagrody ufundowane przez **WP PDT „UNIWERSAL".**

Nagroda I – telewizor Beryl **HELENA PIETRZAK,** Łódź

Nagroda II – odbiornik tranzystorowy – **REGINA BARANOWSKA,** Łódź

Nagroda III – adapter „Mister Hit" – **MARIA CIECHULSKA,** Pabianice.

Szczęśliwym zdobywcom nagród także serdecznie gratulujemy. O terminie i miejscu odbioru tych nagród poinformujemy oddzielnie.

REDAKCJE „ODGŁOSÓW"
i „EXPRESSU ILUSTROWANEGO"

* * *

Wśród czytelników, którzy nadesłali rozwiązania naszej świątecznej krzyżówki, bony książkowe w wysokości 150 zł wylosowali:

Irena Borowska-Ciska, Łódź, Brzechwy 9/149, **Jadwiga Szymańska,** Łódź, Franciszkańska 170, **Andrzej Ciechański,** Zgierz, pl. Kilińskiego 8 — TGW, **Hanna Masica,** Wrocław, Kolbuszewska 9/2 i **Stanisław Tosiek,** Łódź, Daniłowskiego 7/16.

PO PLENUM KŁ PZPR

DLA KRAJU, ŁODZI i REGIONU

„Zadania łódzkiego środowiska naukowego na rzecz rozwoju kraju i Łodzi" były tematem ostatniego posiedzenia plenarnego Komitetu Łódzkiego PZPR, które odbyło się w dn. 18 b.m. W obradach, którym przewodniczył I sekretarz KŁ tow. BOLESŁAW KOPERSKI, który także wygłosił referat wprowadzający – wzięli udział: członek Biura Politycznego, sekretarz KC tow. FRANCISZEK SZLACHCIC i członek Prezydium Rządu, minister Szkolnictwa Wyższego i Techniki prof. dr JAN KACZMAREK oraz licznie zaproszeni przedstawiciele świata naukowego Łodzi.

* * *

Trudno mówić o dniu dzisiejszym łódzkiej nauki, jej znaczeniu pośrednim i bezpośrednim na kształt i oblicze wielkomiejskiej algomeracji, bez pobieżnego chociażby spojrzenia wstecz, bez przypomnienia, że przedwojenna Łódź była naukową pustynią, a obecnie stała się ośrodkiem naukowym o znaczeniu ogólnopolskim. Mimo odbudowy zniszczeń wojennych i okresu intensywnej industrializacji, wkrótce po wojnie powołano szereg wyższych uczelni, które stały się podstawą obecnego dorobku naukowego.

Obecnie w naszym mieście działają: Uniwersytet, Politechnika, dwie Akademie Medyczne (cywilna i wojskowa) oraz wyższe szkoły artystyczne: Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Teatralna i Telewizyjna, Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna i Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych. Uczelnie te w chwili obecnej kształcą około 30 tys. studentów, a w okresie powojennym mury łódzkich uczelni opuściło ok. 60 tys. absolwentów.

Znaczna część tej ogromnej armii specjalistów pozostała w naszym mieście i regionie zasilając kadrowo gospodarkę i administrację, przemysł, służbę zdrowia i placówki kultury. Bez ich udziału tak dynamiczny rozwój aglomeracji łódzkiej nie byłby praktycznie możliwy.

Łódź jest nie tylko dużym ośrodkiem akademickim. W okresie powojennym poważnie rozwinęło się tu także naukowe zaplecze przemysłu i obecnie działa 18 resortowych instytutów naukowo badawczych i centralnych laboratoriów; istnieje także prężny ośrodek badawczy Polskiej Akademii Nauk.

W naturalny niejako sposób, zgodnie ze specyfiką przemysłu i dominacji określonych branż Łódź stała się centrum w zakresie badań i kształcenia kadr dla przemysłu lekkiego i przemysłu maszyn włókienniczych. Nasze miasto jest także ważnym ośrodkiem naukowo-badawczym dla przemysłu spożywczego (szczególnie cukrownictwa), motoryzacyjnego, elektro-energetycznego (zwłaszcza budowy transformatorów dużej mocy), chemicznego (polimery, fosfor), farmaceutycznego, papierniczego oraz chłodnictwa.

Poważne miejsce na mapie naukowej kraju zajmują placówki działające na polu nauk ekonomicznych i socjologicznych, w dziedzinie biologii i teorii filmu, w zakresie nauk medycznych: endokrynologii, chorób wieńcowych serca, medycyny pracy i medycyny społecznej. Tutaj także znajdują się unikalne w skali kraju wydziały jak np. Projektowania Ubioru i Tkaniny w PWSSP oraz centrum kształcenia kadr reżyserskich dla filmu i telewizji. Stanowi to poważne zaplecze naukowe i rozwojowe dla szeregu przemysłów w kraju, dla całej gospodarki Polski, Łodzi i regionu łódzkiego, spełniające poważną rolę kulturo-twórczą.

Nauka nigdy i nigdzie nie funkcjonuje w próżni, a w naszej socjalistycznej rzeczywistości szczególnie. Powiązanie nauki z potrzebami społecznymi jest oczywiste, ale niełatwe. Potrzebna jest tu umiejętność trafnego wyboru i hierarchizacja problematyki badawczej, nie przez pryzmat rozwoju danej dyscypliny, ale całości potrzeb społeczeństwa. W ten sposób wzrasta społeczna ranga uczonego, jest on nie tylko ekspertem, ale i działaczem, aktywnym współorganizatorem przeobrażeń społecznych. Rolę i rangę nauki weryfikuje praktyka, to, w jakim stopniu odpowiada ona na zamówienie społeczne i jak dalece je zaspokaja. Nauce musi więc towarzyszyć wdrożenie, wejście w krwiobieg gospodarki lub wzmożenie krążenia myśli i idei w ludzkiej świadomości.

Jest to oczywiście jedna strona medalu. Społeczna przydatność badań naukowych zależy niemal w równej mierze od gotowości gospodarki do owego wdrażania, od popytu na twórczość naukową. Model gospodarki jakiego się ostatnio dopracowujemy stwarza taką sytuację. Różnorodny system bodźców, wyzwalanie inicjatyw i zaangażowania załóg, przemyślane i wypraktykowane systemy organizacji — to m. in. gwarancje pomyślnego mariażu nauki z praktyką, chociaż byłoby przesadą twierdzenie, że dalej zadziała już automatyzm, wszystko będzie biec gładko. Najlepsze bowiem systemy sprawdzają się przez działania ludzi.

Duży i wymierny wkład łódzkiego środowiska naukowego obejmuje wszystkie ważniejsze dziedziny nauki. Nie sposób w tym miejscu wymienić choćby osiągnięć najważniejszych. (N. b. środki masowej informacji zrobiły wiele dla popularyzowania tych osiągnięć, ale patrząc na ten twórczy bilans wydaje się, że jednak za mało!) Efekty ekonomiczne tych osiągnięć idą w miliony i miliardy złotych, chociaż nie wszystko da się i trzeba przeliczać na złotówki. Liczby te, gdyby je przytoczyć, potwierdzą jeszcze raz, że inwestowanie w naukę przynosi największe korzyści.

Trzeba przy tym powiedzieć, że wysiłek włożony w stworzenie bazy materialnej nauki, kształcenie i doskonalenie kadry, był ogromny. W skali kraju w badania naukowe inwestujemy nieco ponad dwa procent dochodu narodowego i jest to, przynajmniej obecnie, granica naszych możliwości. Dodajmy dla jasności, granica wysoka, na poziomie niemal wysokouprzemysłowionych krajów świata. Rzecz obecnie w tym, że podobnie jak w gospodarce tak i w nauce dalszy wzrost winien mieć charakter głównie intensywny, a więc poprzez maksymalne wykorzystanie istniejących możliwości. Nie negując potrzeb i to często palących np. w zakresie budownictwa inwestycyjnego i wyposażenia w najnowocześniejszą aparaturę — drogę rozwiązań intensywnych Plenum Komitetu Łódzkiego PZPR uznało za podstawową. Wysoka ocena dotychczasowego wkładu łódzkiego środowiska naukowego na rzecz rozwoju kraju i Łodzi, musi iść w parze ze świadomością, że przed naszą nauką staje dalszy szereg złożonych i jakościowo wyższych zadań. Do tego dochodzi jeszcze czynnik czasu, obecnie najważniejszy miernik, mający nie tylko znaczenie ekonomiczne, ale wychowawczo kształtujący postawy ludzkie. Musimy się spieszyć, żeby nie odpaść w światowym wyścigu... W wielu wypowiedziach zwracano uwagę na ten ważny moment. I nie tylko zwracano uwagę, lecz wysuwano konkretne postulaty jak właśnie w tym wyścigu nie tylko nadążać, ale wyprzedzać innych.

JERZY WAWRZAK

W związku z oddelegowaniem do pracy państwowej i mianowaniem Konsulem Generalnym PRL w Leningradzie tow. **JERZEGO CHABELSKIEGO,** Plenum Komitetu Łódzkiego odwołało go z funkcji sekretarza KŁ składając mu wyrazy wysokiego uznania i podziękowania za dotychczasową, wieloletnią pracę w aparacie partyjnym, gdzie tow. Jerzy Chabelski pełnił z dużą ofiarnością i zaangażowaniem szereg odpowiedzialnych funkcji.

Na wniosek Egzekutywy KŁ PZPR Plenum KŁ wybrało jednomyślnie sekretarzem KŁ tow. **ZBIGNIEWA FALIŃSKIEGO,** dotychczasowego kierownika Wydziału Agitacji i Propagandy KŁ. Tow. Zb. Faliński ma 45 lat, z wykształcenia jest magistrem historii. Od lat jest związany z Łodzią, pełnił tu szereg odpowiedzialnych funkcji, jako pracownik frontu ideologicznego.

W związku z wyborem na zaszczytne i odpowiedzialne stanowisko, tow. ZB. FALIŃSKIEMU, swego czasu kierownikowi działu społecznego „Odgłosów", zespół naszego pisma składa serdeczne gratulacje.

(JW)

NOTY i OPINIE

▲ **SERDECZNIE I GOŚCINNIE** podejmowaliśmy delegację partyjno-rządową bratniej Czechosłowacji. Na czele delegacji stał sekretarz generalny KC KPCz — **Gustav Husak.** Delegacja CSRS zwiedziła Warszawę, Gdańsk, gdzie zapoznała się z przebiegiem budowy Portu Północnego, spotkała się z załogą Stoczni im. W. Lenina w Gdańsku oraz z przedstawicielami klasy robotniczej Stolicy.

Na zakończenie wizyty podpisano wspólny komunikat, w którym między innymi stwierdzono:

„Delegacje podkreśliły, że podstawową gwarancją dalszego pomyślnego socjalistycznego rozwoju obu bratnich krajów jest konsekwentna marksistowsko-leninowska linia budownictwa socjalistycznego, dynamicznego wzrostu gospodarki i stałego podnoszenia stopy życiowej ludzi pracy oraz umacnianie bratnich więzi ze Związkiem Radzieckim, zacieśnianie jedności ideowo-politycznej i zwartości państw — członków Układu Warszawskiego i innych krajów socjalistycznych zespolonych ideą marksizmu-leninizmu i proletariackiego internacjonalizmu".

Obie delegacje, prowadzące rozmowy w czasie wizyty delegacji partyjno-rządowej CSRS w Polsce podpisały deklarację o umacnianiu przyjaźni i pogłębianiu współpracy między PRL i CSRS.

Delegacja partyjno-rządowa CSRS zaprosiła w imieniu KC KPCz i rządu CSRS polską delegację partyjno-rządową do złożenia wizyty w Czechosłowacji. Zaproszenie zostało przyjęte z zadowoleniem.

▲ **W PANORAMIE TRZYDZIESTOLECIA** swój dorobek prezentuje Bydgoskie. Z tej okazji — podobnie jak to miało miejsce, kiedy swój dorobek prezentowało Lubelskie i Białostockie — „Życie Warszawy" przedstawiło swoim czytelnikom kolumnę, poświęconą sprawom Bydgoskiego. Kolumna nosi tytuł: „Życie Bydgoszczy" i prezentuje najważniejsze informacje o osiągnięciach Bydgoszczy i Bydgoskiego.

▲ **„POLONEZ"** w 15 miesięcy. „Polonez" — to nowoczesny hotel, jaki w pierwszych dniach czerwca 1974 roku oddany zostanie do użytku. Decyzja o budowie zapadła w lipcu 1972 roku. We wrześniu 1972 roku rozpoczęto prace ziemne. Hotel budowało Poznańskie Przedsiebiorstwo Budowlane nr 3. Załogi „Mostostalu" z Poznania i Zabrza zmontowały część wysoką hotelu liczącą 47 metrów (17 kondygnacji) w 3 miesiące. Hotel postawiono z wielkich elementów prefabrykowanych.

„Polonez" jest hotelem „Orbisu". Otrzymał on jako pierwszy w kraju (poza „Forum") klimatyzację. Do jego wyposażenia użyto najlepszych materiałów produkcji krajowej i zagranicznej. Dysponować będzie 612 miejscami w pokojach jedno- i dwuosobowych oraz apartamentach. Do dyspozycji gości hotelowych oddana będzie restauracja, bary, klub hotelowy, sklepy, stoiska, kioski, zakłady usługowe, sauna oraz garaż dwupoziomowy na kilkaset samochodów.

▲ **„SALIMA-74"** to nazwa pierwszego w krajach socjalistycznych salonu żywności, jaki odbył się niedawno w Brnie. W salonie tym udział wzięło 6 polskich central eksportowych. Przyznano 21 złotych medali. Dostali je między innymi Kubańczycy za hawańskie cygara, ZSRR za wódkę „ekstra", Francuzi za koniak „Camus — Napoleon" oraz Polacy, czyli „Hortex" za... buraczki konserwowe.

▲ **KWIATY W TKALNI** ustawili naukowcy z Politechniki Łódzkiej. Chodziło im nie tylko o estetykę miejsca pracy, ale o zmniejszenie hałasu. Dla zbadania, czy ustawienie kwiatów doniczkowych o dużych liściach wpłynie na ilość decybeli wybrano kilka tkalni w różnych fabrykach. Jedną z nich była tkalnia ZPB im. J. Marchlewskiego, w której pracuje 150 krosien i gdzie panuje hałas o sile 99 decybeli.

W hali tkalni u „Marchlewskiego" ustawiono 240 doniczek i po przeprowadzeniu odpowiednich pomiarów okazało się, że ilość decybeli wyraźnie zmniejszyła się.

KSIĄŻKI DAWNE

wydane przed 1939 rokiem

zakupuje

i

przyjmuje w komis

ANTYKWARIAT „DOMU KSIĄŻKI" w ŁODZI,

ul. PIOTRKOWSKA 133
tel. 628-12

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.
Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

KRZYSZTOF POGORZELEC

oko na gospodarkę

NA WOKANDZIE MODEL

Prawdę mówiąc to jestem w przysłowiowej „kropce". Mam bowiem prezentować PT Czytelnikom „Odgłosów" aktualne problemy ekonomiczne, co już samo w sobie jest zadaniem — powiedzmy — złożonym, a do tego jest to przecież tygodnik kulturalno-społeczny, co z miejsca każe patrzeć i chyba pisać nieco inaczej o wszystkim tym co się łączy z pojęciem gospodarki. Było nie było — popróbuję. A chyba i warto, bo jak zauważa J. K. Galbraith „gospodarka, tak jak inne przejawy życia społecznego nie przystaje do prostego, spoistego wzorca. Więc przeciwnie, często wydaje się bezładna, prymitywna i nielogiczna. Ale człowiekowi potrzebne jest wyjaśnienie czy wytłumaczenie zjawisk gospodarczych". No więc — zacznijmy i to od razu od pryncypiów.

* * *

Pękające w szwach od naporu klientów wnętrza sklepów i domów towarowych, ludziska wybierają co tam komu potrzebne dla osobistego użytku, do swoich mieszkań by się w nich lepiej, wygodniej żyło i odpoczywało. No cóż, okres wiosennych zakupów można z łatwością i bez obawy o popełnianie błędów przewidywać, że po krótkim stosunkowo zmniejszeniu naporu na nasz rynek wewnętrzny przyjdzie następna „fala" — zakupy towarów potrzebnych w okresie letnim, hossa na tzw. artykuły urlopowe.

I tak się już dzieje nie tylko w naszym kraju. Jest to po prostu zjawisko wynikające z obiektywnych przyczyn i rządzące się takimi samymi obiektywnymi prawami.

Zakupy. No cóż — powiecie — zjawisko najbardziej banalne, zwyczajne: potencjalny nabywca jakiegoś towaru wychodzi z pieniądzem na rynek, by tam znaleźć odpowiedź w określonej ofercie handlowej, w wyborze produktów akurat potrzebnych, poszukiwanych, przy czym te dwie ostatnie sprawy nie są znowu takie proste do rozszyfrowania, jakby się to pozornie mogło wydawać. Gdyby było inaczej, na czym opierałyby swoją egzystencję tak liczne w wielu krajach instytucje dopisujące nawet przy swoich nazwach słowo „naukowe", a zajmujące się badaniem struktury popytu w poszczególnych sezonach, regionach kraju na wsi i w mieście, ba nawet w odniesieniu do poszczególnych grup zawodowych.

W porządku. Jeśli jednak przypatrzeć się bardziej wnikliwie całej tej skomplikowanej szaradzie, to rzecz pokazuje się nie tylko jako „zwyczajne" zjawisko zakupów, ale w postaci pewnych złożonych procesów gospodarczych, społecznych, niekiedy nawet konfliktowych. Szczególnie wtedy, gdy klient nie może znaleźć na rynku potrzebnego mu i poszukiwanego wyrobu. Jest to część naszej ekonomiki, gdzie sprawdza się społeczna przydatność danego rodzaju wyrobu produkcji całych niekiedy potężnych gałęzi przemysłu, słuszności bądź tej jej braku – podejmowanych tam decyzji technologicznych i gospodarczych.

W taki to sposób prozaiczny zdawałoby się element naszego życia ekonomicznego, ukazuje swoją inną i niezmiernie ciekawą twarz. Ale – i o to w istocie tutaj nie chodzi. W czynionych przez nasze społeczeństwo zakupach mieści się przecież również przynajmniej jakaś cząstka owego modelu konsumpcji – rzecz niezmiernie istotnej wagi dla działaczy gospodarczych układających program rozwoju ekonomiki całego kraju, ale chyba również sprawa istotna dla polityków.

Jest interesującą rzeczą, że ten pozornie, tak pozornie łatwy do rozgryzienia problem wywołuje tyle dyskusji i sporów wśród najwybitniejszych teoretyków parających się zagadnieniem programowania rozwoju życia społeczno-gospodarczego. Jeden z nich – J. Robinson, uważa, że model spożycia to uporządkowany schemat głównych procesów, które mogą zachodzić w rzeczywistości, że jest to „projekcja określonej koncepcji na ekran rzeczywistości". Naturalnie, w tej koncepcji będącej punktem wyjścia dla budowania planów długoterminowych muszą się mieścić zarówno obyczaje konsumentów, jak i tendencje nurtujące ośrodek programujący, a także samo społeczeństwo, dla którego te projekty są przewidywane bądź nawet już ustalone. W warunkach gospodarki uspołecznionej obok potrzeby i możliwości kształtowania takiego wzorca, występuje jeszcze inny czynnik – ukształtowanie takiego modelu, który odpowiadałby i spełniał społeczne klasowe cele państwa socjalistycznego.

I tutaj wypada nam się trochę pokłócić, no, może pewne sprawy wyjaśnić, jako że wokół modelu konsumpcji nagromadziło się bardzo wiele nieporozumień. Tak więc np. część naszego społeczeństwa pod tym pojęciem rozumie praktycznie tylko zestaw produktów spożywczych nabywanych w sieci handlowej, a nie uwzględnia tej prawdy, że ten wzorzec konsumpcji w swej treści jest niezwykle bogaty i tkwią w nim także wydatki przeznaczone na usługi, mieszkanie i jego wyposażenie, wszystkie te środki, jakie przeznaczamy na cele związane z oświatą, nauką, kulturą, czy wreszcie zdrowiem, ochroną naturalnego środowiska człowika, a i spożytkowaniem wolnego od pracy czasu poprzez sport i turystykę. W takim ujęciu model konsumpcji jawi się zgoła inaczej i raczej należałoby chyba mówić o wykształceniu pewnego stylu życia, które narzuca nam zarówno aktualny rozwój potencjału gospodarczego kraju, społeczne warunki, w których żyjemy, jak i potrzeby oraz obyczaje obywateli PRL tudzież tendencje nurtujące ośrodek programujący dalszy rozwój społeczny.

Nie oznacza to jednak, że ten styl, czy wzorzec konsumpcji jest po prostu zbiorem indywidualnych życzeń i ogólniejszej natury tendencji. Niewątpliwie musi on być programowany, a jak mówi nasz znakomity ekonomista prof. dr Edward LIPIŃSKI – przy tworzeniu takiego modelu trzeba uwzględnić określoną hierarchię potrzeb, a sam model ma odpowiadać wyższej jakości życia, takiej jakości, która oznacza lepszy, bardziej wszechstronny rozwój intelektualny człowieka, jak i dostatniejsze warunki bytowania. W takim więc ujęciu model konsumpcji składa się niejako z dwóch części. Z jednej strony w jego skład wchodzą niewątpliwie również i te prozaiczne zakupy rozmaitych wyrobów, a z drugiej, inne przejawy życia społecznego wyrażające się właśnie w owych treściach kulturalnych i oświatowych czy rekreacyjno-sportowych.

Wtedy dopiero – po uwzględnieniu tych wszystkich elementów, możemy chyba mówić o możliwie pełnym wzorcu konsumpcji w warunkach ustroju socjalistycznego, wzorcu czy raczej stylu życia naszego społeczeństwa.

Biorąc pod uwagę i uwzględniając wszystkie te ogólne stwierdzenia czy raczej założenia, o których należy pamiętać, jeśli mówimy o modelu konsumpcji nie możemy się równocześnie uchylać od innych bardziej szczegółowych, ale nie mniej istotnych pytań ściśle wiążących się z tym problemem. Choćby sprawa – komu i ile".

Są jeszcze i inne problemy, które musimy rozwiązać a przynajmniej mieć jasność w tych kwestiach właśnie teraz, gdy programujemy wzorzec czy jak chcą inni – styl życia naszego społeczeństwa. Już nie tylko na następną 5-latkę, lecz nawet poza rok 2000. W tym przypadku taka dalekosiężna prognoza jest bowiem potrzebna, a jej składowymi czynnikami musi być bardzo dokładne i precyzyjne rozeznanie tendencji i obyczajów występujących w rozmaitych środowiskach społecznych, zawodowych, w mieście i na wsi, struktura popytu na określone produkty czy usługi; bądź ogólniejszej natury świadczenia. Przyjmując także iż również w następnych latach w naszym modelu konsumcji coraz większą rolę będą odgrywały produkty zakwalifikowane niegdyś do tzw. działu „B" – czyli właśnie spożycia, musimy sobie już dziś zdawać sprawę nie tylko, z aktualnie występujących opóźnień, ale wybrać odpowiedni model preferujący zarówno tendencje ośrodka programującego, jak i tendencje występujące w całym społeczeństwie. Chodzi po prostu o to, aby te dążenia w jakimś punkcie nie rozmijały się, co mogłoby prowadzić do niepotrzebnych i szkodliwych z punktu widzenia społecznego napięć osłabiających tempo rozwoju naszego kraju.

I tutaj nasuwają się znowu liczne pytania, jak choćby i takie: czy w dalszym ciągu lansować dosyć prymitywny model, w którym największy ciężar gatunkowy mają artykuły spożywcze czy też popatrzeć głębiej i dążąc do wyrównania występujących jeszcze niedomagań wskazywać drogi, które już dziś obowiązują w krajach najbardziej rozwiniętych. Niewątpliwie w tej dziedzinie musi tutaj dojść do jakiejś rozumnej „ugody", przy czym jednak niewątpliwą rzeczą jest, że w naszym modelu konsumpcji szczególne preferencje muszą otrzymać dobra trwałego użytku, których masowa produkcja zrewolucjonizowała strukturę i charakter całego spożycia w najbardziej rozwiniętych gospodarczo krajach. Powiedzmy natomiast sobie otwarcie, że w tej dziedzinie właśnie nasz kraj wlecze się ciągle na dalekich tyłach „peletonu", dotyczy to np. nie tylko liczby samochodów osobowych przypadających na 1.000 mieszkańców, ale także innych dóbr trwałego użytku, w gruncie rzeczy łatwiej dostępnych, takich, jak aparaty fotograficzne, projektory, kamery, sprzęt turystyczny i sportowy. Taki wybór, jak również naturalne tendencje do radykalnej poprawy sytuacji mieszkaniowej w naszym kraju określają również inny jeszcze kierunek działania, a mianowicie możliwie najszerszy rozwój produkcji wszelkiego rodzaju urządzeń wyposażających mieszkania w nowoczesną technikę ułatwiającą prace domowe i oszczędzającą czas ciągle przecież jeszcze zapracowanej „pani domu".

Słowem jest to model bardzo „techniczny" Ale warto powiedzieć, że właśnie taki wzorzec stylu życia preferowany jest we wszystkich krajach wysoko rozwiniętych i jest to naturalna konsekwencja tendencji dających się już dziś zauważyć również w Polsce.

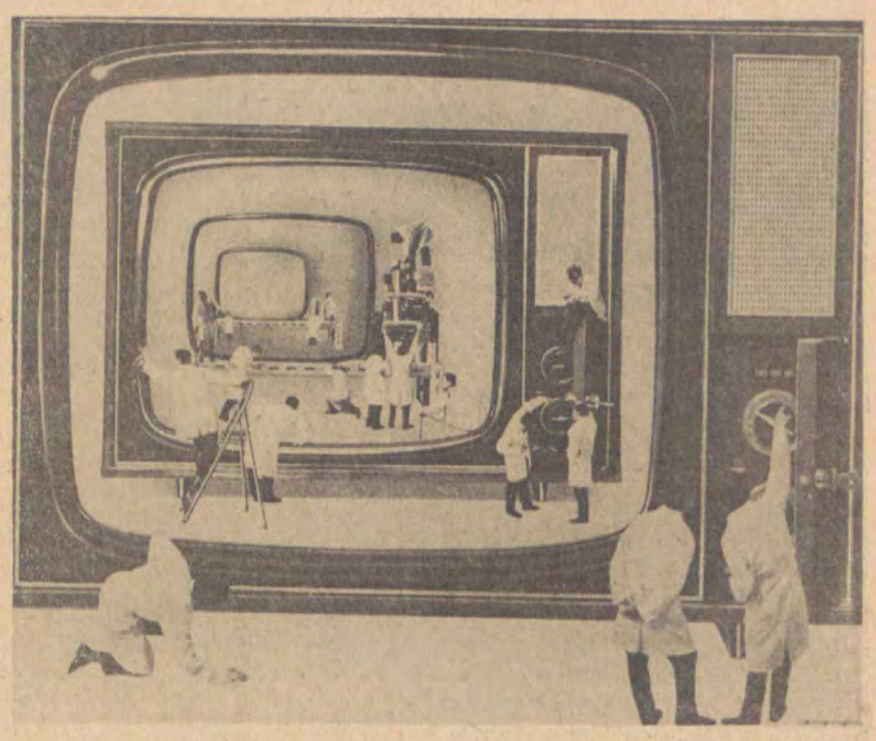

Fot. Archiwum

ŁOKCIEM NIE ZMIERZYSZ

Dalszy ciąg ze str. 1

jako miejsce pohulanek. Pochyliłem się nad grubym zwojem pism i załączników opracowanych w formie urzędowego dokumentu dla Ministra Przemysłu Lekkiego. Z lewej strony dolatywał skowyt tramwajów biorących na małym biegu pogmatwane skrzyżowanie Gdańskiej i Andrzeja. Z prawej wdzierał się łomot dalekich maszyn, poutykanych gęsto w fabrycznej hali. Nawet ten łoskot — pomyślałem sobie — jest typowy dla śródmieścia Łodzi.

Wszedł mężczyzna w średnim wieku. Miał ruchy spokojne, opanowane i ten szczególny wyraz wiecznego zmęczenia w oczach, tak charakterystyczny dla twórców i naukowców.

— Czy mógłby mnie pan zorientować, za co otrzymuje się tytuł Mistrza Techniki Polskiej?

— **Mój zespół** — podjął docent **TOMASZ JANUSZ — opracował metodę chemizacji procesu tkania drogą uszlachetniania osnów. Widzi pan, dziś trzeba w zespole, czasy Edisonów minęły bezpowrotnie. Lot współczesnej techniki jest tak wysoki, że już nigdy nie narodzi się geniusz, który by wiedział wszystko o wszystkim...**

A więc to takie dziecinnie proste — myślę. Sztuczne woskowanie osnów? I dlatego, że proste, trudno na to wpaść. Przędzę nasyca się syntetycznym woskiem. Przez to jest gładziutka, śliska, nie daje oporu. Siły tarcia podczas tkania maleją, a zrywy spadają do teoretycznego niemal minimum. Kiedy zrywów mniej, tkacz nie traci czasu na ich wiązanie i zwiększa wydajność od 2 do 6 procent. To wszystko.

— **Woskowanie osnów wprowadzono już w czterech zjednoczeniach** — mówi docent Janusz. — **Podpisaliśmy umowy z przeszło 50 fabrykami. Gdyby przyjąć, że wydajność zwiększy się w tkalniach tylko o 3 procent, nawet o 2 procent, to roczne oszczędności zamkną się kwotą 370—380 milionów złotych...**

Umowy — jak słyszę — to nowość, obustronnie korzystna. Fabryka wprowadza pomysł naukowców, a część zysku w fabryce uzyskanego wraca potem do instytutu w formie zapłaty za usługę. Docent Janusz wraz z zespołem powinien otrzymać w tym roku nagrodę w wysokości 300 tysięcy złotych. W następnych latach wypłaty spadną. Zawsze jednak będą nie do pogardzenia. Takich umów zawiera się coraz więcej.

Instytut Włókiennictwa ma swój kapitalny udział w skonstruowaniu przędzarki opartej na stacjonalnym wirze, co jest światową zgoła rewelacją. Produkcją tych przędzarek w skali przemysłowej zajmie się **„Wifama"**. Instytut przygotował kluczowe technologie dla niedawno uruchomionych zakładów **„Teofilów"**. Poczynił kroki w opanowaniu produkcji włóknin na całkowicie nowych agregatach, opracował założenia dla budowanej w Turku teksturowni przędz wytwarzanych metodą pneumatyczną...

2.

Wrócił dyrektor Wawrzaszek i zapytał:

— **No i jak, stoimy na własnych nogach?**

Odpowiedź leżała na stole. W dokumencie, który czytałem. Z wykazów i zestawień dowiedziałem się, że **Instytut Włókiennictwa** uzyskał w zeszłym roku ze sprzedaży prac naukowo-badawczych 112 milionów złotych. W przeliczeniu na głowę zatrudnionego wynosi to 140 tysięcy, w przeliczeniu na głowę pracowników z wyższym wykształceniem — 390 tysięcy złotych rocznie.

A sprzedaż to jeszcze nie wszystko. Raz sprzedany np. pomysł z woskowaniem osnów będzie przez długie lata dorzucał te 380 milionów oszczędności rocznie. Suma sprzedaży i suma efektów to dwie niewspółmiernie ze sobą związane wielkości. Wpływy do Instytutu to jedynie niewielki procent rzeczywistych korzyści, jakie uzyskują fabryki z tak zwanego wdrażania pomysłów i wynalazków.

3.

— Nad czym pan teraz pracuje? — pytanie zatrąciło wyjątkowym banałem.

Docent **Tomasz Janusz** nie uniósł jednak brwi, nie spojrzał na mnie krzywo i ramionami nie wzruszył. Pracuje nad udoskonaleniem krosna. Uznał, że przesadą i nieporozumieniem jest utrzymywać pogląd, jakoby nadszedł zmierzch tradycyjnego tkactwa i że przyszłość włókiennictwa należy tylko d najnowocześniejszych technik dziewiarskich.

Myślą wróciłem do czasów pierwszej rewolucji przemysłowej. Dwa były filary, na których wspierała się rewolucja. Parowy silnik Watta i mechaniczne krosno. Skonstruowane przez angielskiego pastora Cartwrighta w 1784 roku było arcydziełem techniki. I zostało nim po nasze dni. Ustalone przez pastora zasady tkania uchodzą wciąż za nienaruszalne. Osnowa i czółenko.

Ulepszanie krosna sprowadzało się głównie do wciąż szybszego i szybszego biegu, czółenka. Dziś lata jak opętane. Ale inżynierom to nie wystarcza. Za wolno to idzie, trzeba nadać tym obrotom jeszcze większe przyśpieszenia. Ci ruchliwi, bystrzy, energiczni konstruktorzy budują wciąż szybsze krosna i wciąż są... niezadowoleni.

Jeden jest wszakże w tym opętańczym biegu czółenka mankament. Huk, jaki to rozszalałe czółenko wydaje, przyprawia niewprawne ucho o kompletną głuchotę. Jak to ryczące krosno wyciszyć?

— **Nie tylko o wyciszenie chodzi** — tłumaczy docent Janusz. — **Wtedy uznamy, że zadanie jest wykonane, gdy krosno bez porównania cichsze niż czółenkowe, będzie nam tkać z szybkością kilkakrotnie większą od krosien aktualnie produkowanych przez „Wifamę". Jesteśmy bliżej tego celu, niż dalej. Czółenko zastąpimy nieco innym przenośnikiem. Próbujemy to z tej, to z innej strony. Można realnie oczekiwać, że takie superszybkie, ciche i super też wydajne krosno, wkrótce skonstruujemy...**

— Dziewiarze też konstruują wciąż wydajniejsze automaty.

— **Owszem, ale według mnie technika dziewiarska zbliża się już do kresu możliwości. Dzianina jest nietrwała, łatwo się wyciera, jej wartość użytkowa nie wytrzymuje konkurencji z materiałem tkanym zwarcie i mocno systemem krzyżówki. Maszyny dziewiarskie zużywają mniej więcej o 15 procent więcej surowca niż warsztaty tkackie na wytworzenie takiej samej sztuki materiału. Więc, gdy zbudujemy krosno pięciokrotnie wydajniejsze od wszystkiego, co dziś stoi w łódzkich tkalniach, problem rozwiąże się niejako sam. Niech wtedy dziewiarze poskrobią się w głowę...**

4.

Co jednak miało oznaczać dyrektorskie „do czasu"?.

Przy ulicy Brzezińskiej powstaje majestatyczny kompleks gmachów łącznie z supernowoczesną halą do prób technologicznych. W tych gmachach rozmieści się **Instytut Włókiennictwa**, który dziś żyje jakby na lokatorskim. Jest poutykany po różnych budynkach, tu biuro, tam laboratorium, ówdzie hale badawczo-doświadczalne. Ale do czasu... Ta inwestycja, prawie miliardowa, jest tyleż inwestycją naukową, co produkcyjną. Co dobrego zrodzi się w mózgach naukowców, z miejsca transponowane jest do produkcji. Badania naukowe trzeba finansować, prawda, ale też one finansują z kolei przemysł.

Nauka kosztuje, co do tego nie ma dwóch zdań. Nauki łokciem się nie mierzy. Te koszty rosną lawinowo. Laboratorium Faraday'a można by dziś urządzić za 30 dolarów, laboratorium Hertza, tego od fal elektromagnetycznych, za 300 dolarów. Natomiast laboratorium jądrowe kosztuje dziś 230 milionów dolarów. Taniej się tego nie urządzi. Ale też nie ma inwestycji szybciej się rentujących. Jeden tylko pomysł docenta Tomasza Janusza w ciągu trzech krótkich lat zarobi na wybudowanie nowego zupełnie **Instytutu Włókiennictwa**, choć koszt tej inwestycji dojdzie prawie miliarda złotych.

JAN BĄBIŃSKI

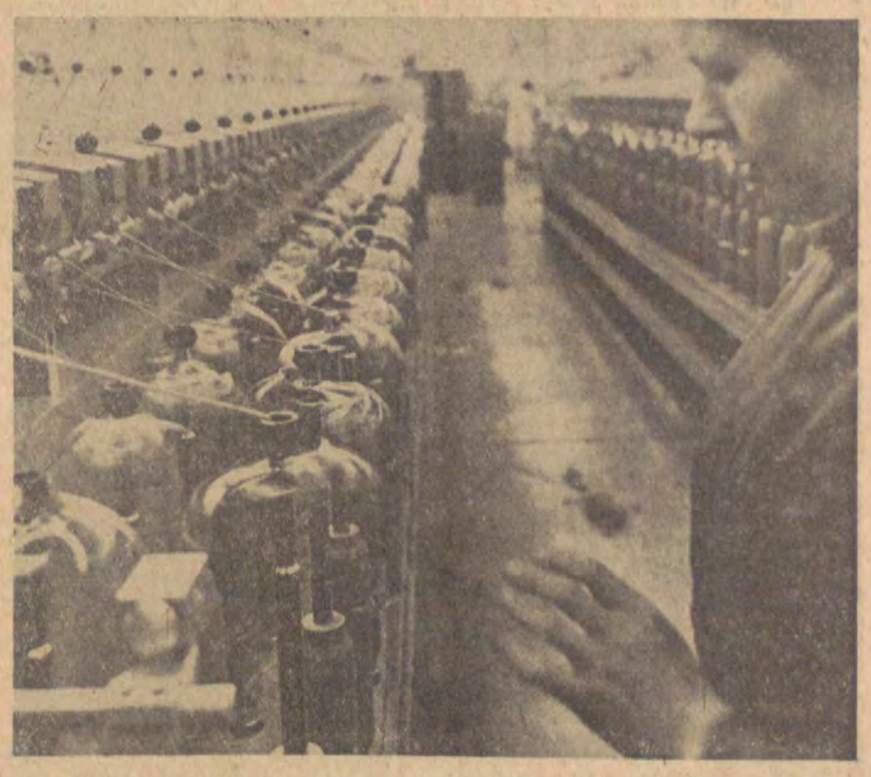

Fot. W. Parys

GEORGES SIMENON

WIĘZIENIE

8

Tłumaczył: R. WYSOCKI

— Pamiętasz, Alain?

— Co takiego, mamo?

Jeden z obrazów, mdły i lichy, przedstawiał krowy pasące się na łące, obok wiejskiego płotu.

— To, co ci zawsze powtarzałam. Nigdy nie chciałeś słuchać. Nigdy nie nauczyłeś się porządnego zawodu.

Wolał nie przypominać jej o tygodniku, który uważała za dzieło szatana.

— Ojciec nic nie mówi, ale teraz pewnie żałuje swojej słabości. Zawsze zostawiał ci za dużo swobody i mówił do mnie, żeby się usprawiedliwić:

„Zobaczysz, że on sam znajdzie właściwą drogę..."

Pociągnęła nosem, rąbkiem fartuszka otarła oczy. Usiadł na jednym z krzeseł, wybitych tłoczoną skórą, ona stała. Zawsze stała.

— Co teraz będzie, jak myślisz?

— Będzie proces.

— Będą o tobie mówić?

— Nie da się tego uniknąć.

— Powiedz mi, Alain. Nie kłam przede mną. Wiesz, że od razu poznaję, kiedy kłamiesz. To twoja wina, nieprawda?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Zdradzałeś ją z siostrą, a kiedy to odkryła...

— Nie mamo. Ja nie jestem temu winien.

— Był ktoś trzeci?

— Może.

— Ktoś kogo znasz?

— Możliwe. Nic mi nie mówiła.

— Nie myślisz, że ona jest nienormalna. Na twoim miejscu żądałabym żeby ją zbadał specjalista. Była łagodna, uprzejma. W gruncie rzeczy lubiłam ją i zdawało się, że jest bardzo do ciebie przywiązana. Ale zawsze podejrzewałam, że coś z nią jest.

— Co?

— Trudno powiedzieć. Nie była taka, jak wszyscy. Taka sama była Hortensja, jedna z moich szwagierek, nie znałeś jej, miała ten sam wzrok, te same gesty i w końcu musieli ją zamknąć w zakładzie dla obłąkanych.

Nadstawiła ucha.

— Zostań tu. Zaraz wyjdzie pacjentka. Ojciec wpadnie na chwilę, żeby cię ucałować, zanim przyjmie następną.

Wyszła na schody. Kiedy w chwilę potem wróciła, towarzyszył jej mężczyzna barczysty, szpakowaty, z włosami na jeża.

Nie ucałował syna. Nawet kiedy był dzieckiem, całował go rzadko. Położył mu obie dłonie na ramionach i popatrzył w oczy.

— Ciężko?

Alain próbował westchnąć.

— Wytrzymam.

— Niczego się nie domyślałeś?

— Niczego...

— Widziałeś się z nią?

— Przed chwilą, w gabinecie sędziego.

— Co mówi?

— Odmawia odpowiedzi na pytania.

— Nie ma wątpliwości, że to ona?

— Żadnych.

— Wiesz jaki powód?

— Wolę się nie doszukiwać.

— A mąż.

— Wczoraj wieczorem przyszedł zobaczyć się ze mną.

— A jej rodzice?

— Jej ojciec przyjechał do Paryża. Właśnie będę z nim na kolacji.

— To zacny człowiek...

Obaj mężczyźni spotkali się dotychczas ze sobą trzy, czy cztery razy, ale od razu przypadli sobie do gustu.

— Musisz się uzbroić w odwagę, synu. Nie muszę mówić, że dom jest dla ciebie otwarty, że jesteśmy tutaj. Muszę wracać do fabryki.

W ten sposób nazywał swój gabinet. Jeszcze raz poklepał Alaina po ramieniu, skierował się w stronę drzwi, w swoim białym fartuchu, który obijał się o łydki. Dlaczego zawsze wybierał za długie fartuchy?

— Widziałeś. Nic nie mówił, ale jest wstrząśnięty. Poitaudowie nigdy nie okazywali swoich uczuć. Jako małe dziecko nigdy nie chciałeś płakać w mojej obecności.

Czerwone wino przyprawiało go o mdłości i ręką powstrzymał gest matki, która chciała mu nalać drugi kieliszek.

— Dziękuję. Muszę już iść.

— Masz kogoś, kto się tobą opiekuje?

— Sprzątaczkę.

— Prawda, stołujesz się w restauracji. Nie psuje ci to żołądka?

— Jakoś nie.

Wstał, sięgając głową żyrandola, schylił się ku matce i ucałował w oba policzki. Był już prawie przy drzwiach, kiedy się rozmyślił.

— Słuchaj, mamo. Nie mogę ci zabronić czytać gazety. Ale nie przejmuj się tym, co będą wypisywać. Nie zawsze to prawda, ja coś o tym wiem. Do zobaczenia.

— Będziesz z nami w kontakcie?

— Słowo.

Zszedł na dół stromymi schodami. Odfajkowane. Był to im winien. Z mokrego bruku wstawała teraz prawdziwa mgła, otaczając niby aureolą latarnie i reklamy świetlne.

Biegł chłopak z plikiem gazet pod pachą, ale on nie miał ochoty kupować.

Trzeba przecież gdzieś iść. Trzeba gdzieś być. Ale gdzie?

Wszyscy naokoło szli szybko, wymijali się, potrącali, jak gdyby musieli szybko dojść do jakiegoś celu. On stał na skraju chodnika, w wilgotnym powietrzu, zapalał papierosa.

Po co?

* * *

Albert, kamerdyner w białej marynarce barmana, wziął od niego płaszcz i wprowadził do salonu. Blanchet stał na środku, sam, w czarnym garniturze. Przypuszczał zapewne, że idzie teść i wzrok jego zmienił się kiedy zobaczył Alaina.

— Można powiedzieć, że jestem pierwszy.

Szedł trochę sztywno, gdyż w ciągu popołudnia sporo wypił. Oczy jego były błyszczące, zaczerwienione, co nie uszło uwagi Blanchetа.

— Siadaj.

Dla nich dwojga salon był zbyt wysoki, zbyt rozległy. Stare meble pochodziły zapewne z nieruchomości państwowych, a światło ogromnego kryształowego żyrandola nie docierało do rogów pokoju.

Przyglądali się sobie, nie podawszy ręki.

— Powinien lada chwila nadejść.

Na szczęście nadchodził. Słychać było dzwonek, kroki Alberta, odgłos otwieranych drzwi. Na koniec kamerdyner wprowadził mężczyznę, tego samego wzrostu co Blanchetowie, ale bardzo szczupłego, z lekka pochylonego, o twarzy bladej i delikatnej.

Koścista ręka uścisnęła najpierw — nieco mocniej niż zwykle — dłoń Alaina. Nic nie mówiąc, podszedł do drugiego zięcia, by jemu z kolei uścisnąć dłoń, po czym zaniósł się kaszlem i zakrył usta chusteczką.

— Nie zwracajcie na to uwagi. Żona jest w łóżku, ma bronchit. Lekarz nie pozwolił jej jechać ze mną. Na pewno tak będzie lepiej. Jeżeli chodzi o mnie, mam tylko złośliwy katar.

— Może byśmy przeszli do mojego gabinetu?

Gabinet w stylu empire, tak samo oficjalny, jak salon.

— Czym mogę pana poczęstować, panie Fage?

— Wszystko jedno. Może kieliszek porto?

— A ty?

— Scotch.

Blanchet zawahał się, wzruszył ramionami. Andre Fage, ze swoją twarzą jeszcze młodą i bez zmarszczek, ze szpakowatymi włosami zaczesanymi do góry, z rysami delikatnie zarysowanymi, był tego typu intelektualistą, jak to sobie ludzie powszechnie wyobrażają. Czuło się, że jest spokojny i łagodny.

Kiedy Albert nalał kieliszki, przyjrzał się najpierw Alainowi, potem Blanchetowi, następnie stwierdził:

— No cóż, obaj jesteście na tym samym wózku, a ja straciłem obie córki. Zadaję sobie pytanie, której więcej współczuję...

Głos jego tłumiło wstrzymywane wzruszenie. Oczy przeniosły się na Alaina.

— Widział się pan z nią?

Spotykali się tak rzadko, że ledwie się znali.

— Dziś po południu, u sędziego śledczego.

— Jak wygląda?

— Byłem zaskoczony, widząc, że jest spokojna, zupełnie opanowana. Zadbała o toaletę i można by przysiąc, że jest na wizycie.

— To moja Jacqueline! Wypisz, wymaluj. Zawsze była taka. Będąc małym dzieckiem, kiedy czuła się bezradna, chowała się w najciemniejszy kąt mieszkania, czasami do szafy i pojawiała się dopiero wtedy, kiedy zdołała się opanować.

Wypił mały łyk porto, postawił kieliszek.

— Nie zaglądałem do gazet i przez pewien czas nie będę ich czytał.

— Jak pan został powiadomiony?

— Przez komisarza policji. Zależało mu na tym, żeby przyjść osobiście, zachował się bardzo poprawnie. Żona leży w łóżku, mówiłem już wam. Część nocy spędziliśmy rozmawiając po cichu, jak gdyby to wszystko wydarzyło się u nas.

Rozejrzał się naokoło.

— Właściwie, gdzie to się stało? — zapytał Blanchet.

— W sypialni, dokładniej w przylegającym do niej buduarze.

— Gdzie dzieci?

— Jedzą kolację z Naną w bawialni.

— Wiedzą o wszystkim?

— Jeszcze nie. Powiedziałem im, że mamusia miała wypadek. Bobo ma dopiero sześć lat, Nelle trzy.

— Mają jeszcze czas.

— Jutro, wczesnym rankiem, przywiozą ją tutaj. Pogrzeb odbędzie się w sobotę o godzinie dziesiątej.

— Kościelny.

Był niewierzący i córki odebrały wychowanie świeckie.

— Będzie msza i egzekwie, tak.

Alain czuł się tutaj tak obco, że zadawał sobie pytanie, co tu robi. A jednak zawsze odczuwał sympatię do tego teścia i mógłby stać się jego przyjacielem. Czyż Fage nie poświęcił swojej pracy doktorskiej stosunkom między Baudelaire'm a jego matką?

Przysłuchiwał się im, nie odczuwając potrzeby wtrącania swoich trzech groszy. Byli mu obojętni, oczywiście głównie Blanchet. Mogli żyć na innych planetach.

A może to właściwie on nie jest taki, jak inni? Mimo to ożenił się, miał dziecko, dom na wsi. Pracował od rana do wieczora, często część nocy.

Zdawało mu się, że oświetlenie jest mdłe. Czyżby to była mania — od wczoraj wydaje mu się, że nigdzie nie jest dość jasno? Czuł się niby zamknięty w jasno-ciemnej kuli, a słowa docierały do niego jakby poprzez materię z filcu.

— Kolacja podana.

Albert założył białe rękawiczki. Stół był wystarczająco duży, by pomieścić dwanaście osób, zastawiony srebrami i kryształami, w środku stała przybrana kwiatami patera na owoce. Blanchet pomyślał o kwiatach? Czy też robił wszystko automatycznie, jak by rozgrywało się to poza nim?

Siedzieli bardzo daleko jeden od drugiego, Fage pośrodku, pochylony nad talerzem zupy.

— Czy cierpiała?

— Lekarz twierdzi, że nie.

— Kiedy była bardzo młoda, nazywałem ją daleką księżniczką. Nie miała ani żywości, ani uroku Jacqueline. Była nawet trochę niezdarna.

Alain nie mógł się powstrzymać od tego, by nie spojrzeć raz jeszcze na niektóre portrety Adrianny, nie porównać ich z wizerunkiem, kreślonym przez ojca.

— Bawiła się rzadko. Godzinami mogła siedzieć przy oknie i obserwować chmury na niebie.

— „Nie nudzisz się, mój skarbie?

— Dlaczego miałabym się nudzić?"

— Niekiedy byliśmy z żoną przerażeni spokojem, który braliśmy za brak żywości. Doktor Marnier uspokajał nas.

— „Nie narzekajcie. Kiedy się rozbudzi, trudno wam będzie ją pohamować. To dziecko ma intensywne życie wewnętrzne".

Zapadła cisza. Teraz z kolei Blanchet zaczął kaszlać, chociaż już krócej niż jego teść. Podano filety z ryby, była to sola.

— Później stały się jedna o drugą zazdrosne, choć robiliśmy wszystko, by do tego nie dopuścić. Przypuszczam, że tak bywa we wszystkich rodzinach. Zaczęło się od tego, że Jacqueline miała prawo iść spać o godzinę później, niż siostra.

Przez całe miesiące Adrianna broniła się przed zaśnięciem. Upadała z senności, ale przetrzymywała i w końcu musieliśmy uciec się do kompromisu. Będą chodziły spać o tej samej godzinie, w połowie drogi między godziną Adrianny i Jacqueline.

— To było niesprawiedliwe wobec Jacqueliny — zauważył Alain.

Zrobiło na nim dziwne wrażenie to, że wymawia jej imię, a nie mówi Kocur.

— Wiem. Z dziećmi sprawiedliwość nie jest możliwa.

Mając trzynaście lat, Adrianna domagała się, żeby ją ubierać, jak siostrę, która miała szesnaście, tak że wyglądała już na pannę.

W dwa lata później paliła papierosy. Oboje z żoną staraliśmy się być wyrozumiali do granic możliwości. Dla jednej i dla drugiej. Gdyby się były zbuntowały, byłoby znacznie gorzej.

Wzrok jego błądził po pokoju. Nagle stanęła przed nim rzeczywistość i dorzucił słabym głosem:

— Czyż mogło się zdarzyć coś jeszcze gorszego?

Spoglądał na obu swoich zięciów.

— Zadaję sobie pytanie, któremu z was bardziej współczuję.

Zaczął znowu jeść z zasępionym czołem. Słychać było jedynie brzęk widelców po porcelanie.

Albert wszedł, zmienił talerze, nałożył kuropatwy, napełnił kieliszki burgundem.

Blanchet odezwał się:

— Byłem zobaczyć ją, tam.

Tam, to znaczy w instytucie medycyny sądowej. Metalowe szuflady, jak klasyfikatory, w których ułożone są ciała.

Dalszy ciąg nastąpi

WILCZE GNIAZDO

Dalszy ciąg ze str. 1

ne. Jest oczywiste, że tego rodzaju bunkry znajdowały się w kwaterach, gdzie Hitler przebywał częściej, czyli w „Berghofie" i w „Wolfschanze". Pozostałe odwiedzał raczej sporadycznie i prawie nigdy nie zatrzymywał się w nich na dłuższy okres czasu. (Tak np. kwatera polowa w Winnicy w ogóle nie posiadała betonowych schronów, składała się bowiem z rozrzuconych po lesie drewnianych domków).

„Berghof" i jego okolica znajdowały się pod ścisłą pieczą SS i chociaż stacjonowało tam również szereg jednostek Wehrmachtu, odgrywały one jednak podrzędną rolę w zabezpieczeniu obszaru kwatery. Przeniknięcie do tego rejonu jednostek przeciwnika ze względu na podejmowane środki bezpieczeństwa było praktycznie niemożliwe. Poza tym nawet po wylądowaniu aliantów w Normandii, „Berghof" znajdował się dość daleko od pola walki w przeciwieństwie do „Wolfschanze", która w lipcu 1944 r. była oddalona od linii frontu o niespełna 100 km. Zatem w tym górzystym terenie można było się obawiać jedynie ataku komandosów, lub spadochroniarzy przeciwnika, toteż wszystkie jednostki ochrony skoszarowane w „Berghofie" musiały być w każdej chwili gotowe do odparcia ataku. Gotowość tą, poczynając od 1940 r., bardzo często sprawdzano za pomocą próbnych alarmów. Czas po którym winna była być osiągnięta wynosił pięć minut. Hasło dla alarmu próbnego brzmiało — „Ente" (kaczka), natomiast na wypadek rzeczywistego niebezpieczeństwa — „Geier" (sęp).

W rezultacie wzrastającej przewagi aliantów w powietrzu, nad „Berghofem" zawisła groźba bombardowań. W tym celu na jego terenie został zbudowany system potężnych betonowych bunkrów, a do Berchtesgaden ściągnięto silne jednostki artylerii przeciwlotniczej. Trzon oddziałów, których zadaniem było zapewnienie ochrony kwatery głównej Hitlera, stanowiły teraz: SS — Wachkompanie (kompania wartownicza), SS — Sonderkolonne (kolumna specjalna), SS — Stollenbaukompanie z SS — Flak — Abteilung „B" — Obersalzberg (kompania drążenia szybów z oddziału „B" artylerii przeciwlotniczej z Obersalzbergu), a także SS — Nebel — Abteilung (oddział stawiania zasłon dymnych), który wraz z 26 dywizjonem artylerii przeciwlotniczej ubezpieczał rejon od strony Traustein.

Zdarzało się — jeszcze w sierpniu i we wrześniu 1940 r. — że samoloty alianckie dość często przelatywały nad głównymi kwaterami führera, a zwłaszcza nad „Adlerhorst", tym niemniej do końca czerwca 1944 r. nie podjęto ani jednej próby bombardowania ich. Największą kwaterą główną Hitlera była „Wolfschanze" (wilczy szaniec) położona w Gierłoży około 8 km na wschód od Kętrzyna. Cały jej obszar okalały specjalne ogrodzenia i zasieki z drutu kolczastego o łącznej długości ok. 10 km. Poza tym na terenie „Wolfschanze" wyodrębniono jeszcze dwa rejony również otoczone płotami i zasiekami z drutów kolczastych — tzw. Sperrkreis I i II, zaś pomiędzy nimi a zewnętrznym ogrodzeniem były pola minowe. Na południowo wschodnim skraju „Wolfschanze" znajdowało się lotnisko polowe dla samolotów rozpoznawczych typu „Fieseler-Storch". Ze wschodu na zachód biegła szosa, a równolegle do niej linia kolejowa, łącząca Kętrzyn z Angerburgiem (niedaleko Węgorzewa), w pobliżu którego znajdowała się główna kwatera OKH (Oberkommando des Heeres — naczelne dowództwo wojsk lądowych) — „Mauerwald".

W centralnej części „Wolfschanze", na północ od linii kolejowej przecinającej teren kwatery leżał „Sperrkreis I" z bunkrami führera, Ribbentropa, Keitla, Jodla, a od 1944 r. także Goeringa i Bormanna oraz ich przybocznych sztabów. Oprócz tego mieściły się tam między innymi budynki i schrony RSD, adiutantów führera i jego lekarzy przybocznych, a także centrala delekopisów, placówka wywiadu Wehrmachtu, dwa kasyna, garaże oraz kwatery szefa prasowego i służby stenograficznej. Na południe od linii kolejowej znajdował się tzw. „Sperrkreis II" gdzie stały baraki i bunkry sztabu dowodzenia Wehrmachtu (WFSt), komendantury FHQu (kwatery głównej führera) oraz sztabu Führer-Begleit-Bataillons, jak również kasyna, kwatery służby pomocniczej, bunkier dalekopisów, dom wypoczynkowy i kotłownia. Bardziej na południowy wschód od Sperrkreis II rozlokowane były oddziały ochrony z Führer-Begleit-Bataillon, Führer-Flak-Abteilung, jednostka reflektorów przeciwlotniczych i kompania przeciwpożarowa.

Budynki położone w obu strefach były częściowo drewnianymi barakami, a częściowo betonowymi (podziemnymi i naziemnymi). Prace przy ich budowie przebiegały w trzech etapach: lato 1940 — czerwiec 1941 r., 1942/43 r. i luty — jesień 1944 r. Budowle te stały wśród niezbyt gęstego lasu miejskiego, toteż dla uniknięcia ryzyka wykrycia ich przez samoloty wroga, w 1943 i 1944 r. zainstalowano na szeroką skalę urządzenia maskujące, a zwłaszcza sztuczne drzewa. Im dłużej trwała wojna i im coraz większy postęp osiągano w produkcji samolotów i bom lotniczych, tym bliższe stawało się niebezpieczeństwo bombardowań kwater Hitlera. Toteż wciąż je ulepszano i wzmacniano — „Berghof" poprzez drążenie głębokich szybów w górze, na której się znajdował, „Wolfschanze" poprzez budowę nowych, odpornych na ataki lotnicze, bunkrów. Już na przełomie 1942/1943 wszystkie drewniane budynki i baraki w kwaterze kętrzyńskiej otrzymały „obudowę" z cegieł i cementu, stanowiącą ochronę przed bombami zapalającymi i odłamkowymi. Grubość tej obudowy wynosiła ok. 50 cm, a czasami stwarzano dodatkowo między owym murem a ścianą budynku — małą próżnię dla lepszego zabezpieczenia. Niektóre budowle wyposażono w szczelne i mocne żelazne okiennice, natomiast duże bunkry w ogóle nie posiadały otworów okiennych. W ostatniej fazie rozbudowy „Wolfschanze" obok nowo wybudowanych schronów, istotnie zwiększono grubość ścian dwóch już istniejących — tzn. „bunkra gościnnego" i bunkra führera. Ich betonowe ściany mające pierwotnie grubość ok. 3 metrów wzmacniano dodatkowymi blokami z żelazo-betonu o grubości 4 metrów, zatem przebywający w nich byli odizolowani od świata warstwą betonu siedmiometrowej grubości.

Prace przy bunkrze Hitlera ciągnęły się do października 1944 r. Schron ten miał drewnianą nadbudowę, w której mieściła się sala konferencyjna, gdzie od listopada 1942 r. führer odbywał narady sytuacyjne z generalicją. Jednakże od lutego 1944 r. gdy cały bunkier został poddany przebudowie, narady przeniesiono do jednego z lekko wzmocnionych drewnianych baraków. Właściwie głównie dzięki temu Hitlerowi udało się ujść z życiem podczas zamachu z 20 lipca 1944 r.

Nowe schrony jakie powstały w ostatnim etapie rozbudowy „Wolfschanze" posiadały już ściany siedmiometrowej grubości. Jeden z nich miał zająć Goering, dwa inne były przeznaczone do użytku ogólnego, zaś znajdujący się w budowie czwarty z nich planowano przekazać centrali służby wywiadowczej Sperrkreis I.

Za „zewnętrzną" ochronę kwatery głównej führera ponosił odpowiedzialność Führer — Begleit — Bataillon (FBB), który od lipca 1944 rozrósł się do wielkości pułku i składał się z siedmiu kompanii. Zadaniem żołnierzy tej jednostki była między innymi permanentna, ścisła kontrola wszystkich pojazdów i ludzi przekraczających granice kwatery „Wolfschanze". Był to bowiem okres, gdy w Niemczech i na terenach okupowanych szerzyła się na szeroką skalę dezercja, sabotaże, rosła fala ucieczek z obozów jenieckich oraz aktywizowała się działalność alianckiego wywiadu. Mniej więcej w promieniu ok. 2—3 km od bunkra Hitlera znajdowało się ogrodzenie i kilka rzędów zasieków z drutu kolczastego, wzdłuż którego ciągnęły się pola minowe oraz posterunki FBB. Jedynie wąskie ścieżki były wolne od min, toteż dzień i noc były one czujnie patrolowane, bowiem stanowiły jedyne przejścia na teren kwatery Hitlera.

Pola minowe rozpościerały się wzdłuż zewnętrznego ogrodzenia blisko dziesięciokilometrowym pasem o szerokości kilkudziesięciu metrów. Pas ten dzielił się poprzecznie na cztery strefy.

Ogółem pola minowe „Wolfschanze" liczyły ok. 60 tysięcy min. Wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego znajdowały się blisko siebie rozmieszczone wieże strażnicze, bunkry oddziałów wartowniczych, gniazda karabinów maszynowych, ziemianki posterunków patrolowych oraz rowy przeciwlotnicze. Łączność między patrolami, ich posterunkami a komendanturą kwatery była utrzymywana drogą telefoniczną. Wszelka próba przeniknięcia przez ową sieć przeszkód wydawała się być w tych warunkach wysoce nieprawdopodobną, nie mówiąc już o powodzeniu takiej akcji. Trzeba by bowiem było przedrzeć się przez teren długości 2—3 km, najeżony zasiekami z drutu kolczastego, zaporami minowymi, patrolami, a w nocy na dodatek silnie oświetlony. Poza tym strefa kwatery głównej, w której Hitler stale przebywał, była jeszcze intensywniej strzeżona, a nad jego bezpieczeństwem wciąż czuwali funkcjonariusze z przybocznego oddziału ochrony.

ANDRZEJ BLAJER

WIELKI ESTRADOWY JUBEL

1.

Przed trzema laty opublikowałem w „Odgłosach" artykuł pod dwuznacznym tytułem „PIOSENKI Z LEWEJ RĘKI". Treść tego elaboratu oscylowała wokół problemów Łódzkiej Estrady i jej radosnej działalności na wielu odcinkach kulturalnego frontu. Były tam zatem, dla przypomnienia, opisy różnych nadużyć, było sprzeniewierstwo mienia społecznego, była podmiana nazwisk na afiszach i scenicznych dechach, były różne szalone pomysły i niezrealizowane zamysły estradowych organizatorów, była litania skarg, z których jedne wpływały do kompetentnych władz a inne do gazet, przy czym jedne i drugie osądzały od czci i wiary naszą łódzką przecherną placówkę. Była tam, na koniec, łagodna wymówka, że Łódź cierpi z winy indolentnej Estrady na chroniczny brak godziwych imprez: wciąż omijali nas przecież znani polscy i zagraniczni wykonawcy, ustępując miejsca rodzimym chałturszczykom.

Po artykule tym — nie twierdzę bynajmniej, że z jego przyczyny — nastąpiły na estradowej wierchuszce pewne zmiany. Nie należy jednak przeceniać ich znaczenia. Schorzały organizm przestał reagować na zastrzyki świeżej krwi: przecież w latach 1969—1973 zawiadywał kolejno naszą kochaną Estradą cały orszak szefów — **Tadeusz Sutt, Krystyna Szczęsna** — pełniąca obowiązki dyrektora, **Mieczysław Stefański, Ryszard Wiśniewski** — zastępca dyrektora, **Jerzy Burski** oraz aktualny dyrektor **Marian Szczerba**, za którego kadencji wrócił na krótko na stanowisko zastępcy i znowu odszedł **Tadeusz Sutt**, przytomnie ustępując stolca **Wiesławowi Szczotkowskiemu.**

Rok 1974 także rozpoczął się od przetasowań. Wiesław Szczotkowski, któremu śniły się po nocach jakieś ogromne, ludowe plenery z udziałem czołowych polskich artystów, nie dogadał się z resztą towarzystwa i zwinął żagle. Tuż za nim, z niewiadomych przyczyn, zrezygnowała z pracy główna księgowa...

Nie znaczy to wcale, aby działy się po moim artykule jakieś większe kryminalne szopki. Ot, wypłynęła tylko sprawa panów **Siewruka** i **Zasławskiego**, którzy z ramienia Łódzkiej Estrady obwozili po kraju grecki zespół „Hellen" i pewnego dnia, tak dla hecy, zorganizowali w Hali Stoczni Gdańskiej dziką imprezę, kasując na czysto do kieszeni sto dziewięćdziesiąt tysięcy złotych (siedzą).

Co się tyczy niejakiego **Maciaszczyka**, to trafił on do więzienia za długi (35 tysięcy) wobec Estrady, jednakże skoro tylko opuścił kazamaty, M. Stefański znowu dał mu szanse, robiąc go kierownikiem chałturnego programu **„NOC POŚLUBNA"** i Maciaszczyk odpowiednio z tej szansy skorzystał.

Największe wątpliwości budzi postawa konferansjera **Górnego**, który fałszując w dobrej wierze podpis Kazimierza Chyły, stanął przed sądem pod zarzutem przywłaszczenia sobie państwowych pieniędzy. Wtajemniczeni twierdzą, że Górny wcale na tej aferze nie zarobił, rozdzielając nadwyżkę pomiędzy zbuntowanych piosenkarzy i aktorów z prowadzonego przez siebie (i własną żonę) programu.

Te drobne incydenty nie mają jednak wpływu na moją opinię o Łódzkiej Estradzie i nie twierdzę, jakoby winę za nie ponosiła Dyrekcja. Wszędzie może się trafić jakiś nieuczciwy, głupi, nadgorliwy albo nadleniwy pracownik, wystawiający do wiatru rodzimą instytucję i rzucający cień na jej dobre imię.

Gorzej natomiast, kiedy zaczyna gonić w piętkę samo ścisłe kierownictwo...

2.

Oto w listopadzie ubiegłego roku **stuknęło Estradzie 25 lat.** Kiedy fakt ten dotarł z małym opóźnieniem do świadomości dyrektorów, postanowili oni wyprawić huczny jubileusz ćwierćwiecza w... pierwszym kwartale 1974 roku! Lepiej późno niż wcale, tym bardziej, że wiele akcji ofensywnych przedsięwzięło konkurencyjne, dynamiczne, chwalone przez prasę całego kraju łódzkie **Stowarzyszenie Muzyki Estradowej.**

Termin jubileuszu został zaklepany w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi. Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, nie chcąc wchodzić w paradę dostojnemu Jubilatowi, przeniosło Polskie Targi Estradowe ze stycznia na kwiecień 1974 roku.

Skoro Estrada ma obchodzić swój jubileusz, skoro w specjalnym piśmie do władz jej dyrektorzy przedstawili przebogaty program obchodów, które nie ograniczałyby się jedynie do stołu biesiadnego i wpinanych w klapy orderów, lecz, przeciwnie, dałyby trochę radości spragnionemu imprez społeczeństwu — to wszystko w porządku! Targi mogą poczekać.

Niech Estrada pokaże, co potrafi! Niech — jak to sama oświadczyła w piśmie do władz — **„zamanifestuje swoją działalność przez maksymalne nasycenie w tym okresie** (I kwartał 1974 r. — przyp. A. M.) **atrakcyjnymi imprezami".**

Do pisma przewodniego dyrekcja Estrady załączyła nieopatrznie wykaz planowanych imprez jubileuszowych. I oto trzymam ten wykaz w ręku. Czego tam nie ma na ten cudny pierwszy kwartał!

Recitale wybitnych piosenkarzy krajowych — **Ewy Demarczyk, Zdzisławy Sośnickiej, Anny German, Ireny Santor, Haliny Kunickiej, Jeremy Stępowskiego, Wojciecha Młynarskiego, Bolesława Gromnickiego i Andrzeja Bychowskiego.**

Marzec się kończy, a ani jeden z tych recitali nie doszedł do skutku.

Ale czytajmy dalej...

Recitale artystów zagranicznych — **Karela Gotta, Heleny Vondraczkowej, Edyty Piechy i Conchity Bautisty.**

Kto z państwa był na ich koncercie?

Recital fortepianowy duetu: **Tomaszewski-Kisielewski** oraz popisy trupy czeskiej **„Laterna Magica".**

W magiczny sposób nie trafili na łódzką scenę.

Występy zespołów muzycznych — **Tranaiti Tropicale Granda Banda, Breakout, Homo Homini, Czerwone Gitary, Bractwo Kurkowe, Trubadurzy oraz Andrzej i Eliza.**

Produkował się tylko jeden spośród nich: ten ostatni.

3.

W piśmie do władz czytamy:

„Elementem angażującym emocjonalnie załogę Estrady oraz najbliższych współpracowników naszej instytucji będzie udekorowanie ich pamiątkowym znaczkiem jubileuszowym. Jednocześnie zwracamy się z uprzejmą prośbą o patronat nad naszym skromnym jubileuszem, a to w formie udziału w komitecie honorowym obchodów, którego zadaniem byłoby dokonanie oceny naszych wysiłków i wysunięcie do nagród i odznaczeń najstarszych stażem i zasłużonych pracowników".

W Estradzie od lat brakuje rzutkich, znających się na rzeczy organizatorów, a także jakiegoś racjonalnego, perspektywicznego planu imprez — wszystko raczej przygotowuje się tu z dnia na dzień, angaże daje się tym, którzy mają akturat wolny czas albo przejeżdżają przez Łódź tranzytem.

W Estradzie brak etatowych zespołów o ustalonej renomie. Oto dla przykładu programy, jakimi dysponują inne przedsiębiorstwa estradowe:

KATOWICE — Thalti Tropicale, Czerwone Gitary, Andrzej i Eliza, Śląska Kapela Podwórkowa, itp.

SZCZECIN — Malinowski i jego troski z L. Korsakówną i K. Brusikiewiczem, Silna Grupa pod Wezwaniem, Paulos Raptis i „Prometeusze", K. Sobczyk i H. Fabian, itp.

POZNAŃ — Urszula Sipińska, Andrzej Dąbrowski, Zdzisława Sośnicka, Zespół Cygański „Roma", itp.

ŁÓDZKIE STOWARZYSZENIE MUZYKI ESTRADOWEJ — Jerzy Grunwald i „En Face", Mira Kubasińska i „Breakout", „Pro Contra", Framerowie, Zatwarski, Lerska z zespołem „Wanderpol", itp.

Koncerty galowe „Śląska", „Mazowsza" i **„Centralnego Zespołu Wojska Polskiego".**

Był tylko **„Śląsk".**

Popisy kabaretów, teatrów komediowych i satyrycznych — **„Syreny", „Jamy Michalikowej", „Śruby", „Dudka", „Salonu Niezależnych", „Egidy", „Elity", „Dreszczowiska", „Tey'a"** i **„Kpiarza".**

Nie było ani jednego.

Specjalne imprezy rozrywkowe, jak: **„Rewia Iluzjonistów", Varieté Cyrkowe", „Rewia Kapel Podwórkowych", „Rewia Mody: Łódź contra Polska", „Gwiazdy na Łódzkim Firmamencie".**

Nie odbyła się ani jedna.

Ogółem z przedstawionych w załączniku czterdziestu trzech imprez zaplanowanych przez Łódzką Estradę w związku z jej jubileuszem i w celu **„zamanifestowania jej działalności poprzez maksymalne nasycenie terenu w tym okresie"** (I kwartał 1974 — przyp. A.M.) godziwymi programami rozrywkowymi — odbyły się tylko cztery, przy czym najlepszą z tych imprez „Premiera Jubileuszowa", aż skrzyła się od znakomitych nazwisk **(Mieczysław Stefański, Stanisław Olczyk, Kazimierz Japoll** i kilku innych, równie głośnych artystów).

Fot. Archiwum

Nie ulega kwestii, że gdyby Łódzka Estrada miała do dyspozycji takie zespoły i takich wykonawców (nie znaczy to wcale, że jestem wielkim miłośnikiem Brusikiewicza, Dąbrowskiego czy Zatwarskiego), jubileusz mógłby się jakoś odbyć: gorzej czy lepiej, ale przy udziale „własnych" sił.

Łódzka Estrada nie ma jednak poza kabaretem „Kpiarz" i składanką „Premiera Jubileuszowa" ani jednego własnego, godnego zaprezentowania programu.

Jubileusz przełożono.

4.

Można usłyszeć w kawiarniach i na ulicach:

— Nuda.

— Nie ma gdzie iść.

— Żeby był w Łodzi chociaż jeden lokal, gdzie można by posłuchać przyzwoitego programu!

— Jadę na Karela Gotta do Warszawy.

— Byłem w Krakowie na „Zaduszkach jazzowych".

— Sośnicką słyszałem w Poznaniu.

— „Silna Grupa" występowała na Wybrzeżu.

Są to nieuświadomione pretensje pod adresem Estrady. Przeciętny obywatel nie ma zielonego pojęcia o tym, że właśnie Estrada powinna zadbać o zaspokojenie jego tęsknot artystycznych. Przeciętny obywatel, który chętnie zgłasza swoje uwagi pod adresem handlu, usług, radia, telewizji, prasy (zna po prostu instytucje, do których może kierować swoje żale), w przypadku świadczeń kulturalnych, albo raczej w przypadku braku tych świadczeń, jest całkowicie bezradny: wydaje mu się, że to „wina Warszawy", że „zachłanna stolica" trzyma na stalowym łańcuchu wszystkich jego ulubionych wykonawców.

Otóż mylisz się, Przeciętny Obywatelu! Miej przede wszystkim pretensje do Estrady! Ona ponosi odpowiedzialność za Twoją nudę.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

P. S. Już po napisaniu powyższego dowiedziałem się, że w Łodzi wystąpili lub mają wystąpić Bolesław Gromnicki, „Salon Niezależnych", „Elita", „Jama Michalikowa" z programem „A to ci wesele".

Fakty te jednak nie wpływają w zasadniczy sposób na ogólną tendencję mojego artykułu.

A. M.

BEZDOMNOŚĆ PIOSENKI

„Czy najsmaczniejsze z potraw mięsnych są, Marku Sedacjuszu, te, które właściwie nie są mięsem — jak mawiał poeta Filoksenos — a z potraw rybnych te, które właściwie nie są rybami, zostawmy sądy tym, którzy według Katona mają podniebienie bardziej wyczulone niż umysł" **— deliberował prawie dwa tysiące lat temu Plutarch z Cheronei w filozoficznym traktacie „Jak młodzież powinna słuchać poetów".**

Adresat tej inwokacji, Marek Sedacjusz, jest postacią fikcyjną, mimo że Plutarch znany jest powszechnie jako autor sławnych „Żywotów", w których sportretował najwybitniejszych przedstawicieli starożytności. Inaczej rzecz ma się z Filoksenosem, przywołanym na koronnego świadka dysputy Plutarcha z Sedacjuszem. Filoksenos z Kytery, żyjący pięć wieków przed Plutarchem, jest postacią autentyczną. Co więcej, możemy uważać go za awangardowego twórcę jego epoki, był bowiem głośnym przedstawicielem nowej wówczas muzyki, poszukującej przede wszystkim efektów malarsko-dźwiękowych.

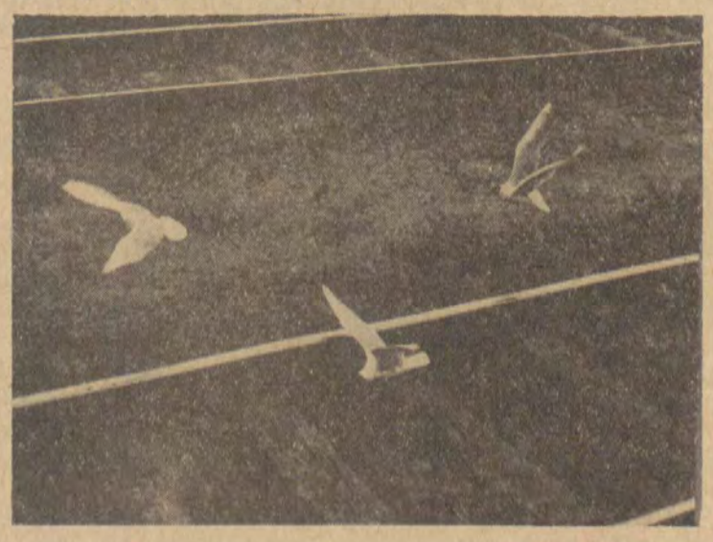

Fot. Archiwum

Nie przypominałbym mało dziś znanego traktatu Plutarcha, gdyby nie rozmowa, którą odbyłem niedawno z dyrektorem artystycznym Łódzkiej Estrady, Wiesławem Szczotkowskim. Rozmawialiśmy również o poezji, głównie zaś o tym, jak można słuchać wierszy w gronie nieco większym niż paru bliskich znajomych i jeden przypadkowy, ale najcenniejszy, bo nie znany osobiście słuchacz. Rzecz bowiem w tym, że poezja w Polsce zeszła od parunastu lat do społecznego podziemia. Nie, Boże broń, żeby była prawnie zakazana, rzec by nawet można, że jest zalecana i propagowana, jak tego dowodzą konkursy recytatorskie, niezliczone festiwale różniące się od siebie porami roku w nazwie oraz mnogie turnieje dające szansę startu nawet najlichszym debiutantom.

Cała ta misterna sieć zabiegów o słuchacza nie przyniosła większych rezultatów. Przeciętny tomik poetycki, nawet twórcy o sporym rozgłosie, ma zazwyczaj nakład nie przekraczający 700 egzemplarzy, co najlepiej świadczy o niedoskonałości, o fiasku kosztownych, lecz nieskutecznych akcji. Poezja w Polsce znajduje się dzisiaj, jeśli nie w podziemiu, to w każdym razie w społecznej izolacji. Nie wzbudza już emocji, które były udziałem choćby wstępującego po pięćdziesiątym szóstym roku pokolenia „Współczesności". Wiele z wydanych w mikroskopijnych nakładach tomików, niezależnie od ich artystycznej wartości, trafia na przeceny, gdzie także jest kłopotliwym balastem. Można się zastanawiać, czy jest to kryzys poetyk, czy słuchaczy; można się zastanawiać czy dostatecznie ruchliwy jest „Dom Książki" i czy asekuranctwo wydawców nie jest przypadkiem zbyt wielkie; można się także zastanawiać czy robione często na siłę poetyckie festyny i towarzyszące im konkursy nie doprowadziły do dewaluacji poetyckiego słowa, która pozbawiła poetów słuchaczy. Ale można także zadać sobie pytanie, czy największym wrogiem poetów nie okazała się ich własna napuszona wiara w ważność misji, którą mają do spełnienia?

Spośród wszystkich Muz, spadek to po naszym Romantyzmie, nie zaś po zastępie Apolla, wciąż się u nas cieszy największym poważaniem pięknolica Kaliope, muza pieśni bohaterskiej i głosząca sławę Klio, której żywiołem jest historia. U niektórych jest w cenie także radosna Euterpę, patronka liryki, chociaż mają jej za złe grę na flecie. Także Erato znajduje jakie takie zrozumienie, chociaż cytrę zmieniono jej na pordzewiałą siatkę z żelaznego łóżka, a jej pieśni na pisk wyleniałego szczura. Z Polihymnią nie wiadomo, co począć, odkąd natchnienie strącono z piedestału i zamieniono na astmatyczny oddech. Największy kłopot z Terpsychorą, muzą kochającą taniec, którego naucza ludzi z wielką lirą w ręku. Terpsychora może znaleźć przytułek w Estradzie, pod warunkiem, że potrafi podkasać kieckę i zaśpiewać mozolnie o Andzi, co to jest znana na Kozinach, wywinąć parę kozłów, a kiedy trzeba także pokazać to i owo.

Estrada, a wcześniej jeszcze legendarny już „Artos" kojarzy mi się z taką właśnie kaleką, wyzutą z godności Terpsychorą. Kiedy na ubiegłorocznym Ogólnopolskim Festiwalu Poezji w murach oporowskiego zamku zaprezentowano nam koncert poetycko-muzyczny „Tryptyk" nie mogłem uwierzyć, że przedsięwzięciu temu patronuje Łódzka Estrada. Tak mi to nie pasowało do stylu, jakim opiekunka koślawej Terpsychory przywykła nas obdarowywać ponad miarę. Ów koncert wyreżyserował właśnie Wiesław Szczotkowski.

Choć znałem Szczotkowskiego od lat paru, musiałem raz jeszcze przyjrzeć się jego wcześniejszej robocie. W sukurs przyszła mi cenna monografia Stanisława Kaszyńskiego „Teatr

Dalszy ciąg na str. 6

Fot. K. Pankiewicz

KIERUNEK HAWANA

Dalszy ciąg ze str. 1

wyłania się jacht i sunie prosto na nas. Co jest? To spóźniony fotoreporter z CAF-u chce mieć zdjęcie jachtu z załogą. Po chwili jacht z fotoreporterem odpływa z okrzykami pozdrowień, życzeń pomyślnych wiatrów i stopy wody pod kilem. Kiedy zniknęły z nabrzeża ostatnie sylwetki żegnających i zapadł zmierzch, cichutko wracamy do portu. Z zasłoniętą nazwą, odpowiadając niewtajemniczonym – „skądże, to nie „Odkrywca" – przygotowywaliśmy się jeszcze przeszło dwa tygodnie. Na marginesie – jest to powszechny na świecie sposób wyruszania w dalekie rejsy, które zyskują rozgłos przed wypłynięciem. Najpierw jest uroczyste pożegnanie z gałą, przemówieniami i białymi chusteczkami, a później jacht wchodzi gdzieś do zacisznego portu i tam spokojnie przygotowuje się do wyjścia. My musieliśmy to robić w tym samym basenie, z którego wyszliśmy, gdyż w Gdyni jest nasza baza – Centrum Wychowania Morskiego i Wodnego ZHP.

Ostatecznie, po załatwieniu jeszcze setek spraw małych i dużych, załadowaniu blisko pięciu ton wyposażenia i żywności na pół roku „odgryźliśmy się" od nabrzeża. Było to tuż przed północą, w czwartek 23 sierpnia (w piątek nie wychodź w morze!). Tym razem nabrzeże było puste i wyludnione. Cichutko wychodzimy z uśpionego basenu i to już na dobre. Padaliśmy z nóg ze zmęczenia i niewyspania, a wciąż jeszcze nie mając tzw. klaru morskiego. Dla wielu rzeczy i drobiazgów trzeba było znaleźć odpowiednie miejsce i zamocować je. W tej sytuacji rzucamy kotwicę naprzeciw Kamiennej Góry, mając przed sobą rozświetloną Gdynię, ale będąc już w rejsie.

BAŁTYK

Jeszcze dzień pracy i w sobotę, 25 sierpnia, o drugiej w nocy podnosimy kotwicę i ruszamy w kierunku Helu. O świcie jesteśmy przed Helem. Robimy dewiację (kontrola wskazań kompasu w oparciu o znaki ustawione na lądzie) i tuż po śniadaniu jesteśmy przy pławie HEL – charakterystycznym znaku nawigacyjnym, u którego zbiegają się tory wodne Zatoki Gdańskiej. Wychodzimy zza osłony półwyspu helskiego. Świeża bryza z północnego zachodu podnosi stromą i krótką falę. Jacht mocno przeciążony i na dużym przechyle ciężko pracuje na fali. Z szafek i półek coś spada, coś brzęczy i drży. Leszek, inaugurujący pierwszą serię tygodniowych wacht kuchennych, walczy z latającymi talerzami i tańczącymi garami w kambuzie. Na pokładzie zmieniają się kolejne wachty: – sterowanie, obserwacja, kontrola pracy żagli, prowadzenie nawigacji i dziennika jachtowego. Podwachta (ci, co zeszli z pokładu) w każdej chwili gotowa do wyjścia w razie potrzeby, usuwa resztę „lądowego" bałaganu. Nadwachta (ci, którzy wyjdą na służbę) odpoczywa w kojach odsypiając zarwane noce.

Zaczyna się normalny od lat ustalony rytuał służb i życia na jachcie.

Około północy jesteśmy pod Rozewiem, tym ostatnim skrawkiem Polski, który zazwyczaj widzi żeglarz i marynarz wypływający w rejs. Tutaj po raz pierwszy i ostatni korzystamy z naszego nadajnika. Szczęściarzem jest Maciek, który za pośrednictwem Gdyni-Radio rozmawia z żoną. Następne próby uzyskania połączenia zawodzą – radionadajnik jest uszkodzony. Trudno nie będziemy wracać...

Tymczasem wiatr słabnie. Rano jest już tylko nieznośna martwa fala, która bezlitośnie strzela żaglami, tłucze bloczkami i miota jachtem jak wędkarskim spławikiem. Zrzucamy więc żagle i uruchamiamy nasz „patefon" czyli pomocniczy silnik marki „Puck". Swoimi 24-ma końmi ciągnie nas z szybkością 4–5 węzłów (ok. 8–10 km/godz.). Spędzamy pierwszą niedzielę na morzu, które w ciągu dnia robi się gładkie jak szklana tafla. Słodkie lenistwo. Denerwuje tylko ustawiczny warkot silnika. Zazdrościmy wyprzedzanemu jachtowi „Rodło" z gdyńskiej „Stali", któremu się nie śpieszy. Mogą się opalać rozkoszując się spokojem i ciszą. Wieczorem przebijamy się przez stada łowiących kutrów, obchodzimy od południa Bornholm i rankiem dochodzimy do Rugii. Malownicza wapienna wyspa o wysokich, białych i urwistych brzegach oświetlona porannym słońcem wygląda pięknie. Zawijamy do Sassnitz, portu znanego nam z poprzednich rejsów. W ciągu paru godzin postoju robimy wycieczkę do miasta w poszukiwaniu kilku drobiazgów brakujących w wyposażeniu naszego jachtu. Drobiazgów nie znajdujemy ale znajdujemy uroczą knajpkę „Pod Stokfiszem" zaopatrywaną przez miejscowy kombinat rybny. Raczymy się rybami i oczywiście bombą chłodnego piwa. Po południu wychodzimy w morze. Jest trochę wiatru. Wypróbowujemy nasz śliczny spinaker – olbrzymi żagiel-balon z bardzo cienkiego dakronu w biało-czerwone pasy. Zachodzące słońce, ciemniejące zarysy wyspy i granatowo-czarne morze tworzą oprawę naszego „Odkrywcy". Wieczorem mijamy prasłowiańską Arkonę z silną latarnią na wysokim północnym cyplu. Wchodzimy na ruchliwy szlak prowadzący z Bałtyku do Kanału Kilońskiego. Nocne wachty, wobec nasilonego ruchu dużych statków, są pełne napięcia i wymagają czujności. Mimo, że jednostki pływające pod żaglem mają prawo drogi to lepiej jest unikać kontaktów z mechanicznymi kolosami.

Rankiem wchodzimy do Warnemünde przedsionka Rostocku a jednocześnie miejscowości wczasowej. Robimy wypad pociągiem do Rostocku. Robimy zaplanowane zakupy sprzętu i wracamy. Wieczorem wychodzimy w morze. Wiatru ani śladu i nic nie wskazuje by coś powiało. Decydujemy się na żeglugę pod silnikiem i wybieramy najkrótszą do Kilonii drogę (pomiędzy wyspą Fehmarn a lądem). O świcie przechodzimy pod mostem nad cieśniną. Przeżywamy moment niepokoju – a nuż osiemnastometrowy grotmaszt zawadzi o przęsło... Ale to tylko złudzenie. Locja (opis wybrzeży, portów i szlaków wodnych) podaje że prześwit jest nie mniejszy niż 20 metrów. Przechodzimy oczywiście bez kłopotu i wchodzimy na wody Zatoki Kilońskiej – miejsca ostatniej Olimpiady żeglarskiej i Operacji Żagiel 72. Widocznym trwałym śladem tych wspaniałych żeglarskich imprez jest mnóstwo hoteli i portów jachtowych.

Po południu śluzujemy w Holtenau. Żegnamy Bałtyk, który był dla nas złośliwie łaskawy – większość drogi przebyliśmy na silniku a to urąga przecież dumnemu skrótowi s/y (sailing yacht) przed nazwą jachtu. Za śluzą spotkamy polskie statki-przetwórnie: „Albakora" i „Likowal" udające się na wody Północnego Atlantyku oraz szczeciński jacht „Karawela" wracający z Vigo. „Karawelowców" wypytujemy oczywiście o Vigo i Hiszpanię gdyż sami mamy zamiar tam wejść. Natomiast rybacy są pełni szczerego zainteresowania i podziwu dla naszych planów. Słyszymy: „Panie, ja widziałem fale wysokości naszego statku a to jest cholera siła. Nam nieraz łamało wiele żelastwa na statku. A wy cóż? Nie. Ja bym się nie wybrał czymś takim jak wasz „Odkrywca", na pewno nie!".

I sypią się rady z których wynika, że ci ludzie nigdy nie pływali na jachcie. Zaskoczeni są szczupłością naszych pomieszczeń, koi, brakiem lodówki itp. Równocześnie ofiarowują rozmaite usługi i pomoce. Korzystamy chętnie i z wdzięcznością. Napełniamy nasz zbiornik paliwa, korzystamy z pomocy „radzików" przy operacji nadajnika i delektujemy się „domową" kolacją na statku. Długo w noc sypały się dowcipy i opowieści. Wyraźnie odczuwało się u nich satysfakcję i swoiste umiłowanie zawodu. Uświadomiliśmy sobie głębiej ich olbrzymi trud. – Jeśli jest ryba ciągną ją aż do momentu kiedy nie ma jej gdzie ładować. Między kolejnym połowem, sortowanie, przeróbka, klarowanie sieci itp. Niekiedy całe doby nie śpią. Płynęli na osiem miesięcy, w czasie których będą mieć wokół siebie jedynie rybę, ocean,, rybę, ocean, rybę...

O świcie żegnamy sympatycznych rybaków i ruszamy do Brunsbüttelkog leżącego u ujścia Elby (Łaby). Kanał Kiloński przebiega przez żyzne doliny Schlezwik-Holsztynu. Żegluje się tu jak na śródlądziu — wkoło pasące się krowy, tyle tylko, że oceaniczne kolosy mijane co chwila świadczą, że jest to jednak droga morska.

Żegluga przez kanał, dla jachtów idących na zachód, jest zawsze okazją do zrobienia małych remanentów i przeglądu stanu żywności. Również i tym razem powywieszaliśmy nasze podpleśniałe kiełbasy, boczki i chleby do przesuszenia. Wzbudzaliśmy tym wielkie zainteresowanie przygodnych widzów i marynarzy ze statków. Żeglugę uprzyjemniały nam tradycyjne „kanałowe" placki ziemniaczane z dżemem serwowane przez niestrudzonego Leszka.

Bezpieczną i przyjemną żeglugę, nam Polakom zatruwają tu jedynie nazwy promów kursujących między brzegami kanału — Breslau, Kolgeg, Stopmunde, Sttetin, — i spotykane kawalkady okrętów Bundesmarine.

Śluzowanie w Brunsbüttelkog przebiega sprawnie i po południu jesteśmy na Elbie gdzie już porządnie dmucha. Łapiemy komunikat meteo — na Morzu Północnym sztorm z NW (z północnego zachodu). Paskudnie. Pod wiatr nie wyleziemy z rozległych mielizn delty na otwarte morze. Decydujemy się płynąć w górę rzeki i przeczekać sztorm w Hamburgu. Żegluga po Elbie jest bardzo uciążliwa z powodu dużego ruchu statków, silnych prądów pływowych oraz zdradzieckich mielizn przy krawędziach torów wodnych. Jachty zobowiązane są do trzymania się krawędzi torów o czym uprzejmie przypomniał nam oficer z motorówki Wasserschutzpolitzei kiedy w pewnym momencie ścinaliśmy zakole rzeki. Wieczorem z powodu bardzo silnego prądu odpływu nasz „Pucek" ledwo-ledwo pchał nas do przodu. Zdecydowaliśmy się wobec tego „przenocować" w porcie jachtowym w Weddel — najodleglejszej dzielnicy Wielkiego Hamburga. Nazajutrz o świcie z prądem przypływu wchodzimy do Hamburga. Wasserschutzpolitzei nie robi przeszkód w postoju i daje nam przepustki upoważniające do przebywania w Hamburgu. Jako miejsce postoju wybieramy Blankenese — cudownie położony porcik i dzielnicę w głębokich jarach wysokiego wschodniego brzegu Elby. Niemiecy jachtsmani przyjmują nas bardzo gościnnie. Udostępniają urządzenia portowe i bezpłatny postój.

Postój w Blankenese wykorzystujemy do przejrzenia takielunku, drobnych napraw, opierunek u gościnnych gospodarzy oraz zwiedzanie miasta. Miasto — moloch stoczniowo-portowy i olbrzymie centrum handlowe — nuży nas jednak. Interesuje nas wyposażenie jachtowe, sposób życia hamburczyków, ich poglądy. Dlatego też chętnie spotykaliśmy się z żeglarzami, którzy również interesowali się naszym krajem, naszą wyprawą. Te spotkania i zawarte znajomości są najcenniejszym wspomnieniem z pobytu w Hamburgu. Zostawiliśmy tam dobre wrażenie i zachęciliśmy wielu z nich do przypłynięcia do Polski.

Opuściliśmy Hamburg w nocy 4-go września. Przed nami Morze Północne, już po sztormie. Jak nas powita?

JAN KŁOSIŃSKI

BEZDOMNOŚĆ PIOSENKI

Dalszy ciąg ze str. 5

Łódzki w latach 1945—1962". Tym, co zaskoczyło mnie najbardziej, jako łodzianina z wyboru nie zaś z urodzenia, to przede wszystkim tradycje Sceny Poetyckiej w Łodzi, które sięgają roku 1945. Żałuję, że nie mogłem z racji swego wieku oglądać „Elektry" Giraudoux, którą ówczesny Teatr Wojska Polskiego zainaugurował swoje poszukiwania w dziedzinie poezji. A przecież trudno pominąć milczeniem program Estrady Poetyckiej „Na gruzach dom" wyreżyserowany przez Marię Wiercińską. Trudno pominąć także montaż poetycki Jana Kreczmara „Na gruzach Warszawy" czy też, jak się to wówczas nazywało, audycję poetycką pt. „Listy Chopina".

Idea zrodzona w tym dziwnym roku 1945 odżyła wiele lat później poprzez działalność Estrady Poetyckiej przy Teatrze Rozmaitości. Była to, obok krakowskiego Teatru Rapsodycznego druga scena poetycka w kraju. W repertuarze „Beniowski" Słowackiego (115 przedstawień oraz „Pan Tadeusz" Mickiewicza (187 przedstawień). Oba te spektakle wyreżyserował właśnie Wiesław Szczotkowski. W roku 1962 Teatr Powszechny zdecydował się na wystawienie widowiska poetyckiego „Nie głaskało mnie życie po głowie" opartego o teksty Władysława Broniewskiego, a wyreżyserowanego przez... Wiesława Szczotkowskiego.

I na tym skończyły się poetyckie zainteresowania profesjonalnych teatrów w Łodzi. Montaże poetyckie trafiały jeszcze do teatrów studenckich, próbuje kontynuować tradycje estrady poetyckiej Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Dzielnicowego Łódź—Górna za sprawą pani Zdzisławy Szejak, ale tak czy inaczej czekał poezję mariaż dość nieoczekiwny z Estradą. To Estrada Łódzka właśnie przyjęła pod swe opiekuńcze skrzydła zespół „Camer - - ton", który wystąpił z programem poetycko-muzycznym „Ars poetica".

W reklamowym prospekcie czytamy:

„Program Ars Poetica" to zawodowy debiut artystyczny czwórki młodych wokalistów — studentów i absolwentów łódzkiej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej — występujących pod egidą ESTRADY ŁÓDZKIEJ.

Jadwiga Sosińska, Adam Koziołek, Daniel Saulski i Andrzej Maciej Chmielarz wprowadzają nas w atmosferę wierszy Konopnickiej, ale i Osieckiej... Asnyka i Iwaszkiewicza, Rydla — a zarazem Gałczyńskiego, Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej i Świrszczyńskiej...

...otwierają przed nami tomiki ich poezji strofami swoich piosenek".

Byłem na koncercie „Camer - tonu" w szacownych murach Muzeum Sztuki w Łodzi, które z zadowoleniem powitało te inicjatywe Estrady Łódzkiej, ściślej zaś czwórki młodych zapaleńców, do których przyłączył się Wiesław Szczotkowski, który spektakl wyreżyserował. Nie jest to zresztą spektakl bez rys i pęknięć, gdyż kojarzy często odległe bardzo poetyki, choć eklektyzm warstwy słownej łagodzi doskonała muzyka Andrzeja Chmielarza i zręczna realizacja Szczotkowskiego. Tym jednak, co uderza najbardziej w programie „Ars Poetica" jest odświeżające działanie muzyki, która nawet tak zużytym i wytartym tekstom jak „Do młodych" Asnyka przydaje nowych, nieoczekiwanych walorów estetycznych.

Widziałbym tu szansę nie tylko regenerowania obumarłych poetyk, ale przede wszystkim zjednania sobie słuchaczy dla poetyk nowych, wstępujących, które z takim trudem torują sobie drogę poprzez księgarskie półki. Rzecz bowiem w tym, że próba podjęta przez „Camer - ton" zadowolić może zarówno wytrawne podniebienia jak też wysublimowane umysły, może wreszcie uczulić na muzykę poezji ludzi z pozoru głuchych. W tym kontekście staje się zrozumiałe dlaczego na początku moich rozważań o sytuacji poezji przywołałem mało znane zdanie Plutarcha cytującego to, co zwykł był mawiać Filoksends.

Parę zdań o „Camer - tonie".

Jego istnienie nie byłoby możliwe bez właściwej atmosfery w PWSM, atmosfery sprzyjającej poszukiwaniom artystycznym młodzieży akademickiej. Toteż studenci Wydziału Wokalno-Aktorskiego szybko znaleźli zrozumienie i poparcie swego dziekana docenta Rajmunda Ambroziaka. Wszyscy członkowie „Camer - tonu" z wyjątkiem Jadwigi Sosińskiej, która pracuje już jako pedagog w średniej szkole muzycznej, są studentami V roku PWSM. Dziekan Ambroziak przystał nawet na flirt swoich wychowanków z Estradą Łódzka, choć jak przypuszczam musiał przełamać niemałe wewnętrzne opory, bo dotychczasowa działalność tej instytucji nie dawała bynajmniej powodu do zachwytów. Toteż nie dziwi mnie, że działalność „Camer-ton" lepiej znana jest w Karl-Marx-Stadt czy Rudolfstadt niż w rodzimej Łodzi. Nie dziwi mnie także, że zespół Chmielarza znalazł większe zrozumienie i poparcie w Zielonej Górze czy Lublinie niż w macierzystej instytucji opiekuńczej, którą bardziej obchodzą efekty komercjalne niż artystyczne. Dla Estrady Łódzkiej „Camer - ton" jest dość kłopotliwym balastem, o czym najlepiej świadczy fakt, że nie umiała zapewnić swoim podopiecznym sali do prób i wszystkie przygotowania do programu odbywały się w arcytrudnych warunkach w piwnicy.

„Wydaje mi się, że mimo kłopotów, przynajmniej do pewnego czasu atmosfera w Estradzie była mimo wszystko sprzyjająca" — **oceniła sytuację zespołu Jadwiga Sosińska. Wyczuwam w tej wypowiedzi pewne niedomówienia, gdyż w moim reporterskim odczuciu rzeczywistym mecenasem zespołu okazało się Muzeum Sztuki, które patronowało premierze „Camer - tonu" w lipcu ubiegłego roku.**

Dziś zespół znajduje się w paradoksalnej sytuacji. Sprawdziwszy się w trudnej, artystycznej próbie musi zadać sobie pytanie, co dalej. Mecenat Estrady ulega stopniowemu rozluźnieniu, mimo zabiegów Szczotkowskiego, aby zapewnić młodym artystom dalszy rozwój.

Musi nas ta sytuacja zaniepokoić. Stanowisko Estrady jest o tyle niezrozumiałe, że nawet konkursy recytatorskie będą preferować w roku bieżącym poezję śpiewaną. Istotnym przekształceniom ulegnie także tradycyjny Ogólnopolski Festiwal Poezji w Łodzi kładąc nacisk na związki poezji z innymi dyscyplinami sztuki. Działalność „Camer - tonu" te niepokoje o społeczne oddziaływanie słowa poetyckiego jakby wyprzedziła. Dlatego też nie wolno nam zaprzepaścić dotychczasowego dorobku zespołu.

KONRAD FREJDLICH

P.S. Przed oddaniem tego artykułu do druku dzwoniłem do Estrady Łódzkiej. Poinformowano mnie, że od lutego br. Wiesław Szczotkowski nie pełni już funkcji dyrektora artystycznego, powierzono mu stanowisko jednego z reżyserów. Czyżby przyczyną tej degradacji były zabiegi Szczotkowskiego o uznanie „Camer - tonu" za pełnoprawnego partnera Estrady?

Fot. A. Malarski

TEATR

Pod koniec ubiegłego roku Witold Filler opublikował swe uwagi na temat wydarzeń teatralnych. Między innymi stwierdził:

„Elementem, który odstrasza, może być teatralny repertuar — trzeba mieć tego świadomość, zwłaszcza przy opracowywaniu kompleksowych planów w ośrodkach wieloteatralnych, przy stawce na świadomy eklektyzm w miastach monoteatralnych. Nie może to być jednak w żadnym wypadku rozumiane jako namawianie do obniżania kryteriów artystycznych, jako taryfa ulgowa dla Mniszkówny czy Pawła Staśki. I budzi zrozumiały niepokój sytuacja, gdy w Łodzi kierownictwa artystyczne teatrów tym właśnie tropem zdążają ku masowemu odbiorcy (w bieżącym repertuarze — „Trędowata" w Teatrze im. Jaracza, adaptacja kiczowatego romansu Staśki w Teatrze Ziemi Łódzkiej, wątpliwa popularyzacja Żeromskiego „Dziejami grzechu" w Teatrze Nowym). I wywołuje odruch protestu ogólnopolska kariera angielskiej sztuczki Gershe'a „Motyle są wolne", która niby to odsłaniając zakłamanie mieszczańskiej moralności, de facto każde odsłaniać... piersi aktorkom. Sprzeciwiając się zatem tandecie artystycznej, jako rzekomemu lekarstwu na kłopoty z obojętnym widzem masowym, tym skuteczniejszy środek na przyciągnięcie tego widza należy dostrzegać w ofensywnej gospodarce popularnością aktorską. Aktor, którego widz zna z małego i dużego ekranu, z którym zdążył się już zaprzyjaźnić, któremu wierzy — oto broń w walce o frekwencję!"

W związku z tą opinią zwróciliśmy się do kierownictw teatrów: im. Stefana Jaracza, Nowego i Ziemi Łódzkiej z prośbą o wypowiedzi na temat uwag Witolda Fillera.

Poniżej publikujemy teksty otrzymanych listów.

JERZY ZEGALSKI — dyrektor Teatru Nowego

1. Sprawa obniżania kryteriów artystycznych w naszych teatrach podniesiona przez red. W. Fillera jest złożona i trudna.

2. Potrzeba społeczna widowisk popularnych, w tym melodramatycznych, jest powszechna i autentyczna. Na takie widowiska chodzą ludzie z różnych klas i warstw społecznych, o różnym wieku i dojrzałości intelektualnej. Chodzą za własne, często niemałe pieniądze, i nie tylko w Łodzi, nie tylko w Polsce.

3. Sztuka teatru i związana z nim myśl estetyczna w drugiej połowie XX wieku w zasadzie wyeliminowała widowiska popularne z terenu twórczości teatralnej. Egzystują one na mniej lub bardziej tolerowanym marginesie kultury teatralnej.

4. Kultura socjalistyczna powinna zarówno zaspokajać potrzeby społeczeństwa na widowiska popularne, jak stwarzać warunki dla rozwoju współczesnej sztuki teatru i związanej z nią myśli teoretyczno-estetycznej. Czy można te zadania wypełniać w ramach jednolitej struktury życia teatralnego? Osobiście sądzę, że nie.

5. Struktura ekonomiczno-usługowa teatrów łódzkich łączy w jednym organizmie teatralnym obowiązek wypełniania obu zadań. Uważam, że ze szkodą dla wszystkich. Zmiana tego stanu rzeczy nie leży w możliwościach kierownictw artystycznych, tym bardziej, że dyrektywny wskaźnik wpływów uzyskiwanych od ludności i utworzenie funduszu zachęty materialnej dla zespołów teatralnych zmuszają do podporządkowania się wymogom kasy.

6. Łączenie w jedną całość problemową utworów Staśki, Mniszkówny i Żeromskiego jest, delikatnie określając, niewłaściwe. „Dzieje grzechu" są moim i nie tylko moim zdaniem, wybitnym dziełem literackim polskiego modernizmu.

Pretekstem do odsłaniania piersi aktorkom nie musi być melodramacik Gershe'a. Może nim być także „Nieboska komedia". W Łodzi w tych sztukach piersi aktorkom nie odkrywano.

Generalnie zgadzam się z Witoldem Fillerem. Sytuacja artystyczna teatrów łódzkich budzi niepokój.

JAN MACIEJOWSKI — dyrektor Teatru im. S. Jaracza

„Szanowny Panie Redaktorze, otrzymałem list Pana z propozycją odpowiedzi na zawarte w artykule Witolda Fillera uwagi dotyczące teatrów łódzkich. Wydaje mi się, że podjęcie przez redakcję „Odgłosów" dyskusji z tezami Witolda Fillera byłoby inicjatywą dla łódzkiego środowiska teatralnego ogromnie cenną. Niemniej jednak nie uważam za celowe rozpoczynanie dyskusji od wypowiedzi stron bezpośrednio zainteresowanych (tzn. dyrektorów teatrów). Groziłoby to sprowadzeniem całego problemu do zasady „uderz w stół..."

Łódź posiada grupę krytyków zajmujących się systematycznie oceną poszczególnych przedstawień, analizujących problemy życia teatralnego miasta. Łódź posiada Instytut Teorii Literatury, Teatru i Filmu, którego pracownicy interesują się żywo dokonaniami naszych teatrów. Są działacze kulturalni, oceniający teatr od strony potrzeb polityki kulturalnej; zdarzają się też sympatycy teatru, lubiący teatry łódzkie — lub nie. Jeżeli konkluzje Witolda Fillera uważacie za słuszne — przedrukujcie jego artykuł, jeżeli budzą Wasze wątpliwości i sądzicie, że byłoby to potrzebne — zapoczątkujcie dyskusję o łódzkim teatrze w gronie jego odbiorców — nie twórców".

JAN PERZ — dyrektor Teatru Ziemi Łódzkiej

Wyrwany z kontekstu teatralnego repertuaru jeden tytuł — może prowadzić do mylnych ocen i konkluzji. Aby dać świadectwo prawdzie, przypomnę, że w sezonie 1972/73 w Teatrze Ziemi Łódzkiej rola sztuk wiodących przypadła następującym pozycjom: „Don Kichot wyzwolony" A. Łunaczarskiego (polska prapremiera z okazji 50-lecia ZSRR) i „Rzeczpospolita zapłaci" Haliny Auderskiej (obchody w Wolborzu i całym województwie łódzkim 400-lecia śmierci A. Frycza-Modrzewskiego).

Ponadto wystawiliśmy „H. i G., czyli nasze wspólne małżeństwo" R. Gorzelskiego i F. Erola (prapremiera sztuki łódzkich autorów) w reżyserii H. Kluby oraz „Żabusię" G. Zapolskiej, „Wódko, wódeczko..." A. Jareckiego i... wspomniany przez red. W. Fillera „Sabath życia" Roberta Nixa (na motywach powieści P. Staśki).

Najzabawniejszy w omawianym nieporozumieniu jest fakt, że reżyser „Sabathu życia" H. Szram-Kijowska potraktowała przedstawienie jako persyflaż na tego rodzaju repertuar grany na serio, co nie pozbawione było wdzięku w naszych warunkach lokalnych.

Jeden wniosek nasuwa się wyraźnie: więcej wizyt redaktorów „Teatru" w Łodzi.

CO WYBIERZE TEATR?

Mam nadzieję, że nie będę odosobniony w twierdzeniu, że nasze teatry stały się przedsiębiorstwami z rodzaju tych, co to „świadczą usługi dla ludności". Teatry „świadczą" lepsze i gorsze spektakle, na ogół przeciętnie niezłe. Ludność korzysta z usług tych przedsiębiorstw w sposób powiedziałbym umiarkowany. Największym zapotrzebowaniem cieszą się oczywiście komedie i melodramaty. Ten stan rzeczy utrzymuje się od szeregu lat i nic nie wskazuje na rychłe zmiany. Czy dobrze, że popyt na usługi rozrywkowe utrzymuje się na tak wysokim poziomie? Sądzę, że dobrze, tylko producenci nie nadążają...

Teatry świadczące rozrywkę zawsze miały i mieć będą łatwy zbyt na rynku, czasem ten „zbyt" jest aż za łatwy, co rozleniwia autorów, dyrektorów i aktorów. Szczęśliwie wymagania ludności ciągle rosną, rozrywka przeliczana na sztuki nikogo już nie cieszy. Pewnie dlatego takie powodzenie ma „Trędowata".

Teatry, czyli przedsiębiorstwa świadczące usługi dla ludności robią co mogą aby sprostać najszerszym gustom swoich klientów. Wiadomo, że człowiek oświecony nie tylko śmiać się lubi. Wynika to w prostej linii z posiadania przez jednostkę „teatro-widza" zdolności do „uczuć wyższego rzędu". Oświecona publiczność chce i lzę uronić i przestraszyć się i uśmiać setnie. Mało jest takich sztuk, które by za jednym zamachem zaspokoiły wszystkie życzenia ludności. Wiedzą o tym szefowie teatrów, wiedzą krytycy. Dramat to jest dramat — nie do śmiechu, komedia to komedia — bez łez (publiczności), gdzieś pośrodku pęta się groteska. Ale z groteskami nigdy nic nie wiadomo, czasem ani śmieszą ani wzruszają a nawet nie denerwują. Trzeba więc zachować daleko posuniętą ostrożność.

Nasze trzy teatry: Jaracza, Nowy i Powszechny swobodnie korzystają ze wszystkich gatunków dramatycznych. Korzystają, powiedziałbym jednocześnie, to znaczy każdy teatr zachowuje się tak, jakby nie było pozostałych. Statystycznie rzecz biorąc mamy w mieście Łodzi trzy przedsiębiorstwa świadczące usługi dla ludności w zakresie widowisk teatralnych (mam na myśli zespoły dramatyczne a nie sceny) co w praktyce sprowadza się do istnienia jednego przedsiębiorstwa w trzech wersjach.

Teatry jak wiadomo różnią się nie tylko repertuarem ale i sposobem gry czyli tak zwanym stylem. Otóż u nas styl też jest jeden. Gra się wszystko w przeciętnie dobrym stylu z odchyleniami w górę (dosyć rzadko) i w dół (dosyć często).

Nie sądzę aby można było mówić o kryzysie teatralnym. Kryzys jak wiadomo jest stanem przejściowym a w naszym przypadku mamy raczej do czynienia ze stabilizacją. Inna rzecz czy taka „stabilizacja" zdolna jest zadowolić oświeconego teatro-widza z roku 1974.

Jeszcze gorzej sprawa przedstawia się w przypadku teatrów objazdowych. Działają one w pionierskich warunkach od lat blisko trzydziestu pełniąc rolę uniwersalnych omnibusów świadczących usługi dla ludności małych miast i wsi w zakresie wszystkich potrzeb teatralnych. Grają od Sofoklesa do „Damy Kameliowej". Dobrze to i źle... Czasem, na skutek niezwykle trudnych warunków technicznych teatry objazdowe sieją zamiast ziarna — plewy. I wszystko to dzieje się, gdy ogólnie dostępna telewizja emituje na cały kraj spektakle tak znakomite, jak chociażby ostatnia premiera „Niemców" Leona Kruczkowskiego.

Stan posiadania w zakresie „świadczenia usług teatralnych dla ludności" nie jest oczywiście aż tak pesymistyczny, jak by to wynikało z moich uwag, ale i nie jest aż tak dobry jak piszą recenzenci po kolejnych premierach: „ciepło i ze zrozumieniem bez deprymującej krytyki". Łódź teatralna nie jest w — moim odczuciu — wyjątkiem na mapie kulturalnej kraju. Nie odbiegamy od średniej przeciętnej poziomu ogólnopolskiego. Nie zamierzam bilansować zasług i niepowodzeń naszych teatrów, chcę tylko przypomnieć niektóre typowe także dla Łodzi ułomności przedsiębiorstw świadczących usługi dla ludności w zakresie widowisk teatralnych.

BYLE NIE NIJAKI

Ze wszystkich grzechów głównych naszych teatrów na pierwszym miejscu wymieniłbym nijakość. Nijaki bywa repertuar i nijakie wykonanie, nijakim bywa autor, kierownik artystyczny, aktor, reżyser i scenograf. Prawdziwą nudą wieje z teatru wtedy, gdy wszystkie te nijakości połączą się w zgodną całość.

Poprawność konwenansu teatralnego jest mimo wszystko mniej groźna od spontanicznego eksperymentowania. Nic mnie tak nie denerwuje w teatrze jak celebra „własnych" odkryć w zakresie techniki teatralnej niektórych reżyserów. Oto spektakl grany jest bez kurtyny, precz z podziałem na scenę i widownię! — oto aktorzy brykają swobodnie po widowni nawiązując w ten sposób bezpośredni kontakt z ludnością. Oto... mógłbym jeszcze wymienić wiele podobnie „awangardowych" chwytów, będących nawet w teatrach studenckich w niskiej cenie. Jeśli to ma być sposób na oderwanie ludności od telewizora, to śmiem wątpić w jego skuteczność. Prawdą jest, że aktor z telewizora nie biega po naszym mieszkaniu, nie wypija nam herbaty, nie myje się w naszej łazience, ale nie na tym polega nieporównywalność wieczoru spędzonego w teatrze a przed telewizorem. Tak zwany „żywy kontakt" ze sztuką nawiązujemy przez fizyczną obecność w sali teatralnej na miejscach przeznaczonych dla publiczności. Przywykliśmy do roli publiczności i całkiem nam z tym dobrze. Choćbyśmy byli na setnym przedstawieniu, to będzie ono inne od wszystkich poprzednich i każdego następnego, ponieważ aktorzy grają tylko dla nas, dla tych którzy przyszli na spektakl.

Wniosek byłby więc prosty — teatry winny wykorzystać wszystko to, co różni je od telewizji i filmu. Tylko gdzie jest odpowiedni repertuar przede wszystkim polski współczesny? Nie chcę powtarzać lamentów o niedostatkach naszej dramaturgii, bowiem racja jest po obu stronach: pisarzy i dyrektorów. Sądzę, że dialog między obiema wysokimi stronami trwający od szeregu lat, gdyby został przeniesiony na teren konkretnego teatru, owocowałby szybciej.

Dlaczego dramaturg nie miałby pisać w teatrze korzystając z doświadczeń reżyserów, scenografów, aktorów? Oczywiście, nie myślę tu o pisaniu na zadany temat, ale o współuczestnictwie w narodzinach sztuki praktyków — realizatorów. Nie mówię rzeczy nowych, taka forma współpracy była i jest praktykowana w wielu krajach, dlaczego nie mielibyśmy z niej korzystać?

Teatr nijaki to teatr poprawny, grzeczny, grający sztuki „pewniaki", bez linii repertuarowej i bez wyraźnego stylu. Teatr nijaki najłatwiej prowadzić, ryzyko małe a i lepsze spektakle też mogą się zdarzyć. Teatr nijaki byłby więc teatrem łatwym, ogólnie dostępnym, ale mimo pozorów nie stałby się teatrem powszechnym w znaczeniu ludowym i nie wytrzymałby konkurencji z telewizją.

Zróżnicowanie trzech łódzkich teatrów pod względem repertuarowym uważam za rzecz konieczną. Wiem, że tego nie załatwi się zarządzeniem. Sądzę, że teatry winne same dążyć do wypracowania indywidualnych koncepcji, żeby widz, jak to niegdyś bywało zaczął znów chodzić do teatru a nie tylko na sztuki. I nie jest prawdą twierdzenie iż taki podział na np. teatr klasyczny, współczesny i komediowy zahamowałby rozwój artystyczny zespołu, ograniczył możliwości twórcze i repertuarowe. Teatr współczesny, dla przykładu może i powinien grać także klasykę, ale sposób interpretacji dramaturgii klasycznej winien być współczesny.

Teatr trudny — typu intelektualnego — poruszający problemy dnia dzisiejszego ma w moim przekonaniu wiele szans nie wykorzystanych. Myślę tu także o teatrze faktów, który zbyt szybko przechwyciła telewizja. Zapewne kamery nie zastąpi rampa sceniczna, ale teatr faktów w wersji artystycznej dalej najlepiej sprawdza się w żywym planie, w bezpośrednim kontakcie z publicznością. A teatr poezji, czy rzeczywiście przeżył się bezpowrotnie?

Każda z trzech dyrekcji łódzkich teatrów uruchomiła kameralne scenki, pomysł godny pochwały, ale żadnej z tych scen nie przeznaczono na teatr poezji. Nie mamy też eksperymentalnej sceny debiutów, już nawet zaniechaliśmy organizowania konkursów na utwór dramatyczny. Może to i dobrze, doświadczenia pokonkursowe nie skłaniają do optymistycznych wniosków, ale może warto byłoby zastanowić się nad utworzeniem przy jednym z teatrów małej sali dla teatru autorskiego?

Teatr autorski wyobrażam sobie w sposób następujący: za łaskawym przyzwoleniem dyrekcji, przy skromnych dotacjach finansowych, wydzierżawia się autorowi małą scenę i zapewnia mu się niezbędne wyposażenie techniczne wraz z obsługą. Zezwala mu się na zaangażowanie aktorów. Autor próbuje swoich sił, sprawdza tekst, swoje pomysły i ponosi w znacznym stopniu ryzyko eksperymentu. Do współpracy można zaprosić reżyserów i krytyków. Na szczęście nasze teatry świadczące usługi dla ludności nie są wyłącznie nastawione na przynoszenie zysku, można by więc przewidzieć pewien margines w budżecie na wyrównanie ewentualnych strat. Nie sądzę żeby to były wielkie sumy.

Renesans kameralnych teatrów tłumaczy się nie tylko mniejszymi kosztami produkcji, ale przede wszystkim rozwojem telewizji. Tylko duże teatry i kameralne mają szansę konkurowania z TV, ale nie średnie. Średnie w sensie sal teatralnych i średnie w zakresie poziomu artystycznego.

CO PRZESZKADZA?

Struktura organizacyjna teatru jako przedsiębiorstwo świadczące usługi dla ludności? Przepisy, prawo zwyczajowe, wadliwe zarządzanie? — Wszystko to razem plus drażliwe sprawy warsztatu aktorskiego, reżyserskiego i autorskiego. O tym szeroko w swoim czasie pisała „Literatura", nie chcę wracać, ale z pozycji życzliwego obserwatora snując powyższe uwagi chciałbym na przykładzie łódzkich teatrów zastanowić się głośno nad możliwościami zmiany istniejącego stanu rzeczy.

Z licznych rozmów z kierownikami teatrów i aktorami przeprowadzonych na antenie Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia zebrał mi się spory materiał. Wszyscy zgodni byli co do konieczności zmian, ale każdy z rozmówców miał — jak to zwykle bywa — własny pogląd na sposób realizacji nowatorskich pomysłów.

Były propozycje utworzenia jednego teatru ze stałą obsadą aktorską (mam na myśli etaty) a pozostałe sceny wynajmować do sztuk. Wydział Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi, gospodarz budynków teatralnych, wydzierżawiłby sale zespołom aktorskim czyli tzw. „trupom". Proponowano angażować aktorów do ról na okres co najmniej półroczny. Inaczej musiałyby się kształtować zarobki aktorów — płacić za spektakle i za próby. Mówiło się też o powiększeniu istniejących teatrów o scenę młodego widza z odpowiednim repertuarem, o zapewnieniu możliwie największej swobody twórczej i organizacyjnej kierownikom artystycznym. Były też projekty utworzenia małych zespołów teatralnych przy większych zakładach pracy...

Sprawom bytowym aktorów poświęcono nie mniej uwagi. Mamy duże zespoły aktorskie, może zbyt duże i przez to nie wykorzystywane w pełni. Wiadomo przecież, że dla aktora nie ma nic gorszego jak „przestój". Z kolei w małych miastach, gdzie działa tylko jeden teatr obserwuje się brak aktorów. Pozostają sprawy do rozwiązania tak niezwykle skomplikowane jak: otrzymanie mieszkań czy też budowa hoteli w rodzaju „Domów Aktora". A rozbicie rodzin? Uzyskanie pracy dla żony, męża?

Rotacja w zespołach artystycznych teatrów jest konieczna, nie myślę tu o „odpływie" do Warszawy, ale o wymianie z Krakowem, Poznaniem czy Wrocławiem.

Tytułem eksperymentu proponowałbym angażować aktorów do sztuk biorąc pod uwagę trzy łódzkie teatry. Przykładowo: Teatr im. S. Jaracza che wystawić „Otella" i uzupełnia własną obsadę o aktorów z Teatru Nowego i Powszechnego. Byłoby to możliwe, gdyby te trzy teatry miały wspólną radę artystyczną. Wydaje mi się celowe angażowanie do ról aktorów z innych miast. Dobrze by było, gdyby szacowne teatry miejskie wymieniały się np. Teatr im. S. Jaracza z Łodzi na określony czas (powiedzmy dwóch miesięcy) wymieniłby się z Teatrem Starym z Krakowa. Wymiana objęłaby kilka spektakli. Należałoby w znacznie większym stopniu niż to się praktykuje angażować reżyserów i scenografów z innych miast do wybranych sztuk.

Zdaję sobie sprawę z niedoskonałości powyższych propozycji, ale podzielam w pełni opinie tych, którzy twierdzą, że sytuacja w teatrach dojrzała do zmian poważnych. Teatr nie może być tylko przedsiębiorstwem „świadczącym usługi dla ludności", teatr musi wzbogacać ogólnonarodową kulturę o własne, niepowtarzalne wartości artystyczne. W ogóle to chodzi o to, aby nasze teatry przestały być średnie a stały się artystyczne.

STEFAN KUBICKI

TEATR

LUCYNA SZCZYPIŃSKA i JADWIGA KOLANEK — nauczycielki XXI LO im. B. Prusa

Odbywamy często wycieczki do teatrów warszawskich. Przedstawienia Teatru Narodowego — Adama Hanuszkiewicza są głównym celem naszych wizyt w stolicy. „Nieboska komedia", „Kordian", „Norwid" i inne spektakle były dla nas i dla młodzieży dużym przeżyciem artystycznym. Ważne są też wycieczki do teatrów nie na przedstawienia, ale w celu zapoznania młodzieży z tym wszystkim, co składa się na spektakl.

Jeśli chodzi o uwagi krytyczne pod adresem teatru, to pragnęlybyśmy, by słuszna i piękna idea abonamentów teatralnych uległa obecnie pewnej korekcie. Dla młodzieży trzeba grać tak dobrze jak dla dorosłych, a nawet lepiej. Niestety, często przedstawienia popołudniowe, przeznaczone dla młodzieży, są odgrywane a nie grane. Młodzi widzowie wyczuwają to szybko i natychmiast przestają wierzyć aktorom. Jeśli kontakt sceny z widownią zostanie zakłócony, to trudno go przywrócić. Ważne jest również, aby widownia nie składała się w większości z młodzieży. Atmosfera „dorosłości" odpowiada młodzieży, nobilituje i również uczy.

Uczniowie XXI LO im. B. Prusa

Dlaczego tak trudno dostać bilety na przedstawienia teatrów goszczących w Łodzi, np. „Cricot II" czy na „Końcówkę" Becketta z Mają Komorowską? Dlaczego wizyty teatrów z innych miast należą w Łodzi do rzadkości?

Uważamy, że w repertuarze teatrów Łodzi za mało jest dramatów współczesnych i awangardowych. Niemniej jednak zawsze z chęcią oglądamy klasykę. Niestety, ona inscenizowana jest nieciekawie. Np. sztuka Apolla Korzeniowskiego „Dla miłego grosza" w Teatrze Nowym. Przecież ten spektakl był po prostu nudny.

Teatr Ziemi Łódzkiej, Teatr Powszechny, Teatr 7.15, Teatr Rozmaitości są brudne, mają nieestetyczne wnętrza, skrzypiące deski scen. W wypadku Teatru 7.15 — fatalna aparatura nagłaśniająca.

ZYGMUNT KOZŁOWSKI — pracownik umysłowy

Moje systematyczne kontakty z teatrem uległy rozluźnieniu. Powody: przeważnie brak czasu, zmęczenie, choć to można by pokonać. Ale odczuwam po prostu brak chęci do pójścia do teatru, obawę przed rozczarowaniem, nastawiony niekorzystną opinią najbliższych i znajomych, z którymi kontaktuję się na co dzień. Od wielu lat recenzje w prasie nie wyrażają się pochlebnie o teatrze łódzkim.

Do teatru przyciągają aktorzy. Trudno jest mi wymienić z aktorów łódzkich choćby jednego, którego sława i gra zjednałyby w ostatnich latach grono stałych wielbicieli. To przykre, ale w sytuacji tego miasta — prawdziwe.

HALINA OLCZAK — sekretarz Rady Zakładowej ZPB im. J. Marchlewskiego

Mamy stałą grupę miłośników teatru. Oni z chęcią chodzą na wszystkie sztuki. W ciągu dwóch miesięcy bieżącego roku rozprowadziliśmy około tysiąca biletów. Najchętniej kupowane są bilety do operetki i na komedie. W teatrze chcielibyśmy znaleźć przede wszystkim

Dalszy ciąg na str. 9

PEWNEGO DNIA w GRUDNIU...

Grudzień. Przedpołudnie. Sobota. Teatr Nowy w Poznaniu. Jasna elewacja odremontowanego budynku wyróżnia go z szeregu innych.

W hallu trwają jeszcze prace remontowe. Na drabinach robotnicy. Na posadzce foyer paczki, częściowo rozpakowane rzeźby, odrealnione gipsowe postacie. Z sali słychać głos: — Czterdziestka jaśniej, ton boczny stonuj, dobrze!

Na scenie technik stoi w miejscu, gdzie rozgrywać się będzie jedna z sekwencji przedstawienia. Reżyser nie godzi się na boczne oświetlenie sylwetki. Słychać przesuwanie reflektorów. Jaśniej, ciemniej, padają numery reflektorów. Wieczorem na próbie miałem okazję dostrzec „niedostrzegalne", płynne operowanie światłem, stwarzającym specyficzny klimat spektaklu „Gigantów z gór" Luigi Pirandella.

Na zapleczu obecny jest prawie cały zespół aktorski. Przy prowizorycznym bufecie wisi na ścianie ogłoszenie:

„APEL! KOLEDZY!

W związku z piętrzącymi się trudnościami, bardzo proszę o pełną gotowość, tzn. niebranie dodatkowych zajęć poza teatrem. Może się zdarzyć, że terminy prób ulegną nagle zmianie. Jesteśmy w rękach techniki.

IZABELLA CYWIŃSKA"

Ręce techniki są jednak dla mnie łaskawe. Psuje się coś na rampie reflektorowej i dyrektor Izabella Cywińska mówi do mnie:

— No, mam chwilę czasu.

— Okres dyrekcji w Kaliskim Teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego — korzystam z okazji, aby sformułować pytanie — jest dla Pani już zamkniętą historię: Można z niej wyciągać wnioski, mówić o doświadczeniach tamtych kilku lat. Staliście się wtedy przykładem dobrego teatru „na prowincji". Co pozwoliło stworzyć tak jednolity zespół? Co was spoiło?

— Istnieje wśród ludzi teatru, a szczególnie wśród młodych, nie zdemoralizowanych złym profesjonalizmem, ogromna ideowość. I ją trzeba przede wszystkim wyzwolić. Obawiam się, że w Poznaniu będzie z tym trudniej, ale już mam prawo przypuszczać, że mamy podobną atmosferę w teatrze, jak w czasie pracy w Kaliszu. Ludzie muszą uwierzyć, że wspólnie buduje się teatr. Zadanie dla każdego należy stawiać jasno, a wymagać z kolei świadomego wykonywania. Tu naprawdę praca każdego składa się na całość. W Kaliszu zebraliśmy się mając wspólny program artystyczny i ideowy. Przyszli ludzie z wyboru. I tak jest chyba lepiej, aniżeli wtedy, kiedy aktorzy zastają dyrektora lub dyrektor angażuje się do budynku. Myśmy angażowali się po prostu do siebie.

— Wspomniała Pani, że byli to ludzie młodzi. To reguła?

— Jeśli chodzi o tę młodość ducha — to tak, ale nie zawsze pokrywa się ona z wiekiem. To sprawa stosunku do teatru, jak i chyba do wszystkiego tego, co się robi. I jak się robi. Ponadto sądzę, że nie należy bać się rozwiązywania kontraktów, bo krzywda (jeśli to można nazwać krzywdą) jest jednostkowa. Odchodzi ten, kto nie może się porozumieć i nie zgadza się z programem teatru, akceptowanym przecież przez całą grupę. Nie zgadza się z zespołem. Przecież w innym teatrze może czuć się lepiej i sprawdzać się. W Polsce byłoby cudownie, gdyby było tyle modeli teatrów co teatrów.

— I, gdyby indywidualność dyrektora zapewniała teatrowi ową odrębność, modelowość... Czy jako dyrektor Teatru Nowego w Poznaniu, w mieście z ośrodkiem radiowym i telewizyjnym, nie obawia się Pani tzw. demoralizacji zespołu pojęciami pozateatralnymi?

— Radio pomaga — przecież aktorzy mają wspaniałą możliwość wsłuchania się w wymowę, uszlachetnienia jej, pracy nad głosem. Telewizja wymaga innych środków gry, zwiększa dyscyplinę gestu, ruchu. Też pomaga aktorowi w pracy nad sobą. Rzecz w tym, by się nie dać rozprzedać, zagubić. Wierzę w mój zespół, że jesteśmy na tyle zaangażowani i ideowi, by nie zapomnieć o tym, że pierwszą naszą sceną jest teatr. Wtedy wszystko inne może być nam pomocne.

— Pani odwaga, jeśli chodzi o telewizję, sięga dalej. W planach premier widziałem „Śmierć Tarełkina" Suchowo-Kobylina, a ten spektakl był na ekranie TV.

— Są pewne zmiany, jestem pewna, że jest to przedstawienie wybitnie aktorskie — wspaniała rola Janusza Michałowskiego. To przyciąga widzów.

— Zainteresował mnie apel....

— Tylko proszę zauważyć, że nie jest to dyspozycja, a prośba. Jesteśmy na pięć minut przed dwunastą. Za kilka dni premiery. Apeluję więc o stałą gotowość całego zespołu. Zresztą roboty jest jeszcze wiele, a u nas tak właśnie bywa, że na przykład grupa nie biorąca udziału w dzisiejszej próbie, organizuje uroczystość popremierową. Inni pracują nad uporządkowaniem eksponatów do wystawy, którą zamierzamy otworzyć w foyer.

— Na uroczystość otwarcia teatru zespół przygotowuje kilka premier od razu. Oprócz „Tarełkina" będą to...

— Mamy akurat przerwę w próbie „Gigantów z gór" Luigi Pirandella, w mojej reżyserii, scenografię opracował Kazimierz Wisniak. Ciekawie, jak sądzę, zapowiada się adaptacja powieści Tadeusza Nowaka „A jak królem, a jak katem będziesz" w reżyserii Janusza Nyczaka, ze scenografią Wacława Kuli. Twórcy tego spektaklu to ludzie bardzo młodzi. Albo ukończyli w zeszłym roku wyższe szkoły, albo właśnie kończą. Chciałam, by oni spojrzeli na problematykę drugiej wojny. Są chyba w stanie stworzyć spektakl o treściach uniwersalnych, perspektywa czasu i wieku pozwala im na sprawy wojny spojrzeć inaczej.

Do teatru wróciłem wieczorem. Na próbę generalną „Gigantów z gór" — dziwnej, nieco surrealistycznej opowieści o grupie aktorów poszukujących ludzi, którzy wysłuchają ich, zrozumieją. Baśniowa scenografia podkreśla poetyckość sytuacji i zarazem tragizm garstki ludzi zagrożonych przez gigantów — tajemnicze mechanizmy niosące zagładę. Ten dramat Pirandella nie został dokończony. Izabella Cywińska „dopisuje" finał. W czasie przerażającej muzyki wtacza się na scenę ogromny walec. Gniecie wszystko. Na nikłym świetle osuwa się zwalisko ciał ludzkich. „Akt bez słów", niemrawy gest opadającej dłoni, słabo artykułowany krzyk.

Po próbie — dyskusja. W małej, bo liczącej tylko 300 miejsc salce zebrało się sporo ludzi. Aktorzy, technicy, organizator widowni, znajomi. Rozmawiają w grupach. Na twarzach aktorów pot stopił się ze szminką i mastyksem. Słuchają uważnie. Nikt nie obraża się nawet za ostrą krytykę. Oni chcą pracować coraz lepiej i są, z dnia na dzień, lepsi.

Widziałem ich w Kaliszu, niektórych jeszcze w PWSTiF w Łodzi. Ciekawe i dobre są te teatry, w których aktorzy potrafią nas sobą zaskoczyć, z roli i własnych umiejętności, zdolności stworzyć niespodziankę.

Wychodzimy z teatru. Godzina 23. Grudniowa noc. Sobota.

PIOTR SŁOWIKOWSKI

GONZAGA ZIÓŁKOWSKI

Ostatni aktor w Polsce wyraźnie związany z tradycją ludową, Fortunat Alojzy Gonzaga Ziółkowski (od r. 1801 używa nazwiska Żółkowski) urodził się 2 listopada w Nowogródzkim, gdzie ojciec jego dzierżawił folwark. Nazywano go popularnie aktorem — buffonem, lub Momusem, ze względu na wydawane przez niego pismo humorystyczne pt. „Momus". W r. 1808 wespół z L. A. Dmuszewskim wydaje „Dykcjonarzyk teatralny".

Zdolny ten i dowcipny chłopak poznaje w szkole krzemienieckiej oprócz łaciny także inne języki obce, dzięki czemu, w przyszłości przyswoi dla ojczystej sceny wiele obcych utworów. Kiedy wybucha Insurekcja Kościuszkowska (1794) siedemnastoletni Ziółkowski walczy w szeregach powstańczych. Po stracie rodziców, w tymże roku, bojąc się represji ze strony władz carskich, ucieka do Lwowa, gdzie przez kilka lat pracuje w kancelarii wybitnego adwokata, Józefa Dzierzkowskiego. Interesuje go teatr, toteż ogląda wszystkie przedstawienia Teatru Bogusławskiego, który po ucieczce z Warszawy, gra tu ze swoim zespołem. Zachwycają młodego chłopca kreacje ówczesnych wybitnych aktorów z Bogusławskim i Owsińskim, który uchodził podówczas za największego artystę w Polsce. Widzieć go musiał pan Fortunat Alojzy w „Hamlecie", w roli Klaudiusza. Hamleta grał wówczas Bogusławski, a Ofelię — Pierożyńska, siostra Agnieszki Truskolaskiej. Tu ciekawostka, Pierożyńska była pierwszą Ofelią w polskim teatrze, a także pierwszą Julią w „Grobach Werony" — przeróbce „Romea i Julii".

Kto wie, czy właśnie nie pod wpływem tego teatru, 20-letni Ziółkowski postanawia porzucić posadę. Pełen temperamentu, wesoły, młody człowiek pieszo ucieka do Warszawy, gdzie Agnieszka Truskolaska przyjmuje go do swojego teatru. Zapewne zdolności sceniczne Ziółkowskiego, jego inteligencja i znajomość języków, odegrały tu niepoślednią rolę.

W końcu 1798 roku Ziółkowski debiutuje w operze Dmuszewskiego „Wdzięczni poddani panu". Pierwsze teatralne wzloty i upadki, walki Truskolaskiej z ówczesną cenzurą, by móc przemycić jakieś aluzje patriotyczne, wrażliwy Ziółkowski bardzo przeżywa. Częste premiery i szczupłość zespołu aktorskiego pozwalają Ziółkowskiemu na szybkie zdobycie ostróg aktorskich. Już w 1801 r. staje się ulubieńcem publiczności, na żądanie której odbywa się jego pierwszy benefis. W tymże roku Żółkowski (nazwisko jego teraz tak się już pisze), jedzie na gościnne występy z trupą Bogusławskiego do Kalisza i Poznania.

W roku 1802 wystąpi on w roli, którą zaliczy potem do swoich najlepszych. Jest to Miechodmuch w „Krakowiakach i góralach", W. Bogusławskiego. Gra także w tragediach: Gomeza w „Cydzie", Fr. Moora w „Zbójcach" („Rabusiach"). Jednak mimo pozytywnych recenzji, czuły na poklask publiczności Żółkowski, zajmie się wyłącznie rolami komediowymi.

O Fortunacie Alojzym Gonzadze nawet sami Iksowie, wyrocznia ówczesnych sądów o aktorze, ci, co nieraz źle bardzo o nim pisali, wyrazili się, że „nikt lepiej od niego nie posiada daru śmieszenia i nikt więcej rozmaitości nadać nie zdoła grze tak niemej, jak głosowej". Pan Fortunat umiał nawiązać kontakt z widownią. Ubóstwiano go za to.

Żółkowski przez całe swoje teatralne życie ufał bezgranicznie swojemu talentowi i bagatelizował krytyczne uwagi recenzentów, piętnujące jego słynne „dodatki" do roli. Oto jak zareagował na te uwagi swoich krytyków. Kiedyś nadarzyła się taka sposobność. W jednej ze sztuk Żółkowski wjeżdżał na scenę konno. Tego wieczoru zwierzę zachowało się „nieprzystojnie". Aktor, zsiadłszy z konia, nakrył kapeluszem pokaźny ślad owej zwierzęcej „nieprzystojności" i klepnąwszy wierzchowca — jak wspomina Skibiński — zawołał: „Nie dodawaj, czego nie masz w roli, bo wiesz, że Iksowie zaraz o tem napiszą". Aplauz publiczności, zachwyconej dowcipem swego ulubieńca, długo nie pozwalał grać dalej. Eugeniusz Szwankowski pisze: „Żółkowski! Żółkowski! — huczał paradyz, czasami aż w łuk ugięty pod ciżbą obywateli Starego Miasta. Szczery zachwyt objawiał się tu zazwyczaj w takim tupocie nóg, że „raj" ów (paradyz) ginął w tumanach kurzu niby Olimp w chmurach". St. Krzesiński w swoich „Kolejach życia" wspomina: „(...) Mówiono wówczas głośno, że gdy Żółkowski umierał (miał lat 45 — przyp. aut.) wpadli do jego mieszkania Aśnikowski, Koss Ignacy, Górecki i Świrgocki i każdy, nie wybierając, ale co złapał z kupy ról, to sobie przywłaszczył, aby potem grywać". Nikomu jednak z nich nie udało się choć w części dorównać Żółkowskiemu.

IGOR ŚMIAŁOWSKI

Fragment z przygotowywanej do druku książki pt. „Poczet wielkich ludzi teatru".

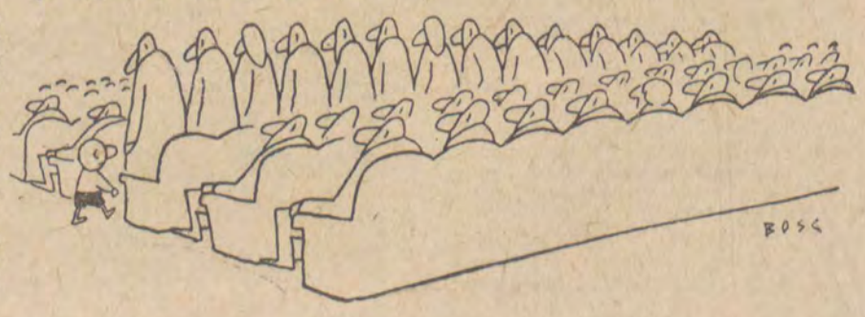

NA KSZTAŁT drzazgi smolnej

Przeniesienia utworów literackich na scenę narażone są z reguły na wiele niebezpieczeństw. W zasadzie zadowolą wtedy, gdy stanowią całość samodzielną, rządzącą nad prawami teatru. Całość, której zrozumienie niezależne jest od znajomości wzorca literackiego. Bywa tak, jeśli autor adaptacji potraktuje materiał literacki jako kanwę do własnych przemyśleń a nawet koncepcji filozoficznych.

W innych przypadkach mamy do czynienia ze streszczeniami powieści, zapoznającymi widza pobieżnie z ich treścią. Pobieżnie, boć przecież skróty, cięcia, uproszczenia wynikające z wymogów adaptacji, skazują sceniczny kształt powieści na niepełność. Przedstawienie może wtedy służyć popularyzacji literatury. Tak się mniema ogólnie, podsuwając teatrowi funkcję reklamy. Serial telewizyjny — zgoda. Znane są wypadki ponownego zainteresowania powieścią po filmowej wersji. Ale teatr? Po co? Przecież nie podoła bo o co innego w nim chodzi i co innego stanowi o jego sile.

Długo można wyliczać, czego teatr nie ma w porównaniu z literaturą czy filmem. Krócej, że ma tę niepowtarzalną możliwość stworzenia klimatu spotkania, wykazania wzajemnych zależności ludzi, którzy na nie przyszli i którzy są gospodarzami. Przyszli, jak wierzę, nie po to by odsłuchiwać książkę. Jestem pewien, że zespół Teatru Ziemi Łódzkiej „świadom praw i obowiązków" zdecydował się na wystawienie „Popiołu i diamentu" Jerzego Andrzejewskiego. Powieść adaptował Andrzej Czerny. Reżyserem spektaklu jest Jan Perz.

Świadom praw i obowiązków wobec teatru, powieści i... równie wspaniałej, filmowej wersji tego utworu. Decyzja odważna. Powieść dostępna jest w każdej bibliotece, film może wrócić na ekrany kin lub telewizorów. Pragnienie przypomnienia dziejów i życia w powojennej Polsce zostanie zaspokojone z przesytem. Obróci się to przeciw popularności powieści, a jeśli wersja teatralna okaże się gorsza od dwóch pozostałych, to i przeciw teatrowi.

Adaptacja „Popiołu i diamentu" w Teatrze Ziemi Łódzkiej, najogólniej rzecz biorąc, ma zalety i wady. Spektakl nie jest rozgrywany na scenie, ale w prostokącie miejsca gry — na sali. Widzowie zasiadają na bokach owego prostokątu. Dobre, stare wzory awangardowego teatru studenckiego. Dla widzów miasteczek województwa prawdopodobnie stanowić będzie to ciekawe novum — zapoznające ich z przeobrażeniami i modami współczesnego teatru. Niestety rozwiązanie to ujemnie wpływa na wartość przedstawienia. Aktorzy schodzą z miejsca gry trzema wyjściami. Między zejściami i wejściami powstają przerwy, burzące rytm spektaklu. Bardzo interesująca i dobra jest scenografia w opracowaniu Zenobiusza Strzeleckiego i Jolanty Leszczyńskiej. Szare, brudne, odrapane cegły, ułamki murów, bar hotelu „Monopol", stolik, biurko, żelazne łóżko — wszystko to poustawiane bezładnie, oddaje klimat powojennych dni — chaosu, ruin, prowizorki, życia, które dopiero wraca do porządku. Ponadto takie zabudowanie miejsca gry zgodne jest z koncepcją warsztatową powieści. Wydarzenia w „Popiele i diamencie" dzieją się często równocześnie. Scenografia sygnalizuje tę równoczesność czasu wydarzeń. Prawie na każdej dekoracji jest płonąca świeca. Pomysł to ciekawy i on jeden tłumaczy, wręcz zezwala na zacytowanie sławnej, filmowej sekwencji zapalania kieliszków — zniczy. Pamięć o tych, którzy odeszli i w ogóle o tragicznych dniach wojny ciąży na wszystkich. Nie tylko na Maćku i Andrzeju.

Zgodnie z koncepcją gry Zbigniewa Cybulskiego ukształtowana została przez Zbigniewa Bielskiego postać Maćka. Cybulski stworzył niezapomnianą kreację. Nadał Chełmickiemu wiele cech indywidualnych, autentycznych i dziś może już trudno zagrać inaczej bohatera powieści Andrzejewskiego. Należy jednak starać się pogłębiać tę postać, uplastycznić ją. Zadanie tym trudniejsze, że w adaptacji scenicznej Maciek ma po prostu mniej do zagrania, aniżeli w wersji filmowej.

W przedstawieniu, bez przesady pięknie jest rozwiązana scena spotkania Maćka z Krystyną w pokoju hotelowym. Obydwoje osłaniają się prześcieradłami, trzymając je początkowo w rozkrzyżowanych rękach, potem otulają się nimi tworząc zamkniętą bryłę. Odbywa się to w lekkim, sennym tańcu. Delikatna, „biała" kompozycja sceny erotycznej. Można doszukiwać się jej przeciwnej w ostatniej sekwencji filmu, gdy ranny Maciek chwyta porozwieszane prześcieradła i na nich pojawiają się plamy krwi. Miłość — śmierć. Pokój — wojna. Przeciwieństwa. Już sam tytuł owieści to sygnalizuje, choć całe motto Norwida ma sens ogólniejszy. Na prawach przeciwieństw czy kontrastu sąsiadują w utworze sceny drastyczne z ukazującymi rodzenie się „gwieździstego dyjamentu, wiekuistego zwycięstwa zarania". Na przykład: pijacki bełkot w ustępie uczestników bankietu, poprzedza prawie bezpośrednio scenę spotkania Krystyny z Maćkiem. Skontrastowane są obrazy — symbole. Karykaturalny korowód poloneza wychodzi z „Monopolu" na rynek, gdzie — „niebo jest przejrzyste, niebieskie, na horyzoncie z lekka zasnute różowością świtu. Powietrze czyste i chłodne".

Powieść rozpoczyna się od śmierci dwóch robotników, kończy zaś równie przypadkową śmiercią Maćka. W spektaklu początkową sceną jest korowód pogrzebu robotników, ostatnią — korowód pogrzebu Szczuki. Kontrasty scen „wewnątrz" spektaklu nie dają się łatwo zauważyć. Grane są w zasadzie na równi, w jednej tonacji, nie pomaga praca oświetlenia. Ale nawet jeśli przyjmiemy, że przy wnikliwej obserwacji można dostrzec metaforyczne przeciwieństwo scen, to, moim zdaniem, zamknięcie adaptacji ramą — śmierci ludzi jednego obozu paczy wymowę „Popiołu i diamentu". Zaciemnia jego wartości historyczno-filozoficzne, odmalowanie chwili powstania nowego społeczeństwa, nowego państwa.

Zbyt niewyraźnie ukazana jest śmierć Maćka. Po zabiciu Szczuki wybiega on za kulisy, z głośnika dochodzi odgłos serii strzałów i krzyk. Za mało. W powieści bezsens zbrodni, tragedię winnych — niewinnych, podkreśla ostatnie zdanie utworu: „Człowieku, po coś uciekał?". Maciek nie ginie w ucieczce po wykonaniu rozkazu, ale w naiwny sposób uciekając przed przypadkowym patrolem. I to ma też swoją wymowę.

Wydaje mi się, że adaptacja „Popiołu i diamentu" winna rozsadzić scenę bankietu w „Monopolu" i poloneza. Ile w tym obrazie ironii, sarkazmu! To przecież parodia poloneza z „Pana Tadeusza", i chocholi taniec. (1) Ta część utworu może stać się centrum owego huraganu nad Ostrowcem, miastem — symbolem. Bankiet, rozmowy w ustępie, polonez — to wszystko wydaje się być materiałem wielce teatralnym. W sumie owo forte fortissimo pijackiego bełkotu, bzdurnych przemówień, wrzasku, głupoty, równoważyłoby ciszę, skupienie w jakim odbywają się istotne rozmowy, często pełne tragicznych napięć np.: dialog Andrzeja (Piotr Stefaniak) z Wagą (Tadeusz Kożusznik), Maćka z Krystyną (Ewa Maria Hesse), czy Maćka z Andrzejem. Sceny te w spektaklu nie robią zbytniego wrażenia, nie mają mocy. Tu podkreślić wypada stosunkowo najlepsze ustawienie Sędziego — Andrzej Błaszczyk. Błaszczyk gra Kosseckiego oszczędnie, ale wymownie — jest zgarbiony, napięty wewnętrznie, bojący się własnego cienia.

Generalnie największą wadą przedstawienia „Popiołu i diamentu" w Teatrze Ziemi Łódzkiej jest pewna monotonia, skłaniająca spektakl w kierunku układanki serii rozmów — scen z powieści. W moim odczuciu utwór ten na deskach teatru ma możliwości zakomponowania się na kształt i podobieństwo owej „drzazgi smolnej, wokoło której lecą szmaty zapalone".

PIOTR KORNAKIEWICZ

1) Prof. S. Skwarczyńska, „Chocholi taniec" Wyspiańskiego jako obraz — symbol w języku późniejszej sztuki polskiej. Wokół teatru i literatury, Warszawa 1970, s. 11—145.

Na stronach 7, 8 i 9 publikujemy serwis zdjęć WŁODZIMIERZA PARYSA z realizacji spektaklu „Popiół i diament" w Teatrze im. Stefana Jaracza.

TEATR

Dalszy ciąg ze str. 8

rozrywkę i odpoczynek po pracy. Jeśli sztuka poważna, to problemy przez nią sygnalizowane niechaj będą najistotniejsze, zdolne poruszyć i zaciekawić nas wszystkich.

Młodzież bardziej interesuje się teatrem niż starsi. Większość naszej załogi stanowią kobiety. Po ośmiu godzinach pracy w tkalni, przędzalni lub innych oddziałach, czekają na nie domowe obowiązki. Jak znaleźć czas na teatr? Najlepiej można wygospodarować go w soboty i niedziele. Niestety, właśnie najczęściej na te dni nie dostajemy biletów.

Otrzymujemy z reguły bilety na dalsze rzędy w teatrach. Tu nie chodzi o niższą cenę. Pracownicy skłonni byliby dopłacić parę złotych więcej, ale otrzymać lepsze miejsca. Po kilku godzinach pracy w hałasie robotnicy mają po prostu przytępiony słuch.

Dr hab. ANDRZEJ LECH KOSZMIDER — Politechnika Łódzka

Od kilku lat unikam wizyt w teatrach łódzkich. Uważam bowiem, że większy pożytek przynosi wyjazd do któregoś z teatrów stolicy. W moim odczuciu, przyczyną tego jest przeciętność teatrów w mieście. Do teatru nie chodzi się przecież po to, by zapoznać się tylko z fabułą sztuki. Interesujące jest zawsze twórcze odczytanie dramatu przez reżysera, ciekawa koncepcja inscenizacyjna i zwłaszcza gra aktorów, a to wszystko bywa w łódzkich teatrach po prostu słabe i przeciętne. Nie fascynuje, nie pobudza do przemyśleń, powrotów do problemów sztuki, ale częstokroć nudzi.

Teatr przestał agresywnie działać na świadomość widzów. Z kilku przedstawień w ostatnich latach wychodziłem, nie doczekawszy końca. Zwątpiłem w wartości łódzkich teatrów i nawet jeśli coś sygnalizowane jest jako ponadprzeciętne, to intuicyjnie w to wątpię.

Chciałbym zwrócić uwagę na zjawisko emigracji z Łodzi. Skoro nie można temu zapobiec (a nie można), to trzeba się z nią pogodzić i starać znaleźć inne rozwiązanie problemu, wykorzystujące nawet tę bliskość miast. Niech np. teatry obu miast nawiążą stałą współpracę. Można by konsultować repertuar współpracujących teatrów, opracować jedną sztukę wspólnie, tak, aby gościnne występy nie zakłócały pracy zespołów. Wywołałoby to większe zainteresowanie widzów, a dla zespołu możliwości gry z wybitnymi aktorami byłyby przecież równoznaczne ze stałym podnoszeniem poziomu gry.

DRAGON czyli „OPOWIEŚCI z KINESKOPU"

Wielostronne związki pomiędzy literaturą, a filmem i telewizją nie istnieją li tylko w sferze teoretycznych dociekań zrodzonych nad fabularną materią ruchomego obrazu. Ich rzeczowym odpowiednikiem jest scenariusz. Rola scenariusza w historii kinematografii ulegała interesującej ewolucji dyktowanej czynnikami natury nie tylko artystycznej, ale również produkcyjnej i ekonomicznej. Konieczności produkcyjne miały nawet charakter decydujący. Masowość kina domagała się ścisło sprecyzowanego projektu przyszłego dzieła, który pozwalał liczyć na szeroką akceptację publiczności. Natomiast w warunkach kinematografii socjalistycznej nie sposób lekceważyć oczekiwań ideowych i pedagogicznych, które można sprawdzić właśnie na etapie scenariusza. Jest więc istnienie scenariusza związane przede wszystkim z przemysłowym charakterem kinematografii. Z tego punktu widzenia degradacja jego roli w kinie autorskim stanowi na tle kultury masowej elitarny margines. Margines ten prawie zanika w telewizji. Szklany ekran polega głównie na adaptacjach literackich, ale można odnotować również samodzielne próby dramaturgiczne o wysokiej niekiedy randze artystycznej, by wspomnieć choćby o telewizyjnej twórczości Zdzisława Skowrońskiego. Zebrane w tomie „Teatr szklanego ekranu" (Warszawa 1970) konstytuują oryginalną poetykę gatunkową dramatu telewizyjnego, którego struktury artystyczne powstają na przecięciu konwencji dramaturgicznych z narracją epicką. W tej inicjatywie edytorskiej krył się zamiar nobilitacji tekstów pisanych z myślą o telewizji. Scenariusz bowiem, telewizyjny jeszcze bardziej niż filmowy, zawsze cierpiał na kompleks prefabrykatu. Jest bowiem czynnością roboczą, pozbawioną własnego tj. literackiego celu estetycznego. Istnieją jednak szlachetne wyjątki, których piękna stylistyka właśnie literacka, sugestywna psychologicznie konstrukcja postaci lub frapująca fabuła rozgrzeszają z wydawniczych aspiracji. Wtedy obcujemy po prostu z dobrą literaturą, która żyje własnymi wartościami. W pełni usprawiedliwione jest zatem wydanie scenariuszy Tadeusza Konwickiego, Romana Bratnego, by nie zatrzymać się dłużej przy doskonałych utworach Ingmara Bergmana.

Taki pomysł edytorski spowodował ukazanie się „opowieści z kineskopu" pt. „Dragon" Edwarda Szustera nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Książka powstała i czeka na replikę recenzenta, który – jak w tym wypadku – telewizyjnych realizacji tych scenariuszy nie oglądał. Może to i lepiej, bowiem książkowa forma telewizyjnych opowieści jest przecież przeznaczona do konsumpcji czytelniczej.

Te scenariusze trafiły wprost z redakcyjnej szuflady w telewizji do redakcyjnej szuflady w wydawnictwie. Autor, pisząc je dla potrzeb małego ekranu nie zabiegał zbytnio o walory literackie, nie zatroszczył się także o literacką stylizację, kierując tekst do wydawnictwa. Stąd bierze się jego chropowatość i surowość, które tworzą wrażenie narracyjnej technologii produkcyjnego dokumentu.

Szustera interesuje dramat ideowych postaw. Lecz egzemplifikacji dla ideologicznych konfliktów szuka w przeszłości bliższej i dalszej, z której wyłonił się kształt naszej współczesności. Jedynie otwierająca tom „Zasadzka" usiłuje zilustrować znamienne przemiany obyczaju i mentalności dziejące się współcześnie. Lecz ten kontrast pomiędzy nowoczesnym, miejskim trybem życia i myślenia, a wiejską tradycją jest rozpisaniem na głosy spraw znanych i wielokrotnie powielanych przez literaturę „małego realizmu". Autor nie może się zdecydować jak opowiedzieć tę historię: serio czy groteskowo. To wahanie jest wyraźne w finale, któremu zabrakło mocnej i zdecydowanej pointy oświetlającej całość.

Trzy opowieści apelują wyraźnie do odbiorcy młodzieżowego — „Portret rówieśnika", „Zamorski gość" i „Wiosenny deszcz". Jakkolwiek dość atrakcyjne w fabularnych pomysłach stają się zbyt łatwe i natrętne w pedagogicznym przesłaniu.

Ze zbioru wyłaniają się jednak dwa scenariusze, które tworzą przekonywający obraz skomplikowanych powikłań ludzkich w obliczu historii. „Dwie tłuste gęsi" zaskakują plastycznością obserwacji psychologicznych i obyczajowych potraktowanych jako tło konfliktu ideowo-politycznego. Autor umiejętnie steruje dramaturgicznym rozwojem sytuacji, która powstała ex post, po próbie krwawego porachunku pomiędzy przedstawicielami wrogich politycznie partii partyzanckich w czasie ostatniej wojny. Scenariusz obfituje w sceny pełne nieodpartego komizmu zderzonego z grozą sytuacji. Szuster umiejętnie wydobywa psychologiczną prawdę ludzkich zachowań przebijających poprzez pryncypialne postawy polityczne.

Tytułowy „Dragon" odwołuje się do robotniczej legendy strajków łódzkich. Perypetie rosyjskiego żołnierza, który w kąpieli strącił mundur, konia i szablę pozwalają autorowi na bogatą prezentację galerii postaci, w które wierzymy bez zastrzeżeń. I tutaj autor umiejętnie buduje atmosferę niejednoznaczną, gdzie groteska miesza się z tragizmem a sentymentalizm z ironią.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

PS. Przedstawiona powyżej ocena „Dragona" opiera się na autonomicznych cechach tej prozy i jest dokonywana z perspektywy krytyczno-literackiej.

Edward Szuster. „Dragon", Wydawnictwo Łódzkie 1973.

Bywały w świecie redakcyjny kolega, który z niejednego pieca chleb jadł — zagorzały piwosz — w życiu nie był w łódzkiej pijalni „Pod Kuflem". Twierdzi, że do tej speluny, gdzie łatwo oberwać, żadna siła go nie zaciągnie. A ponieważ dużo opowiadał o egzotyce zagranicznych krajów postanowiliśmy zapoznać go i z łódzką egzotyką, jakiej nigdzie w świecie nie zobaczysz. Wybraliśmy się więc wspólnie przed południem na ul. Andrzeja Struga 7 do lokalu niegdyś I kategorii — dziś II — noszącym nazwę „Pod Kuflem".

JULJUSZ CYPERLING JERZY KRASKOWSKI

CHYBA JUŻ NIGDZIE NIE MA KULTURY

1.

Przed południem jest tu pustawo i na ogół spokojnie. Jednakże nasz kolega wszystkiemu się dziwił. A to mu się nie podobała żelazna krata, zainstalowana przy wejściu — mówił, że jak na lokal tej kategorii, nie przystoi by ludzi zamykano w nim niczym w klatce w ZOO — a to, że przy sąsiednim stoliku jacyś stali bywalcy puszczali na cały regulator tranzystorowe radio i co chwilę dolewali do piwa przyniesioną z sobą wódkę. Powoli jednak przyzwyczajał się do tego ro, gdy zakończył mierzenie uważał za stosowne udzielić nam pewnych wyjaśnień.

— Wiecie panowie, nie dalej jak wczoraj zdarzyło mi się nieszczęście. Nie wiem jak to się stało, ale kuflem stłukłem szybę. Grozi mi kolegium i dlatego przyszedłem wziąć miarę, aby znajomy szklarz przyciął mi podobną szybę.

Opowiadając te i inne ciekawostki czas nam szybko płynął i gdy piliśmy kolejne piwo, jakiś niski mężczyzna z personelu uważając, że w drugim pomieszczeniu jest za ciemno, wkręcił kilka żarówek do kinkietów. Oczywiście kloszy już nie było. Ledwo wyszedł, a już żarówki zostały wykręcone przez zagorzałych piwoszów, którzy widocznie nie lubią gdy światło świeci im prosto w oczy.

O godz. 13 zostaliśmy spod „Kufla" po prostu wyproszeni. Okazuje się, że jest to jedyny w Łodzi lokal, w którym zarządza się godzinną przerwę obiadową. Zwyczaj ten zaskakuje tych, którzy przychodzą tu po raz pierwszy. Ale nas już nic nie zdoła zaskoczyć.

2.

Prawdziwe życie „Pod Kuflem" rozpoczyna się dopiero wieczorem. Przed południem to tu jest jeszcze Wersal.

swoistego folkloru. Zwłaszcza, gdy kelnerki — a przed południem są one jeszcze bardzo uprzejme — podawały do piwa jako konsumpcję obowiązkową — ser z papryką.

Nasz stolik od razu był „podejrzany". Wszyscy tu się znają i obce twarze budzą nieufność i trzeba się ich strzec. Nigdy nie wiadomo, kto i po co tu zawędrował. I może dlatego tylko przy naszym stoliku kelnerka przy wydawaniu piwa, wypisywała rachunek na firmowym blankiecie. Przy innych stolikach tego nie czyniła, bo i po co? Czas nad kuflem piwa szybko upływał, gdy opowiadałem stare, ale zawsze aktualne historie o bywalcach tej pijalni. Samemu lepiej się tu nie pokazywać, bo nawet w biały dzień przed południem można w sposób niezbyt parlamentarny zostać zmuszony do postawienia piwa. Po prostu dosiada się do ciebie 2—3 wyrostków i krótko zagadują:

— Co tak koleś sam pijesz piwo? A nam nie postawisz?

Bywało i tak, że — a to nie jest bynajmniej anegdota — wśród stolików krążył budząc postrach, starszy jegomość który w pewnym momencie nachylał się nad pełnym kuflem piwa i zręcznym ruchem — zanim się spostrzegłeś — sprzed nosa ci wypijał twoje „jasne pełne". Ten zresztą nie był najgroźniejszy. Do dziś krążą opowieści o człowieku, który miał jedno wstawione sztuczne oko i potrafił jemu tylko wiadomym sposobem nachylić się nad kuflem tylko po to, aby oko znalazło się w piwie. Wiadomo, że wtedy nikt tego piwa już nie tknął i zostawało dla jednookiego.

Sam pamiętam inne wydarzenie, kiedy „Pod Kuflem" na stolikach znajdowały się jeszcze szklane blaty. Pewnego popołudnia gdy z kolegą spokojnie wypijałem swoje piwo, zjawił się przed nami chudy mężczyzna i nie mówiąc ani słowa wyjął z kieszeni centymetr, którym mierzył blat stołu. Trwało to kilka minut i dopiero, gdy zakończył mierzenie uważał za stosowne udzielić nam pewnych wyjaśnień.

— Wiecie panowie, nie dalej jak wczoraj zdarzyło mi się nieszczęście. Nie wiem jak to się stało, ale kuflem stłukłem szybę. Grozi mi kolegium i dlatego przyszedłem wziąć miarę, aby znajomy szklarz przyciął mi podobną szybę.

Niestety, czy innym Kobuszewski też się (k...) podobał już nie dosłyszeliśmy. A szkoda.

— Patrz, ten facet, co siedzi pod ścianą, kiwa chyba na ciebie — mówi mi kolega. — Za chwilę patrząc na mnie podejrzliwie dodaje. — No, ładne masz ty znajomości.

Rzeczywiście. Patrząc tylko na fizjonomię faceta można by mu z czystym sumieniem wlepić co najmniej „piątkę". Na szczęście, jak się okazało, na nikogo z nas on nie kiwał.

3.

Wreszcie siadamy. Na stole rozlane piwo, niedopałki popierosów (w pijalni obowiązuje zakaz palenia) oraz kapsel od „stołowej". Niezrażeni tym bałaganem czekamy na kelnerkę. Nawet niedługo. Podchodzi do stolika i zabiera puste kufle. Daremnie usiłujemy zamówić dwa piwa. Nie słyszy nas.

Czekając na ponowne pojawienie się kelnerki obserwujemy zebrane tu doborowe towarzystwo. Na wprost nas siedzi trzech mężczyzn i młoda jeszcze kobieta. Ma chyba niewiele powyżej 20 lat. Rozmawiają bardzo cicho, czasem tylko słychać „wiązankę". Bardziej interesujące jest towarzystwo siedzące obok chyba z dziesięciu młodych ludzi. Dyskusja, którą prowadzą jest ożywiona, gwałtowna. W pewnym momencie jeden z nich zrywa się i z trudem utrzymując równowagę krzyczy:

— C-co, nie wierzycie mi. A ja k... mówię, że całe to bractwo mogę w tej chwili roz... No c-co, m-może nie mogę! — powtarza z pijackim uporem.

Robi się nam gorąco. No, bo jeżeli on rzeczywiście może... A my tak blisko siedzimy. Po chwili niski mężczyzna z tego samego towarzystwa z ręką — to się chyba zaraz zaczną bić. Szkoda że milicja wyszła.

Na dźwięk słowa „milicja" odwraca się do nas stojący obok piwosz i patrzy podejrzliwie.

Tylko spokój nas może uratować — mówimy sobie i jak gdyby nigdy nic szybko przesuwamy się do następnej sali.

Przy jednym ze stolików akurat dwa miejsca są wolne. Pytamy czy można się przysiąść. W odpowiedzi ktoś energicznie wymachuje nam przed nosem. O, cholera, będą chyba bić, ale dlaczego tak od razu i bez jednego słowa?

Okazuje się, że niepotrzebnie najedliśmy się strachu. To tylko grupa głuchoniemych, którzy sądząc po ich zaczerwienionych twarzach i błędnych oczach wpadli tu na więcej niż na jedno jasne z pianką.

Za chwilę z sąsiedniego stolika dobiega nas fragment rozmowy: „A ten Kobuszewski to k... dobry, co? Jak na niego k... patrzę, to boki k... zrywam.".

Niestety, czy innym Kobuszewski też się (k...) podobał już nie dosłyszeliśmy. A szkoda.

— Patrz, ten facet, co siedzi pod ścianą, kiwa chyba na ciebie — mówi mi kolega. — Za chwilę patrząc na gipsem na prawym ręku, chwiejąc się na nogach zaczyna śpiewać „Czerwone maki pod Monte Casino". Nie bardzo składnie mu to idzie, bo nie dokończywszy pierwszej zwrotki zwalił się ciężko pod stół. Nikt nawet tego nie zauważył.

Chyba nie doczekawszy się na to piwo. Kelnerka niczym w transie chodzi między stolikami, ale nikogo nie widzi i tylko zbiera kufle. Cóż robić, trzeba stanąć w długiej kolejce do bufetu. Kolejka posuwa się bardzo wolno. Nic dziwnego. Co chwila ktoś podchodzi z drugiej strony i bierze 5—6 kufli. Wreszcie kolej na mnie. Zabieram dwa piwa i wracam do stołu.

Nic straconego. Po 5 minutach znów dochodzi do szarpaniny. To ten co mówił, że „może całe towarzystwo" usiłuje wprowadzić swe słowa w czyn. Koledzy wybijają mu to jednak (dosyć stanowczo i... mocno) z głowy.

— Wisz co zrobimy z tym s... synem — słychać głośny szept za nami — przez którego nas wpakowali do pudła? My mu k... mordkę przeflancujemy.

Spoglądamy na „mścicieli" kątem oka. Sądząc z wyglądu niejednemu już chyba przeflancowali to i owo.

— Proszę państwa — już zamykamy! Dziękujemy bardzo i zapraszamy na jutro — oznajmia energiczny niski mężczyzna w swetrze chyba kierownik pijalni.

Nie wszyscy jednak wychodzą.

— Ile razy mam powtarzać — słyszy pan co do niego mówię? Proszę wychodzić.

— Za swoje 10 złotych chcę spokojnie dopić kufel piwa i proszę na nas nie krzyczeć.

— Ja nie krzyczę tylko mam taki tępy głos.

— Co jest! — denerwuje się młody chłopak — nigdzie nie wyjdę bo w szatni jest tłok, niech się rozluźni.

— Tam nie ma tłoku — cierpliwie tłumaczy kierownik — to tylko obiboki stoją. —

— To niech pan ich przegoni. Ja za pana tego nie zrobię. Pan tu przecież jest kierownikiem — chłopak denerwuje się coraz bardziej.

Kierownik idzie rzeczywiście zrobić porządek w szatni, a dyskutujący z nim przedtem chłopak zwraca się do nas:

— Ja rozumiem to nie „Malinowa", ale jakaś kultura być musi. Chociaż — macha zrezygnowany ręką — dziś i w „Malinowej" nie jest już jak kiedyś. Ostatnio dałem portierowi 50 złotych, żeby zawołał mi taksówkę, to wie pan co zrobił? Spojrzał na mnie z obrzydzeniem i oddał mi 50 zł z powrotem. Taksówki oczywiście nie zawołał. Chyba już k... nigdzie kultury nie ma.

9 stycznia ok. godz. 20.55 Edmundowi Ch. w pijalni piwa „Pod kuflem" skradziono 1200 zł. Pieniądze wyjęto mu z kieszeni.

Trzeba tu przyjść o godz. 17, aby poznać właściwe oblicze tej pijalni. O tej właśnie porze wybraliśmy się tu ponownie. Na schodach spotykamy wychodzący patrol MO. Od tej pory jesteśmy zdani tylko na siebie. Grunt to się nie wyróżniać. Nadrabiamy więc miną, usiłujemy też dostosować nasze słownictwo do ogólnie przyjętego. Swój swojemu przecież oka nie wykole. Dobry nastrój pryska jednak w chwili, gdy zalany w drobny mak „koleś" zatacza się wprost na nas.

Jak się zachować w myśl przyjętego tu savoir-vivrea'u? Od razu walić w pysk czy może wystarczy tylko ostrzec: „Suń się człowiek, bo sflekuję". Na szczęście od decyzji ratuje nas przypadek. „Koleś" zmienił kierunek lotu i wpadł na ścianę.

Szybko przekraczamy próg pierwszej sali. Za sobą słyszymy szczęk żelaza. To mężczyzna w brudno-szarym kitlu zatrzaskuje potężną kratę. Ładne kwiatki, nawet uciec nie będzie można.

— No i widzisz jak tu jest — mówi mi głośno współtowarzysz tego ryzykownego przedsięwzięcia — napis nad bufetem „Piwa przy bufecie nie sprzedajemy" a tu co? Tylko przy bufecie sprzedają. A tam — wskazuje

7 stycznia br. jeden z gości pijalni piwa „Pod kuflem" zawiadomił funkcjonariuszy z KD MO Śródmieście o kradzieży zegarka, który zdjęto mu niepostrzeżenie podczas rozmowy.

W br. funkcjonariusze milicji skierowali w trybie przyspieszonym 8 wniosków do kolegium przeciwko osobom, które w stanie nietrzeźwym używały w pijalni piwa „Pod kuflem" słów wulgarnych i wszczynały awantury z innymi klientami. Kolejnych 8 rozrabiających piwoszy odpowiadać będzie za podobne wykroczenie w trybie zwykłym.

Podczas jednej z ogólnołódzkich akcji „Porządek" przeprowadzonej w końcu ubiegłego roku, milicjanci interweniujący w pijalni piwa „Pod kuflem" zmuszeni byli doprowadzić przy użyciu siły do aresztu 15 piwoszy, którzy rozochoceni alkoholem zaczęli demolować lokal i... gości.

CO TO JEST PORNOGRAFIA?

Domyślam się, co skłoniło do wydrukowania w 7 numerze „Odgłosów" artykułu „Co to jest pornografia?", podpisanego przez Pana Jerzego Wilmańskiego. O pornografii pisano już u nas wiele i będzie się pisać na pewno nie raz. Pragnąłbym jednak, aby nie pisano tego nigdy w sposób tak banalny jak to uczynił Pan Wilmański. Jeżeli już ktoś donośnie prosi o głos, to głos, jaki zabierze, powinien być sensowny i poparty rzetelną argumentacją. Niestety, artykuł takim wymaganiom nie odpowiada. Aby nadać swej wypowiedzi wrażenie obszerności, autor posłużył się wymienianiem nazwisk i cytatów. To dobrze, że Pan Wilmański zna tylu mistrzów pędzla i pióra, podejrzewam jednak, że większość tylko ze słyszenia. Do samodzielnych argumentów autora można jedynie zaliczyć próbę zasugerowania, że żadnej twórczości nie można klasyfikować jako pornograficznej wyłącznie w kategoriach: wywołuje wzwód, czy nie.

Nie wiem czemu autor zasłania się nazwiskami malarzy, których nikt o pornografię nie podejrzewa, a to z tego powodu, że reprezentują oni kierunki i style, w których można przedstawić nawet fellatio, a przeciętny odbiorca i tak się nie zorientuje o co chodzi.

Nie czytałem „Kochanka lady Chatterley", powieści której fragment wzbudził protesty czytelników. Z całą świadomością jednak stwierdzam, że fragment ten podany w oderwaniu od całości, pod zwodniczym nagłówkiem „seks w literaturze" jest utworem, który od pornograficznych opowiadań różni się jedynie tym, że genitalia nazwano słowami mniej wulgarnymi. Twierdzę tak bez względu na to, co powiedział pewien biskup anglikański. Cytowanie na potwierdzenie własnych racji w tych sprawach słów duchownego jest niczym innym, tylko drobnomieszczańskim podstępem, obliczonym na purytanizm czytelników oponentów. Musi być przyzwoita, bo tak powiedział biskup i to w dodatku dr. Zamieszczanie tego rodzaju fragmentów literatury jest tylko tanią reklamą pisma, które zawsze miało kłopoty z uzyskaniem czytelników. Kiedyś zachęcał slogan: „Odgłosy także dla Ciebie"; teraz znaleziono inne wyjście. Ale jest to wyjście niewiele mające wspólnego z popularyzacją literatury, i z tego punktu widzenia stanowi namiastkę jeśli nie pornografii, to czegoś taniego, brukowego. Już od wielu lat podobny typ reklamy praktykuje Centrala Wynajmu Filmów, która bez względu na treść filmu, reklamuje je zawsze fotosami zadziwiająco podobnymi. Nie ma w tym nic zdrożnego i obscenicznego, ale skoro budzi sprzeciw i protesty, to należy się z nimi liczyć. Nie każdy sobie życzy aby oddziaływać tylko na sfery jego osobowości opanowane przez Eroса. Myślę że należy takie opinie uwzględnić. Przesyłam pozdrowienia.

JAN KACPRZAK
Łódź

Ponieważ obce mi są takie obyczaje polemiczne nie będę domniemywał czego to nie widział i o czym nie wie p. Kacprzak. Zwłaszcza, że cenie autora za to, że nie napisał anonimu oraz, że nie używa wyzwisk tylko nieszkodliwych insynuacji.

Co do meritum sprawy — to p. Kacprzak jest przeciwny drukowaniu fragmentów literackich, które mogą spowodować — jak się elegancko wyraża — wzwód. Szkoda tylko, że ganiąc mnie za banalność argumentacji w moim felietonie „Co to jest pornografia" — swoje odmienne stanowisko sformułował w sposób równie banalny. Z pewnością postąpiłem banalnie powołując się na wielkie nazwiska pisarzy i artystów, ale cóż robić, skoro ich postawa mi odpowiada? Jeśli kiedyś zmienię zdanie, przyrzekam, że będę się powoływał na list p. Kacprzaka, co na pewno poczytane będzie za dowód szczególnej oryginalności.

A swoją drogą to dziwne, że choć podejmujemy szereg problemów społecznych, ważnych i dyskusyjnych — nigdy nie wywołują one takiego zacietrzewienia i takiej pasji polemicznej czytelników jak kawałek prozy o przysłowiowej Marynie. Przypomina się anegdota o kapralu, któremu się wszystko kojarzyło...

J. W.

KOCHANEK LADY CHATTERLEY

Rada Pedagogiczna XIX Liceum Ogólnokształcącego im. A. Mickiewicza w Łodzi jest zaskoczona publikacją listów skierowanych do Ministra Oświaty i redakcji „Odgłosów", dotyczących fragmentu powieści D. H. Lawrence'a „Kochanek lady Chatterley", zamieszczonych w jednym z numerów wyżej wymienionego pisma. List ten był rzekomo zredagowany przez członków Rady Pedagogicznej XIX LO.

W korespondencji nie uznajemy formy anonimu i wysoko cenimy poprawność stylistyczną i ortograficzną.

Niniejszym oświadczamy, że nikt spośród nauczycieli naszego liceum nie wypowiadał się w ogóle, tym bardziej w tak prymitywnej formie stylistycznej. Zwracamy się z prośbą o opublikowanie sprostowania w powyższej sprawie.

Członkowie Rady Pedagogicznej
(14 podpisów)
Dyrektor Liceum
mgr KRYSTYNA NAJDER

„ORKIESTRY PODWÓRKOWE"

W związku z fotoreportażem W. Parysa „Orkiestry podwórkowe" zamieszczonym w nr 8 (848) „Odgłosów" z 21. II. 1974 r., Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi uprzejmie prosi o zamieszczenie wzmianki wyjaśniającej, że powyższy fotoreportaż dotyczy koncertu ŁÓDZKICH KAPEL PODWÓRKOWYCH, zorganizowanego przez nasze muzeum 20 stycznia br. (w naszym gmachu — pl. Wolności 14). W koncercie wzięły udział kapele: Longina Orszulaka i Mariana Iwańskiego („Bałuciarze"), jak również piosenkarki: Helena Baranowska i Kazimiera Efenberger.

mgr T. ŁASZCZEWSKA
kierownik działu
naukowo-oświatowego

Konfrontacje — 73 przyniosły dwa rekordy — popularności i gnuśności. Filmy wyświetlano od świtu do późnej nocy, w dwu łódzkich kinach, a mimo to wielu zawiedzionych odchodziło od zamkniętych kas. Jednocześnie szczęśliwi posiadacze karnetów popadali stopniowo w czarną melancholię, wspominając w obliczu prezentowanych dzieł wrażenia z Konfrontacji sprzed dwóch lat, czy nawet ubiegłorocznych. Padł bowiem jak się rzekło, rekord gnuśności czy niemożliwości organizatorów, przygotowujących coroczne święto światowej kinematografii.

konfrontacje 73

Zawaliła się po drodze idea Konfrontacji i należy chyba na nowo postawić pytanie — „co konfrontujemy?" Dokonania poszczególnych kinematografii, bez wartościowania tego co dobre, a co przeciętne, czy po prostu złe? Nagrody festiwalowe, ale bez uwzględnienia wszystkich imprez? Filmy, o których w świecie mówiono ze względu na ich rangę problemową, artystyczną czy skandaliczność wreszcie, ze świadomością tego, że nieprecyzyjność tego typu kryteriów stwarza możliwości nieograniczonych układów repertuaru Konfrontacji, przy jednoczesnym niebezpieczeństwie równania ich poziomu w dół?

Zaproponowany w tym roku zestaw filmów pozwala stwierdzić, że nie zastosowano się do żadnego z wyliczonych założeń. Przypadkowość w doborze repertuaru świadczy o braku koncepcji, a nie o niemożności zdobycia filmów, jako że w minionych Konfrontacjach bywało dość dowodów, że nie jest to rzecz tak trudna.

Konfrontacje — clou krajowego sezonu filmowego ściągają dwa rodzaje publiczności — autentycznych miłośników sztuki kina i snobów, to wiadomo. Kino na co dzień, kino — rozrywka, filmy z szeregu — to znajdują w normalnym, całorocznym repertuarze, wychwytując z niego od czasu do czasu to, co jest sztuką — przeżyciem intelektualnym, moralnym i estetycznym. Czekają na nie.

Konfrontacje w założeniu swoim winny czekanie to wypełnić i rekompensować, demonstrując to, co ważne dla roli filmu w dyskursie o współczesnym obliczu świata i to, co ważne w samym rozwoju sztuki filmowej i jej poszukiwań. Filmy przeciętne i banalne trafiając na Konfrontacje, burzą ich sens, deprecjonują w oczach tysięcy ludzi wartość i funkcję sztuki filmowej, dezinformują, więc wprowadzają w błąd. Oczywistym nieporozumieniem jest fakt, że prezentowane w nich filmy w krótkim czasie wchodzą do normalnego, masowego rozpowszechniania, w chwili, kiedy wiadomo, że są filmy, które nie mając szans u tzw. szerokiej publiczności, fascynować mogą wcale niemałe grupy owych miłośników kina, dla których Konfrontacje organizować się winno przede wszystkim. Dla nich więc sprowadzić należy filmy reprezentujące najnowsze tendencje i poszukiwania światowego kina, propozycje kinematografi mało znanych, na swój sposób egzotycznych i pasjonujących, filmy, które swe szanse mają głównie u tej właśnie publiczności. Konfrontacje, którym towarzyszyć by mogło sensownie pomyślane forum dyskusyjne, byłyby modelem, o jakim w myśleniu naszym o propagowaniu kultury filmowej miejsce znaleźć by się winno.

Te konstatacje każą postawić wobec centralnych organizatorów imprezy zwanej Konfrontacjami żądanie swoistej uczciwości wobec sprawy, która w ramach naszej polityki kulturalnej ma swój inny niż reklamowy i dochodowy walor. Konfrontacje w dotychczasowej swej formie są zaś właśnie imprezą reklamową dla **Centrali Wynajmu Filmów.** Szerzenie kultury filmowej, jedno z głównych haseł owej polityki, w ramach Konfrontacji obejmuje zresztą grona znacznie szersze jak owi wyliczeni miłośnicy kina czy snobi, bo widzów, którym żadnej z tych wizytówek przypiąć nie można, jest również niemało. Tak więc widzenie Konfrontacji jako jednego ogniwa w ciągu popularyzowania kultury filmowej każe stawiać im wymagania znacznie wyższe niżeli te, których efektem był tegoroczny ich repertuar. Zabrakło w nim bowiem wielu filmów godniejszych pokazania niż przykładowo takie filmy, jak **„Spragniona miłości"** czy **„Taka była Oklahoma".**

Świat oglądał i dyskutował w minionym sezonie wiele filmów, których demonstracja powiedziałaby coś więcej o obliczu współczesnej kinematografi. Wyliczmy choćby kilka tytułów: **„Papierowy księżyc"** P. Bogdanovitcha, **„Jeden Hamlet mniej"** C. Bene, **„Święta góra"** A. Jodorowskyego, **„Jacy byliśmy"** A. Pollacka, **„Stan oblężenia"** C. Gavrasa **„I święty Michał miał koguta"** braci Taviani, **„Opowieści kantenberyjskie"** P. Pasoliniego, **„Wpływ promieni gamma na zachowanie się nagietek"** P. Newmana, **„Fotografia"** P. Zolnaya oraz filmy Afryki. Twórcy, aktorzy, tematy polityczne i moralne, poszukiwania formalne, kino indywidualności i nowych, rodzących się kinematografii — było w czym wybierać. Tymczasem?

Odstąpimy tym razem od tradycji szczegółowej prezentacji całego zestawu filmów tegorocznych „Konfrontacji". Do większości z nich powrócimy szybko przy okazji ich kinowych premier.

• • •

Ocena polskiej **„Ciemnej rzeki"** Sylwestra Szyszko, a dalej jugosłowiańskiej **„Sutjeski"** Stipe Delica czy **„Dni zdrady"** Otakara Vavry jako, różnych zresztą w konwencji, rekonstrukcji zdarzeń historycznych oraz **„Wspaniałego słowa wolności"** Vytautasa Žalakieviciusa i **„Porwania"** Ives Boisseta jako filmów politycznych, którym nadano kształt sensacyjnych opowieści, nie może przybliżyć tych filmów do górnego pułapu naszych oczekiwań. Zrodzone z często bliskich sobie idei, demonstrowały różne konwencje i poziomy warsztatowej sprawności, mają swe miejsca w poszczególnych kinematografiach, mają też swe określone funkcje polityczne, jednakowoż umieszczone w repertuarze Konfrontacji, a więc w jakiś sposób wyróżnione, muszą rozczarować. Całkowitym zaś nieporozumieniem była obecność takich filmów, jak **„Spragniona miłości"** Ludmiła Stajkowa i **„Taka była Oklahoma"** Stanleya Kramera — dwa przykłady kina szeregowego, których znacznie lepsze odpowiedniki tematyczne i gatunkowe oglądać możemy na co dzień w kinach. Pozostałe, uczestniczące w Konfrontacjach filmy, z różnych bardzo powodów godne są tego wyróżnienia.

Cokolwiek byśmy o festiwalach nie myśleli, cztery canneńskie nagrody 1973 roku, każda na inny sposób uzasadnia swą obecność, choć różne kryteria wartościowania brać pod uwagę przy nich należy.

Angielski **„Najemnik"** Alana Bridgesa **ujawnia możliwości współczesnego kina psychologicznego,** w którym tropienie psychiki idzie nie śladem rozwoju fabuły i stawania się w niej postaci, lecz jej ujawniania w mikrosytuacji zachowań i reakcji, w odnajdywaniu prawdy o człowieku w najbliżej go otaczającym świecie przedmiotów, wnętrz, pejzaży i ludzi, którzy są wokół. Służy temu określony sposób obrazowania tego świata jednostkowych intymności, przepiękny w filmowej fotografii i rytmie opowieści, służących przede wszystkim klimatowi. Dlatego też po znakomitym wprowadzeniu, ten świat musiał się w drugiej części filmu zachwiać, tam, gdzie fabuła rodem z **„Kochanka Lady Chatterley"** wzięła górę nad frapującą metodą psychologicznej analizy.

Amerykański **„Strach na wróble"** Jerry Schatzberga, któremu nieuchronnie towarzyszy wspomnienie „Kowboja o północny", zbliżał nas do tych tendencji światowego kina, w których dostrzegamy z **pewną programową pasją demonstrowane poszukiwania bardzo prostych w końcu, ale obumierających w dehumanizującej się cywilizacji ludzkich postaw.** Chodzi o miłość, dobroć, przyjaźń, wrażliwość na obecność innych ludzi obok siebie. Doskonałym pomysłem było jednoczesne pokazanie węgierskiej **„Podróży z Jakubem"** Gabora Pala. Dwa światy społecznych warunków i obyczajów dopełniały się w tej deklaracji poszukiwania wartości, gdzieś obumierających. W przypadku **„Strącha na wróble"** dwie kreacje aktorskie Al Pacina, a nade wszystko Gene Hackmana usprawiedliwiłyby już obecność tego filmu w Konfrontacjach. Aktorstwo i jego rodzaj — to też przejawy nowego w sztuce kina.

„Wielkie żarcie" Marco Ferreriego, największa obyczajowa sensacja Konfrontacji i pytanie, czy warto było ją pokazywać. Moim zdaniem tak, i to z dwu powodów. Jeśli widzieć obraz współczesnego kina, to **również w jego ekstremistycznym nurcie,** który w przypadku filmu Ferreriego legitymuje się również swą szokującą, to prawda, lecz wartością immanentną. Ferreri był zawsze prowokatorem i szydercą, te postawy służyły demaskacjom zła, brudu i głupoty. W **„Wielkim żarciu"** poszedł o krok dalej, uznając szok absolutny za działanie tyle samo drastyczne co skuteczne, niełatwo dziś wstrząsnąć sytymi i zadowolonymi. Tej decyzji towarzyszyła żelazna konsekwencja, trzeba było pójść do końca. Ponieważ zaś mieliśmy do czynienia z reżyserem i aktorami znakomitymi, przemyślaną w najdrobniejszych szczegółach koncepcją metafory, powstał utwór, który w kategoriach li tylko obyczajowego skandalu traktować nie sposób.

I wreszcie — Ingmar Bergman. Jego najnowszy film **„Krzyki i szepty"** wraz z **„Ludwikiem"** Luchino Visconiego stanowi ten nurt, którego preferencje w programie Konfrontacji są oczywiste — **dzieła ludzi, którzy tworzą obraz sztuki XX wieku, dzieła, których nieznajomość zubaża uczestniczących w kulturze tego wieku.** Trudno pogodzić się z pobrzmiewającymi głosami rozczarowań wobec ostatniego filmu Bergmana, choć wyrokowanie i wartościowanie jest w sztuce rzeczą tak bardzo zindywidualizowaną. Być może rozczarowania wobec **„Krzyków i szeptów"** wyrażać mogą się tym, dla których film ten jest zbyt hermetyczny, dla których proste odniesienia do doświadczeń kinowych wytrącają interpretacyjne klucze z ręki. Głosy krytyki w ustach tych, którzy twórczość Bergmana śledzą od początku, zastanawiać muszą jednak zupełnie. Bergman się powtarza! Cóż to w ogóle znaczy? Temat samotności i obcości ludzi powtarza sztuka od wieków. Sztuka się powtarza!?

Nikt w sztuce kina nie powtarza się doskonalej niż Bergman, nikt też bardziej dramatycznie nie poszukuje dla ludzi ratunku. Bergman nie poprzestaje bowiem na konstatacjach. Szukał dla ludzi Boga, później ocalenia w nich samych. Nie znajdując, drąży ludzi coraz głębiej, odsłaniając kolejne niemożliwości, ale i szanse — w zgodzie na ułomności świata i w buncie, w milczeniu i wyrwaniu się z jego kręgu, w sztuce i jej negacji na rzecz życia samego, w dobroci i miłosierdziu.

Do tych dwu ostatnich spraw dotarł w **„Krzykach i szeptach"** w filmie, którego tytuł ma swój symboliczny sens dla całej dotychczasowej twórczości Bergmana. W tym dziele doskonałości absolutnej w ujawnianiu stanów świadomości, całego wnętrza człowieka tropionego w obrazach jego twarzy i zachowań, w jego biologicznych funkcjach i przeznaczeniu, w jego układach z innymi ludźmi Bergman dotarł, wydaje się, do granic poznania i ekspresji. **„Krzyki i szepty"** to film o ludzkich twarzach i o — dotyku. W twarzach tych zawarł bezmiar ludzkiej rozpaczy i samotności, w najprostszym geście dotyku poszukiwanie obecności drugiego człowieka. Dotyk bywa wyrazem czułości lub miłosierdzia — w filmie Bergmana zdobywa się na ten gest tylko służąca Anna. Tak, jak kiedyś w **„Siódmej pieczęci"** Bergman uratował tylko rodzinę prostych, dobrych ludzi, tak w **„Krzykach i szeptach"** Annie przeznaczył to, co człowiek ocalić w sobie może, co może drugiemu ofiarować. Nie sposób w miejscu tym poddać całościowej interpretacji ani wszystkich wątków, ani doskonałej wprost urody tego filmu. Refleksje te są wyrazem wrażeń z jedynego w całych Konfrontacjach spotkania z dziełem doskonałym, będącym wyrazem najgłębszej humanistycznej postawy i artystycznego mistrzostwa jego twórcy.

Partnerem Bergmana był w Konfrontacjach Luchino Visconti. Jego **„Ludwik"** wzbudził kontrowersje podobne i podobnie zaskakujące, choć dające się może łatwiej zracjonalizować. **„Krzyki i szepty"** są filmem dramatu o wymiarze ogólnoludzkim, **„Ludwik"** jest tematem niezwykle osobistym, wprost ekshibicjonistycznym — a nie wszyscy to lubią. Z projekcji **„Ludwika"** ludzie wychodzili. Czemu? W tak wielkim, 3-godzinnym filmie poszukuje się zapewne przykuwającej zmiennością zdarzeń fabuły i tego oczekiwania wielu widzom nie zastąpiła dekadencka, to prawda, lecz zniewalająca uroda tego filmu. Czekali na historię, która jest nosicielem zdarzeń i konfliktów przebogatych, spotkali się z filmem ahistorycznym. Oczekiwali dramaturgii zdarzeń, ofiarowano im dramaturgię psychologicznej analizy, w odczuciu zapewne wielu nie cementującej wielkiego spektaklu. A przecież w jej tle rozgrywał się wielki dramat sztuki — tworu ludzkich potrzeb i działań, rodzącej się w pięknie i obumierającej, gdy traci kontakt z potocznym piękna tego odczuwaniem, gdy staje się wyrazem oderwania jednostki od uczestnictwa w życiu określonym kategoriami normalności. Visconti upadek i dekadencję czynił zawsze tematem swej twórczości. **„Ludwik"** jest zaś jak gdyby wyrazem dekadencji immanentnej, której krańcowa już uroda przygnębia, lecz fascynuje. Ciekawość dróg dalszych wielkiego artysty Luchina Viscontiego zawisa wielkim pytaniem, gdy znikają z ekranu ostatnie kadry tego przejmującego urodą i smutkiem filmu.

Jeszcze jednym filmem, który w Konfrontacjach akcentował swą indywidualnonść, był **„Szczęśliwy człowiek"** Lindsaya Andersona. Jego wartość, poza doskonałą w realizacji reżyserskiej i aktorskiej, koncepcją, określa przede wszystkim **stopień zaangażowania w dyskurs o obliczu moralności współczesnego świata.** Gorzka, demaskatorska satyra Andersona i McDowella — wykonawcy głównej roli i autora pomysłu, reprezentuje nurt kina, którego obecność w panoramie światowej kinematografii jest świadectwem stałego uczestnictwa sztuki filmowej w procesach kształtowania postaw naszych współczesnych — działanie wychowawcze kina biegnie bowiem swymi pokrętnymi drogami, jest jednak silniejsze niż zwykliśmy to na co dzień zauważać. Tu też jest miejsce na zwrócenie uwagi na film, stojący jak gdyby na drugim biegunie tego samego dyskursu, jaki niósł film Andersona — jest to radziecki **„Monolog"** Ilii Awerbacha. Psychologiczna opowieść o różnych ludzkich postawach i aktywności w sferze życia osobistego i zawodowego obdarowana została, na sposób właściwy właśnie radzieckiemu kinu, głębokim liryzmem, ludzkim ciepłem, którego tak bardzo brak we współczesnym filmie, a działającym zawsze kataraktycznie.

Tych kilka przedstawionych filmów wybitnych, bądź ciekawych z bardzo różnych zresztą powodów, może określać ten program Konfrontacji, który przyjąć można bez zastrzeżeń, uzupełniając jednakże filmami, których miejsce w tym roku wypełniły, niestety, utwory, których obecność była niewątpliwą pomyłką. W przyszłym sezonie oczekujemy Konfrontacji, które określi świadoma koncepcja ich roli.

EWA NURCZYŃSKA

★

„SŁOWNIK MALARSTWA NOWOCZESNEGO"

Z prawdziwą satysfakcją przeczytałem na łamach „Odgłosów" wypowiedź dotyczącą polskiego wydania „Słownika malarstwa nowoczesnego". Fachowe opracowania sztuki nowoczesnej są ciągle tak wielką rzadkością, że wszystko cokolwiek na ten temat napisano, zwykliśmy przyjmować z aprobatą, wyrażając zgodę na każdą połowiczność, bo lepiej przecież coś niż nic. Trudno o bardziej szkodliwe stanowisko! Sprawa poruszona na marginesie „Od Maneta do Pollocka" typowa jest, niestety, nie tylko dla tej książki. Większość rodzimych publikacji, dotyczących sztuki nowoczesnej, najpierw omawia europejskie, uznane powszechnie autorytety, by na końcu przyczepić podrozdział „Sztuka w Polsce". Nie można nawet powiedzieć „na końcu — wstydliwie...", ponieważ charakter takiej pracy z góry jakby zakładał mniejszą rangę sztuki polskiej, jej trzeciorzędność.

Podczas, gdy do opracowania Słownika zaproszono najwybitniejszych historyków sztuki (Bernard Dorival, Jean Leymare, John Rewald, Michel Seuphor), opracowanie aneksu polskiego powierzono zasłużonemu popularyzatorowi sztuki, Przemysławowi Trzeciakowi, który jednak, mimo wielu zasług, nie jest omnibusem wiedzy o nowoczesnej sztuce polskiej. A można było sięgnąć do materiałów Instytutu Sztuki przygotowującego od lat Słownik Artystów Polskich, można było zaprosić specjalistów od poszczególnych zagadnień — nie uczyniono tego. Wynik: arbitralny wybór i rażące błędy. W dyskutowanym aneksie nie uwzględniono nawet części najwybitniejszych artystów. Szeroko rozreklamowano kolorystów, pominięto natomiast wielu twórców awangardowych. Światowa historia sztuki, przyjąwszy zakreślone granice czasowe, bez Leona Chwistka, Stanisława Ignacego Witkiewicza, Henryka Berlewiego, Mieczysława Szczuki, Jana Lebensteina, Mieczysława Janikowskiego, obejść się nie może.

Czy jedynym ważnym ugrupowaniem polskim są „Formiści"? Dla pana Trzeciaka — tak, ale jeżeli dolną granicą czasową ma być twórczość Maneta, to gdzie podziała się zasłużona dla tworzenia się ruchu modernistycznego „Sztuka" krakowska, gdzie „Blok", „Praesens", „a.r.", „Grupa krakowska", „artes"? — czyż nie wniosły one do polskiej i światowej plastyki wielokrotnie więcej niż pionierskie, ale bardzo prowincjonalne ugrupowanie „Formistów", co dziwniejsze, że jedni z jej najciekawszych członków jak Chwistek i Witkiewicz zostali zaledwie wspomniani, a jednocześnie przeciętnie dobry malarz — Zbigniew Pronaszko — otrzymał omówienie szczegółowe. Rzeczą najbardziej kompromitującą są rażące błędy, jak np. interpretacja postawy Wł. Strzemińskiego; szczególnej „pikanterii" nabiera fakt odwrócenia „Kompozycji unistycznej" tego malarza o 90 stopni (do tej pory notowano tylko wypadki odwrócenia do góry nogami) i opatrzenie poetyckim tytułem: „Pejzaż morski 1934" (!).

LECH SIEMIENOWICZ
ŁODZ

OD REDAKCJI:

Tego rodzaju encyklopedyczne publikacje rzadko mogą się ustrzec błędów i przeoczeń, jest to nieszczęście większości słowników i leksykonów. Wydaje nam się jednak, że niezależnie od wad książki „Od Maneta do Pollocka" bardzo dobrze, że ją w Polsce wydano i bardzo dobrze, że zaopatrzono ją w aneks dotyczący polskich artystów.

★

ODPOWIEDZI REDAKCJI

LESZEK WOJCIECHOWSKI, Białobrzegi Opoczyńskie. Prosimy w sprawie interesującej Pana książki napisać do Księgarni Wysyłkowej „Domu Książki" w Warszawie. Podajemy adres tej księgarni: POWSZECHNA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA, 00150 WARSZAWA, ul. Nowolipie 4.

Mgr inż. KAZIMIERZ W. Łódź. Zasadą wszelkich rubryk w rodzaju „Żywociku Literackiego", „Gabinetu osobliwości" itp. jest nie tyle wyłapywanie błędów korektorskich, co nonsensów, absurdów, jakie tworzy samo życie. Stąd przestawione wiersze w notatce „Głosu Robotniczego" zatytułowanej „Łazienkologia" nie nadają się do „Powiększeń". Poza tym proszę pamiętać, że nam też zdarzają się błędy korektorskie, poprzestawiane wiersze, a często jeszcze gorsze rzeczy. Za co bijemy się w piersi i Czytelników przepraszamy. A już w szkole uczono nas, aby nie śmiać się z „cudzego wypadku", bo taki i nam się może zdarzyć.

BOGUSŁAW ZAJĄC, Piotrków Trybunalski. W warunkach, kiedy występuje przewaga popytu nad podażą konkretnego towaru, może zdarzać się, że ludzie nieuczciwi będą starali się na własną rękę regulować sprzedaż tego towaru, starając się przy tym ciągnąć z tego nielegalne zyski, które zwykliśmy nazywać łapówkami. „Z łapówkarstwem — pisze Pan — spotykamy się jeszcze zbyt często. Może sami kupujący nauczyli tego sprzedawców." Zapewne, ale przeciwdziałanie temu jest trudne, już choćby dlatego, że każdy woli dać te 50 czy 100 zł więcej i mieć to, na czym mu zależy lub czego potrzebuje.

Oczywiście, z nieuczciwością trzeba walczyć, ale też konkretnie, wytykając ją tym, którzy dopuszczają się tego procederu. Anonimowe opisywanie staruszka, który z mendlem jajek szedł do Bełchatowa po szamotowy piec nic tu nie pomoże. Szkoda, że ograniczył się Pan od ogólnych uwag.

W miarę zwiększenia produkcji artykułów deficytowych — znacznie łatwiej będzie walczyć z nieuczciwością sprzedawców. I nie tylko ich.

TADEUSZ SZEWERA

WOJNA i PIÓRO

Jest nas w Okręgu Łódzkim ponad 17 tysięcy. Wywodzimy się z różnych środowisk społecznych, pracujemy w różnych zawodach. Kiedyś byliśmy żołnierzami, politycznymi działaczami konspiracji, partyzantami, powstańcami lub więźniami. Dzisiaj pracujemy w biurach i na roli, w szkołach i w ośrodkach zdrowia, w budownictwie i handlu, w przemyśle i w zawodach artystycznych. Są wśród nas dziennikarze, plastycy, muzycy, aktorzy, naukowcy, literaci i filmowcy. Łączy nas na co dzień wspólna organizacja Związku Bojowników, zbliża nas praca społeczna. Jesteśmy jedną wielką rodziną kombatancką, chociaż chyba nigdy nie zdarzy się taka sytuacja, byśmy się mogli wszyscy naraz zebrać i wzajemnie poznać. Jest to po prostu fizycznie niemożliwe.

A jednak denerwuje mnie fakt, że tak mało o sobie wiemy, że tak rzadko zatrzymujemy się nad tym, co pasjonuje nas w życiu prywatnym. Przecież nasza aktywność nie ogranicza się wyłącznie do pracy w organizacji. Każdy z nas legitymuje się również osobistym dorobkiem twórczym i zawodowym, i to często bardzo bogatym, o którym mało kiedy mówią oficjalne nasze sprawozdania. Na przykład lekarz – zbowidowiec leczy nie tylko zbowidowców w ramach działania w Komisji Socjalnej i Zdrowia; jego pacjenci rekrutują się ze wszystkich grup społecznych i zawodowych poza Związkiem, i ma on na tym polu niejeden poważny sukces medyczny. Rolnik – zbowidowiec dąży przede wszystkim do tego, by jego gospodarstwo należało do przodujących we wsi i z satysfakcją odbiera z rąk przedstawicieli władz gminnych dyplomy w nagrodę za wysokie plony. Nauczyciel – zbowidowiec przekazuje dzieciom nie tylko dzieje oręża polskiego w ramach przewidzianych lekcji historii, ale przede wszystkim uczy ich patrzeć na toczące się w kraju współczesne życie i rozumieć, jak krew i walka przelana ongiś przez ojców, stała się fundamentem pod dzisiejsze dni. Budowlarz – zbowidowiec wznosi domy i cieszy się, gdy do ładnego, solidnie wykonanego mieszkania wprowadzają się młodzi, szczęśliwi ludzie, urodzeni już w Polsce Ludowej. Zbowidowiec – literat nie tylko opracowuje materiały napływające do Komisji Historycznej; on także pisze książki, nadając temu, cośmy przeżyli w latach wojen, kształt trwały i nieprzemijający.

Obszerny przeto byłby taki felieton, w ktorym chciałoby się opisać w szczegółach ów dorobek zawodowy i twórczy każdego z nas. Zatrzymam się więc tym razem tylko przy dorobku literackim i publicystycznym naszego środowiska zbowidowskiego. Warto go bowiem szerzej pokazać.

Przegląd wydawnictw z naszej biblioteki rozpocznę od wydanego w 1959 roku zbioru wspomnień i relacji „uczestników konspiracyjnej sesji Łódzkiej Wojewódzkiej Rady Narodowej, działaczy politycznych oraz partyzantów III Brygady AL im. gen. Bema, którzy w latach 1942–1945 brali na ziemi województwa łódzkiego czynny udział w walce z zaborcą niemieckim". Ileż nazwisk znanych nam z działalności w ZBoWiD spotykamy wśród autorów tej pracy, zatytułowanej *„Powstała w walce"*: Aleksander Burski, Henryk Socha-Domagalski, Ryszard Nazarewicz, Kazimierz Przybył-Stalski, Maria Łatacz, Roman Zbroja, Jerzy Stelak, Stanisław Kwapiński, Piotr Szymanek, Jan Dąb-Kocioł, Mieczysław Kotarski, Bolesław Boruta-Hanicz, Stanisław Baran, Jan Krupa-Skibiński, i wielu, wielu innych zasłużonych działaczy na polu zawodowym, społecznym i politycznym.

Kilka lat temu wstecz (dokładnie w 1965 r.), ukazała się na półkach księgarskich nieduża książeczka zatytułowana **„Reportaż z pustego pola"**. Napisał ją zawodowy literat Wiesław Jażdżyński, od trzydziestu lat związany z naszym miastem. Większość swych utworów poświęcił Kielecczyźnie, z której się wywiódł. Tym razem jednak tematem jego pracy stały się losy dzieci polskich, zamkniętych za drutami hitlerowskiego obozu przy ul. Przemysłowej w Łodzi. Wiesław Jażdżyński nie jest zbowidowcem, ale można powiedzieć, że jego książka narodziła się w ZBoWiD-zie. Dokumentację do **„Reportażu z pustego pola"** zgromadziła bowiem nasza Okręgowa Komisja Historyczna. Śmiało przeto możemy także mówić, że jest to nasza książka.

Tematyka obozowa jest przedmiotem wielu wydawnictw napisanych przez naszych Kolegów-zbowidowców. Stanisław Rapalski dał nam wstrząsający obraz przeżyć więźniów w obozie w Radogoszczu. Jego książeczka **„Byłem w piekle"**, jedyna (jak dotąd) na ten temat, doczekała się aż trzech wydań w łącznym nakładzie 15 tysięcy egzemplarzy, a mimo to darmo by jej szukać na półkach księgarskich. Jeden z naszych najmłodszych zbowidowców, Tadeusz Raźniewski, właśnie były więzień Polen-Jugendverwahrlager w Łodzi, w książce pt. **„Chcę żyć"** przypomniał jeszcze raz tragiczne dzieje dzieci łódzkich, skazanych przez hitlerowców na wynarodowienie, głód i śmierć. Jest to wspomnienie bardzo osobiste, lecz jakże wstrząsające. Nieżyjący już Franciszek Kubiak, zapalony amator-historyk, zbieracz dokumentów i działacz Okręgowej Komisji Historycznej, w dramatycznej opowieści **„Pokonałem śmierć"** zamknął swoje i swych przyjaciół przeżycia z obozu hitlerowskiego w Dachau. A czy nie trzeba przypomnieć książek o tematyce martyrologicznej, pióra przedwcześnie zmarłego pisarza — zbowidowca, znanego działacza politycznego i społecznika Grzegorza Timofiejewa? Jego powieści dokumentalne **„Człowiek jest nagi"** i **„Miłość nie zna zmęczenia"** były pierwszymi książkami o Łodzi podczas okupacji, które demaskowały zbrodnie hitlerowskie wobec łodzian i ukazywały całą „piekielną machinę III Rzeszy" dążącą do wyniszczenia podbitych narodów. Do tych kilku tytułów trzeba również dodać XVI tom **„Rocznika łódzkiego"** z 1972 roku, wydawanego systematycznie przez Oddział Łódzki Polskiego Towarzystwa Historycznego. Ponad 500 stron druku poświęcono wyłącznie zbrodniom hitlerowskim w Łodzi i na Ziemi Łódzkiej w latach 1939—1945. Tę wstrząsającą księgę zawdzięczamy pracownikom nauki, historykom i badaczom dziejów współczesnych, wśród których są także zbowidowcy, że wymienię tylko prof. dr Władysława Bortnowskiego oraz takich jak dr Mirosław Cygański i mgr Janusz Skodlarski z Łodzi, a także mgr Tadeusz Olejnik z Wielunia, bardzo ściśle współpracujących z naszym Związkiem i naszą Komisją Historyczną.

Warto przy tym podkreślić, że wydana przed dziesięcioma laty praca Mirosława Cygańskiego pt. **„Z dziejów okupacji hitlerowskiej w Łodzi 1939—1945"** jest jak dotąd — jedyną publikacją na ten temat, podobnie jak książka Władysława Bortnowskiego **„Na tropach września 1939"** (dwa wydania) jest jedną z pierwszych prób ukazania dziejów Armii WP „Łódź" w kampanii wrześniowej i przebiegu walk na obszarze województwa łódzkiego. Kampania wrześniowa jest także tematem wielu książek pisarza — zbowidowca, działacza Okręgowej Komisji Historycznej, Apoloniusza Zawilskiego. Z jego bogatego dorobku literackiego wymieniam tutaj powieść pt. **„Bateria została"** i przede wszystkim ponad 700 stronicową dwutomową pracę **„Bitwy polskiego września"**, która błyskawicznie zniknęła z księgarń mimo 20-tysięcznego nakładu. Późniejsze losy polskiego żołnierza, po Wrześniu 1939 roku, znajdziemy w uroczej opowieści **„Jak zostać generałem"**, pióra Karola Obidniaka, członka Koła „Synów Pułków" przy Klubie Kombatantów, aktora i literata, a także reżysera i autora kilku sztuk teatralnych, m.in. **„Pokój pełen dymu"** i **„Bereziacy"**, ta ostatnia poświęcona walce komunistów z KPP. Dodajmy przy tym, że utwory dramatyczne, wystawiane nie tylko na scenach łódzkich, pisze również nasz Kolega-zbowidowiec Władysław Orłowski.

Przeglądajmy dalej naszą bibliotekę, której twórcami są zbowidowcy z Łodzi i z województwa. Sięgam po książki zawierające tematykę partyzancką. Będę je wymieniał mniej więcej w takiej kolejności, w jakiej ukazywały się na półkach księgarskich. A więc mamy tutaj wydany w 1962 roku zbiór pt. **„Partyzancki czas"** Kazimierza Przybył-Stalskiego, który obecnie kieruje zespołem redagującym nasz zbowidowski kwartalnik „Walka i Praca". Mamy osobiste wspomnienia z lasu Ryszarda Klimczaka, dziennikarza i redaktora gazety „Nasze Życie" zebrane w dwóch książkach: **„Czas-karabin"** oraz **„Raport ilustrowany"**. Trzech kolejnych wydań doczekały się wspomnienia Stanisława Gajka **„Promieniści"**. Losom partyzantów z 25 pp AK Ziemi Piotrkowskiej poświęcił Edward Szuster aż trzy książki: **„Opowieść o zmarnowanym entuzjaźmie"**, **„Leśni"** i **„Na tropach Billa'**. W roku bieżącym ukazała się kolejna książka tego autora pt. **„Dragon"**, stanowiąca zbiór opowieści osnutych na tle scenariuszy widowisk telewizyjnych, których akcja w wielu wypadkach rozgrywa się w latach ostatniej wojny. Wreszcie ostatnio otrzymaliśmy do rąk **„Wspomnienia dowódcy III Brygady AL"** pióra Bolesława Hanicza-Boruty, wieloletniego działacza ZBoWiD, który przedstawia dzieje znanego oddziału partyzanckiego im. gen. J. Bema w latach 1943—1945.

Myślę, że za nasze książki możemy także traktować opowieść warszawskiej pisarki Moniki Warneńskiej **„Chłopcy z miasta Łodzi"** poświęconą „Promienistym", no a przede wszystkim znakomitą i jedyną do tej pory monografię Ruchu Oporu na Ziemi Łódzkiej pióra dr Ryszarda Nazarewicza pt. **„Nad górną Wartą i Pilicą. PPR, GL i AL w Okręgu Częstochowsko-Piotrkowskim w walce z hitlerowskim okupantem (1942—1945)"**. Autor tej źródłowej, ponad 400 stronicowej monografii, pracownik naukowy i działacz Głównej Komisji Historycznej, był w latach okupacji szefem sztabu III Brygady AL im. gen. Bema i jest ściśle związany z naszym Okręgiem. Dodajmy, że w końcu ubiegłego roku ukazała się na półkach nowa książka Ryszarda Nazarewicza, również traktująca o Ruchu Oporu w województwie łódzkim pt. **„Ziemia Radomszczańska w walce 1939—1945"**.

Z tematyki tajnego nauczania mamy w dorobku dwie pozycje. Autorem jednej pt. **„Pamiętnik nauczyciela"** (dwa wydania) jest emerytowany nauczyciel Adam Kowalski, członek Zespołu d/s Tajnego Nauczania przy Okręgowej Komisji Historycznej. Druga jest zbiorem relacji i gawęd z dziejów tajnej oświaty w Łodzi i na Ziemi Łódzkiej w latach 1939—1945 i została napisana przez dziennikarza Sergiusza Jaśkiewicza i długoletniego pedagoga, byłego kuratora Łódzkiego Okręgu Szkolnego mgr Mieczysława Woźniakowskiego. Książka nosi tytuł **„Iskry w podziemiu"**.

A książki o innej tematyce? Jest ich także sporo w naszej zbowidowskiej bibliotece. Oto np. dzieje powstańczej kompanii K-3 z pułku AK „Baszta" opisał były dowódca tej kompanii w tomie pt. **„Baszta K-3 walczy"**, członek naszego Związku, z zawodu pracownik biurowy, mieszkający stale w Łodzi. Losy jeńców wojennych znajdziemy we wspomnieniach Włodzimierza Krzemińskiego pt. **„Jednak jestem"**, popularnego felietonisty „Ćwieka" z tygodnika „Odgłosy" (felietony te wydał w zbiorze pt. **„Lewym okiem"**), pracującego obecnie w Łódzkiej Rozgłośni „Polskiego Radia" na stanowisku kierownika literackiego popularnej audycji „Wesoły Autobus". Trudne lata powojenne i dramatyczny czas utrwalania władzy ludowej na Ziemi Łódzkiej znajdziemy w książce Piotra Aleksandra Kukuły **„A oni ginęli dalej..."** (dwa wydania). Ten sam autor wydał niedawno wspomnienia z kampanii wrześniowej pt. **„Maszerują strzelcy"**, przedstawiając w nich historię działań bojowych 28 i 31 pułków Strzelców Kaniowskich z 10 dywizji piechoty Armii „Łódź". Temat walki z reakcyjnym podziemiem o utrwalenie władzy ludowej przewija się także przez karty pracy zbiorowej, zredagowanej przez Komitet w składzie Stefan Banasiak, Edward Chobot, Stefan Fijałkowski i Alfred Kusiak, poświęconej tym, którzy polegli na Ziemi Łódzkiej **„Za ojczyznę i za lud"**. Dzieje walki członków PPR w latach okupacji poznamy z kart tomu wspomnień pt. **„Synowie Bałut"**. Zarówno redaktor książki dr Tadeusz Czapliński, jak i autorzy poszczególnych rozdziałów, to nasi Koledzy ze ZBoWiD i zasłużeni działacze naszej organizacji. Stefan Szpinger, działacz Komisji Środowiskowej Weteranów 1905—1917 roku, w książce **„Z pierwszą konną"** dał nam bardzo interesujący obraz losów Polaków-uczestników Wielkiej Rewolucji Październikowej. O walce naszych najstarszych pokoleń na barykadach łódzkich 1905 roku dowiemy się z relacji zebranych w tomie **„Wspomnienia weteranów 1905 roku"**, a napisanych przez naszych najstarszych Kolegów-zbowidowców, dzisiaj szczególnie przez nas honorowanych Weteranów walk rewolucyjnych.

Czy to już pełny dorobek literacki naszego ZBoWiD-u? Z całą pewnością nie. Wielu naszych Kolegów ma za sobą publikacje w różnych wydawnictwach zbiorowych. Nie sposób ich wszystkich wymienić. Wspomnę tylko 600 stronicowy tom pt. **„Pamiętnik II Krajowego Zjazdu Lekarzy Związku Bojowników o Wolność i Demokrację"**, w którym znajdujemy artykuły dr dr Jana Aleksandrowicza, Zbigniewa Jaśniewicza i Jana Pakowskiego, działaczy naszego Zespołu d/s Badań Lekarskich przy Okręgowej Komisji Socjalnej i Zdrowia. Przypomnę tu także zbiorowe wydawnictwo pt. **„Wspomnienia kobiet"**, w którym znajdziemy nagrodzoną na konkursie Wojewódzkiej Rady Kobiet i Związku Literatów Polskich relację naszej Koleżanki Barbary Bogdańskiej, byłej więźniarki Oświęcimia. Podobnych publikacji można by przytoczyć bardzo wiele, przy czym na podkreślenie zasługuje fakt, że ogromna większość wymienionych przeze mnie książek ukazała się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego, które w planach wydawniczych zawsze uwzględniało tematykę patriotyczną, i z którym naszą organizację łączyła zawsze dobrze pojęta współpraca.

Zasygnalizowałem tutaj pokrótce tylko jedną dziedzinę twórczości — książkę. Jeśli kogoś z autorów pominąłem, proszę mi to wybaczyć. Ilość tytułów jest ogromna i dorobek zbyt bogaty, aby czegoś nie przeoczyć. Można by na przykład wymieniać bez końca tytuły publikacji prasowych, które też nie są bez znaczenia przy podsumowywaniu naszego twórczego dorobku i wymieniać nazwiska wielu zbowidowców-dziennikarzy i nie dziennikarzy, którzy te artykuły umieszczali w radio, w prasie, w telewizji. Tacy Koledzy jak Marian Maj, Franciszek Lewandowski, Józef Mozga, Piotr Goszczyński, Mieczysław Jagoszewski, Stefan Kotlarek, Ludwik Szumlewski, Jerzy Urbankiewicz (wydał trzy książki o dawnej Łodzi) i inni, dobrze przyczynili się naszej zbowidowskiej sprawie, dobrze propagowali naszą organizację. Można by bardzo obszernie pisać również o naszych zbowidowcach, takich jak reżyser Edward Palczyński z Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi, twórca filmu **„Satyra walcząca w latach 1939—1945"**. W tej wytwórni narodził się też film o Muzeum Czynu Partyzanckiego w Polichnie i dokumentalny film o „Hubalczykach", którzy w naszym Związku prowadzą bardzo ożywioną działalność współpracując z harcerzami i młodzieżą szkolną. Powinniśmy również pokazać dorobek twórczy naszych Kolegów plastyków, muzyków i Kolegów aktorów, takich jak Maria Białobrzeska i Włodzimierz Skoczylas, którzy codzienną pracą przyczyniają się do rozwoju polskiej kultury. Myślę, że jest ku temu najlepsza okazja teraz, kiedy stajemy u progu 30-lecia naszej Ludowej Ojczyzny i wytyczając sobie plany na przyszłość podsumowujemy to, cośmy do tej pory zrobili. Ten nasz, niejako prywatny dorobek twórczy, chociaż związany nierozerwalnie z działalnością zbowidowską, rzadko kiedy trafia do oficjalnych statystycznych sprawozdań. A przecież także stanowi cenny nasz wkład w dzieło utrwalania najpiękniejszych kart polskiej historii i wpływa na kształtowanie się świadomości nowych pokoleń, rosnących w wolnej Polsce Ludowej. Pamiętajmy o tym.

(Od Redakcji): Autor niniejszego felietonu ma także bogaty udział w dorobku twórczym zbowidowców, o których tutaj napisał. Jako dziennikarz „Polskiego Radia" w Łodzi zamieścił na antenie bardzo wiele audycji o tematyce zbowidowskiej, ogłosił również wiele artykułów w prasie codziennej i tygodnikach. Jest poza tym autorem tomu reportaży historycznych o naszym województwie pt. **„O Szekspirze, lwie czarnym i wąsach Reymonta"** oraz 600 stronicowej antologii pieśni wojennej z lat 1939—1945 pt. **„Niech wiatr ją poniesie"**. Za widowisko plenerowe **„Ballada partyzancka"**, wystawione w Polichnie i w Łodzi, otrzymał Nagrodę Ministra Obrony Narodowej. Jest laureatem zespołowej Nagrody m. Łodzi w Dziedzinie Upowszechniania Kultury.

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

REQUIEM NA ŚMIERĆ ŁOSIA

1

Łoś wyszedł z lasu Na rogach niósł granatowe świerki
A dzień był skostniały jak ręka w kaplicy cmentarnej
Drzewa pękały w powietrzu i pokazywały suche wnętrza
Ptaki dzwoniły skrzydłami
Nozdrza świeciły jak lampa osłonięta
Łoś stał w drzwiach lasu Powietrze obrysowało go światłem
Niebo nad grzbietem oparte o sosny cienkie jak szkło
Równina zasłana bielą W ślepiach ciekawość
Smużka dymu jak złamane skrzydło wleczone po ziemi
Biegł po głębokim białym polu Odeszła od niego ściana drzew

rys. M. MINKOWSKA

2

Brzozy wyszły z lasu Wyglądają rozgałęzionych rogów
Zrogowaciałych płomieni wychodzących z łagodnego łba
Niski fiolet wrzosowisk zasypany chmurami
A czas jest skostniały jak białe płótno na sznurze
W zapadłych brzuchach wilków kołaczą żebra Ślepia w śniegu
Jak rozżarzone druty Kamienie zatrzaśnięte z wszystkich stron
W suchym powietrzu biały wiatr Igła ukośna
Obraca się w skórze jak piaszczysty wir Kości białe bieleją
Grudka ziemi pęka głośniej niż gradowa chmura Woda drewnieje
Głucho upada pień rzeki Ryby jak pradawne paprocie w węglu
W łodzie czyste skamieniałe gwiazdy

rys. M. MINKOWSKA

3

Mokrymi nozdrzami wietrzył człowieka
Niebo paliło się w roziskrzonych ślepiach w szkłach tęczówek
Przeskakiwał przez gwiazdy Przez druty strzegące ogrodów
Gałęzie skrzypiały w niebie jak stare opuszczone schody
Głód podnosił mu łeb w stronę przelatującego ptaka
Wtedy wypadło z niego światło Syczało na śniegu jak żmija
Podpełzało do kopyt dudniących po płatkach co spadały z chmury
Gryzło parujący brzuch Łamało mu żebra Zorzą wdzierało się w trzewia
Wtedy przystanął by pokonać pazury rozrywające wnętrzności
Ale biały zawistny wiatr obalił go ogromnym skrzydłem
I upadł w mróz I skostniał

WSZYSTKO DLA PASAŻERA

Samoloty szybkie wypierają z powodzeniem samoloty powolniejsze. Im bowiem samolot jest szybszy, tym więcej pasażerów przewiezie na tej samej trasie w ciągu tego samego czasu. Ale z drugiej strony wzrost szybkości samolotów wymaga większej mocy silników i większej pojemności zbiorników na paliwo. Takie samoloty opłacają się na długich trasach. Na trasach krótkich są nieekonomiczne. Konstruktorzy muszą więc myśleć o tworzeniu samolotów przeznaczonych na różne trasy i w związku z tym — w zależności od przeznaczenia — poruszających się z określoną prędkością. Na trasach krótkich — od 500 do 800 km na godzinę. Na trasach dłuższych z prędkością zbliżoną do predkości dźwięku — od 900 do 1 000 km na godzinę.

Samoloty pasażerskie o różnym przeznaczeniu buduje zarówno przemysł Związku Radzieckiego, jak i Stanów Zjednoczonych. Radzieccy konstruktorzy od pewnego czasu konstruują samoloty pasażerskie, które nie są „cywilną" wersją samolotu wojskowego. Pierwszym takim samolotem, zbudowanym wyłącznie z myślą o cywilnym lotnictwie, był „IŁ-18". Następnym — „IŁ-62", międzykontynentalny odrzutowiec.

Komunikacja samolotowa odgrywa w Związku Radzieckim ogromną rolę. Na olbrzymich przestrzeniach, szczególnie Syberii, stanowi niekiedy jedyny sposób podróżowania. Dawniej wykorzystywano do takiej komunikacji dwupłatowiec „AN-2", który zabierał 10 pasażerów. Obecnie „Aeroflot" dysponuje większą ilością samolotów, przeznaczonych do kursowania na różnych trasach. A w ciągu najbliższych lat znacznie zwiększy się ich różnorodność.

Radzieccy konstruktorzy poszli dalej w rozwiązywaniu problemów współczesnego lotnictwa cywilnego. Uznali, że dla podniesienia sprawności komunikacji lotniczej trzeba nie tylko budować samoloty dla określonych tras komunikacyjnych, ale też tak je konstruować, aby z jednej strony ułatwiać podróż pasażerowi, a przez to skracać również czas podróży i tym samym zwiększyć skuteczność pracy linii lotniczych.

„Bardzo często zdarza mi się — **pisał niedawno w „Prawdzie" znany radziecki konstruktor Aleksanner Jakowlew** — latać radzieckimi i zagranicznymi samolotami. I zawsze myślę o tym, o ile mniej byłoby uzasadnionych narzekań pasażerów, jeśliby konstruktorzy z większą uwagą uwzględniali ich życzenia..

Kto z pasażerów nie denerwuje się po wylądowaniu samolotu, czekając aż podwiozą trap. A potem — ile marnuje się czasu przy wydawaniu bagażu. Ale czy słusznie winni się za to towarzystwo lotnicze? Jako konstruktor zadaję sobie pytanie — czy można było te problemy rozwiązać przy tworzeniu samolotu? Oczywiście, że tak."

Przykładem tego może być samolot pasażerski „JAK-40". Posiada on automatycznie wysuwany trap oraz specjalne pomieszczenie dla bagaży pasażerów. Samolot ten zabiera do 32 pasażerów, rozwija szybkość 500—600 km na godzinę i przeznaczony jest na krótkie dystanse. Natomiast „JAK-42" przeznaczony jest na dłuższe dystanse, zabiera 120 pasażerów, jego średnia szybkość wynosi 850 km na godzinę i ma zastąpić wysłużone już, a słynne swego czasu „TU-124" oraz turbośmigłowce „AN-24".

Biuro konstrukcyjne Sergiusza Iliuszyna — prowadzone obecnie przez G. W. Nowożyłowa — przygotowuje konstrukcję samolotu pasażerskiego „IŁ-86", który będzie zabierał 350 pasażerów i który będzie miał dolny pokład przeznaczony na bagaż. Na liniach krajowych do „IŁA-86" można będzie wsiadać wraz z bagażem, tak jak do pociągu lub do autobusu. „IŁ-86" będzie miał średnią szybkość 920 km na godzinę.

Radzieccy konstruktorzy pracują również nad superszybkimi samolotami pasażerskimi, przeznaczonymi do obsługi linii międzykontynentalnych. Samolotem takim jest „stratosferyczny strzała", słynny już „TU-144", samolot o prędkości 2 M — dwukrotnej szybkości dźwięku. W opracowaniu konstruktorów są również inne typy samolotów i śmigłowców.

M. R.

NAFTOWE KLONDIKE W TIUMEŃSKIM OBWODZIE

Spotkanie 13 krajów zachodnich, największych konsumentów nafty, w lutym br. w Waszyngtonie, zakończyło się właściwie fiaskiem. W wielu stanach USA wprowadzono dalsze ograniczenia w zużyciu paliwa do samochodów. Daje się odczuć niedobór także wielu innych rodzajów paliw zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i na zachodzie Europy. Ciężar kryzysu energetycznego odczuwa również „trzeci świat". Krajów EWG nie oszczędza gorączka walutowa: na giełdzie paryskiej cena złota skoczyła do 160 dolarów za uncję. To samo notują giełdy w Zurychu i Londynie. Ostry kryzys polityczny przeżywa Anglia.

Wszystkie te wydarzenia wstrząsające krajami wspólnoty zachodniej wyraźnie kontrastują z osiągnięciami ekonomicznymi i socjalnymi Związku Radzieckiego.

NOWE ELDORADO

Zacznijmy od problemu naftowego. Związek Radziecki jest jedynym krajem, spośród wysoko rozwiniętych krajów przemysłowych, który nie obawia się deficytu energii zarówno teraz, jak i w odległej przyszłości. Około 40 proc. ziem, na których w ogóle znajdują się zasoby ropy naftowej i gazu ziemnego, znajduje się na terytorium Związku Radzieckiego. Potwierdzają to odkrycia najbogatszych złóż naftowych w świecie we wschodniej i zachodniej Syberii, w Kazachstanie i Turkmenii, w Komijskiej ASRR oraz innych rejonach kraju.

Niedawno członek Akademii Nauk ZSRR, prof. Kryłow, przewodniczący Rady Naukowej do Eksploatacji Złóż Naftowych poinformował, że zasoby nafty na Syberii, a głównie w okręgu tiumeńskim, który na Zachodzie nazwano „Nowym Eldorado" są tak ogromne, że nie da się ich porównać z żadnym roponośnym rejonem świata.

Dodał on także, że w 1975 roku rejony te dadzą 140 milionów ton ropy naftowej, w 1980 roku — 230—240 milionów ton, a w końcu tego stulecia wydobycie wzrośnie do 700—800 milionów ton. Mowa tu tylko o jednym z basenów naftowych, znajdujących się na terytorium Związku Radzieckiego. Już dziś w dziesięciu spośród piętnastu republik związkowych, od Kaukazu aż po Sachalin i od środkowoazjatyckich pustyń aż po Arktykę, nawet w bardzo surowych warunkach naturalnych, wydobywa się naftę. Poszukiwania nowych złóż i ich eksploatację prowadzi się zgodnie z programem racjonalnego wykorzystania zasobów naturalnych.

STO TRYLIARDÓW M³ GAZU ZIEMNEGO

Wzrost wydobycia nafty pozwala na zwiększenie jej eksportu. W 1975 roku, kiedy zgodnie z realistycznymi prognozami produkcja nafty w ZSRR osiągnie 480—500 milionów ton rocznie, socjalistyczne kraje Europy będą otrzymywały przez rurociąg „Przyjaźń" około 50 milionów ton nafty rocznie.

Nie należy zapominać i o takim źródle energii jak gaz ziemny. Odgrywa on coraz większą rolę w ekonomicznym rozwoju ZSRR. W 1973 roku Związek Radziecki wydobywał 236 miliardów m³ gazu, do roku 1975 liczba ta wzrośnie do 300 miliardów m³. Ale nawet ta ogromna ilość jest nieznaczna w porównaniu z już odkrytymi w ZSRR zasobami gazu, które ocenia się na 20 tryliardów m³. Jednakże potencjalne zasoby, według wstępnych danych, wynoszą nie mniej niż 100 tryliardów m³! Coraz większe ilości radzieckiego gazu ziemnego idą na rynki światowe.

Jednym z podstawowych problemów, które rozwiązuje obecnie przemysł wydobywczy gazu ziemnego w ZSRR, jest transport. Wkrótce już długość gazociągu wyniesie ponad 100.000 km, to jest dziesięciokrotnie przewyższy odległość od Morza Bałtyckiego do Oceanu Spokojnego. Zostanie stworzony jednolity system zaopatrywania w gaz, sterowany z centralnego ośrodka dyspozycyjnego.

Do naturalnych źródeł energetycznych — gazu, nafty i węgla — należy dodać energię elektryczną, której produkcja już w 1973 roku osiągnęła 915 miliardów kilowatogodzin.

ELEKTROWNIE ROKU 2000

Obok elektrowni cieplnych i wodnych coraz większe ilości energii elektrycznej w ZSRR wytwarzają elektrownie atomowe. W ciągu najbliższego dwudziestolecia dużą rolę zaczną odgrywać tzw. elektryczne stacje przypływowe. Są to już źródła energii roku 2000. Ale zresztą i bez nich ZSRR będzie mógł wkrótce eksportować energię elektryczną do kapitalistycznych krajów zachodniej Europy. Już dziś istnieją ku temu wszelkie techniczne i technologiczne przesłanki. Wskazuje na to jednolity system elektroenergetyczny, który gwarantuje stopniowe zaopatrywanie w elektryczność całego kraju. Składa się on z rozgałęzionej sieci przesyłowych linii wysokiego napięcia. Długość tylko jednej z nich: Ekibastuz—Centr wynosi ponad dwa tysiące kilometrów; od stepów Kazachstanu aż po przemysłowe rejony centralnej części ZSRR. System energetyczny „Pokój" łączy Związek Radziecki z krajami socjalistycznymi i już w niedługim czasie linie przesyłowe wysokiego napięcia mogłyby zostać przedłużone do państw zachodniej Europy.

Plan uwzględnia zarówno produkcję paliwa, jak i potrzeby konsumpcji, przy czym przejście od jednego źródła energii do drugiego jest bardzo śmiałe. Niedawno agencje prasowe poinformowały, iż w domach usytuowanych w centrum Moskwy kuchenki gazowe wymieni się na elektryczne i że już w najbliższym czasie taką wymianę przeprowadzi się w całej stolicy. Nie spowoduje to podwyższenia opłat konsumentów za energię elektryczną.

PLANOWANIE GOSPODARCZE I SOCJALNE

Racjonalny cud planowania, mimo pewnych jego niedostatków, o których pisze zresztą radziecka prasa, odgrywa ogromną rolę.

Plan funkcjonuje efektywnie także w zakresie wynagrodzeń. W okresie pierwszych dwóch lat obecnej pięciolatki, 34 miliony obywateli radzieckich otrzymało podwyżki wynagrodzeń za pracę, powiększono stypendia studenckie. W latach 1971—72 dochód na głowę mieszkańca wzrósł o 8 proc. Do końca pięciolatki, tj. do 1975 roku, podwyżki płac dostanie jeszcze ponad 50 milionów obywateli ZSRR. Najbardziej, bo średnio o 28 proc., wzrosną płace górników, nafciarzy, chemików, metalurgów, robotników przemysłu spożywczego i elektrycznego. Dochody robotników sowchozów wzrosną prawie o 30 proc. W ten sposób niepowstrzymanej inflacji ogarniającej tzw. „społeczeństwa konsumpcyjne", Związek Radziecki przeciwstawia stałe zwiększanie dochodów swoich obywateli oraz twardą kontrolę cen.

Następny czynnik dotyczy planowania socjalnego, a przede wszystkim perspektyw zdobycia wykształcenia i kulturalnego rozwoju społeczeństwa radzieckiego. Weźmy na przykład przeciętne miasto radzieckie — Lwów, leżące na Ukrainie. Według danych rady miejskiej, latem 1973 roku średnie szkoły ukończyło 5.328 chłopców i dziewcząt. 913 spośród nich, tj. prawie jedna szósta, kontynuuje naukę w uniwersytetach i innych wyższych zakładach naukowych. 1068 osób uczy się w technikach i szkołach przygotowujących kadry specjalistów, 1290 uczy się na kursach zawodowych, 2015 młodych ludzi poszło do pracy w przedsiębiorstwach i innych zakładach pracy. Tylko 42 osoby nie dokonały żadnego wyboru. Należy podkreślić, że plan socjalnego rozwoju społeczeństwa radzieckiego stwarza gwarancję stałego rozwoju oświaty, nauki i kultury.

To zaledwie kilka przykładów, charakteryzujących radziecki model rozwoju społeczeństwa. Nie wyczerpuje on wszystkich problemów i osiągnięć Związku Radzieckiego i nie tworzy jakiegoś idyllicznego obrazu. Osiągnięcia ZSRR są odbiciem rzeczywistości, którą powinna dostrzegać zachodnia Europa mając na widoku perspektywy pokojowego współistnienia na kontynencie i coraz szerszą współpracę krajów o różnych systemach społecznych.

JERZY CZECH

- DWIE WAŻNE WIZYTY
- DALSZY KROK NA DRODZE DO NORMALIZACJI
- NOWY KRYZYS: W STOSUNKACH USA–EWG

W kalendarzu politycznym miniony tydzień zapisał się m. in. **dwiema ważnymi wizytami.** W Polsce gościła partyjno-rządowa delegacja CSRS, której przewodniczył sekretarz generalny KC KPCz — G. Husak, natomiast do czarnomorskiej miejscowości wypoczynkowej — Picunda przyjechał na polityczne rozmowy prez. Pompidou. Pierwsza z wymienionych wizyt dała okazję do szczegółowego przeglądu polsko-czechosłowackich stosunków i nakreślenia dalekosiężnych ustaleń w kierunku rozwijania współpracy w wielu dziedzinach, druga — służyła piątej już konsultacji radziecko-francuskiej na najwyższym szczeblu, na temat stosunków dwustronnych i sytuacji międzynarodowej. Różne w swoim charakterze — wizyty te mają jednak wspólny mianownik: **umacniają pokój i współpracę narodów.** Ilustrują one naczelne zasady polityki naszej wspólnoty — przyjaźń i braterską współpracę krajów socjalistycznych oraz rozwijanie dobrych stosunków z wszystkimi państwami, które w pełni respektują zasady współżycia międzynarodowego i współdziałają w utrwaleniu pokoju i bezpieczeństwa narodów.

W czasie rozmów w Picundzie prez. Pompidou oświadczył swemu gospodarzowi — L. Breżniewowi:

> „Pan reprezentuje Wschód, my — daleki Zachód. Nie można jednak wyobrazić sobie stabilizacji w Europie, w której nie figurowałaby — jako element pierwszorzędnej wagi — zgodność między naszymi narodami".

Przytaczam te słowa charakterystyczne dla naszego czasu — **czasu międzynarodowego odprężenia.** W wielu publikacjach zagranicznych rozmowy Breżniew-Pompidou traktowano jako test obecnej sytuacji. Wypadł on dodatnio. Dlatego też pisze się o nich, że mogą dać **impuls do zwiększenia tempa w odprężeniowych rokowaniach,** które przecież toczą się obecnie w Genewie — na Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy oraz w Wiedniu na konferencji 19 państw na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie.

W rzędzie faktów stabilizujących sytuację w Europie wyliczyć trzeba **porozumienie między NRD i NRF w sprawie przedstawicielstw** obu państw w ich stolicach. Po prawie 15 miesiącach od podpisania układu podstawowego przez oba państwa niemieckie osiągnięto ważne szczegółowe porozumienie, które nie tylko poprawi atmosferę między Berlinem i Bonn, ale także może pozytywnie oddziałać na rokowania dwustronne w innych dziedzinach.

Aby ocenić wagę wynegocjowanego porozumienia — przypomnijmy, że w NRF wzajemnym stosunkom starano się nadać szczególną interpretację „stosunków międzyniemieckich". Było to pojęcie zawężające i, w istocie, godzące w suwerenność NRD. Odejście od takiej interpretacji jest więc **ważnym krokiem na drodze dalszej normalizacji** wzajemnych stosunków.

Uzgodnienie porozumienia przyjęto w NRF z zainteresowaniem, z którym konkurować może tylko **10-dniowy pobyt E. Bahra** — ministra do specjalnych poruczeń — w **Moskwie.** Prasa zachodnioniemiecka, podkreślając, że Bahr ponad 30 godzin spędził na rozmowach z radzieckimi politykami tylko w obecności tłumacza lub nawet bez niego i że przywiózł list Breżniewa do Brandta, gubi się w domysłach, co przyniesie ten dialog. Przeważa opinia, że pobyt NRF-owskiego ministra w ZSRR przygotowywał wizytę Brandta. Opozycja domaga się szczegółowej informacji o przebiegu rozmów.

Aby przez chwilę jeszcze pozostać na kontynencie europejskim — zwróćmy uwagę na **spotkanie przedstawicieli dziewięciu krajów EWG w Bonn.** W dyskusji tej miał wziąć udział również przedstawiciel USA, ponieważ jej tematem był projekt przyszłych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi. Departament Stanu odmówił jednak wysłania swego delegata, uzasadniając to... brakiem czasu na zapoznanie się z projektem dokumentu.

Istota sprawy polega tymczasem na wzroście napięcia między krajami dziewiątki a USA. Po waszyngtońskiej konferencji konsumentów ropy, o której pisaliśmy na tym miejscu obszerniej, kraje zachodniej Europy jak gdyby **zreflektowały się** i w ślad za Francją manifestują gotowość bliższej współpracy z państwami arabskimi. Denerwuje to Waszyngton, który od kilku dni ostro atakuje już nie tylko Francję, ale i pozostałych członków EWG. Zdaniem wielu obserwatorów, **napięcie** w stosunkach USA — Europa zachodnia **osiągnęło apogeum.** Pisze się, że aktualnie stosunki z europejskimi sojusznikami **są „największym problemem w polityce zagranicznej USA".** Jeśli nic się nie poprawi w najbliższym czasie — Nixon z pewnością raz jeszcze zdecyduje o odroczeniu podróży do zachodniej Europy, ostatnio ustalonej na koniec kwietnia.

Kryzys, który obalił już trzy rządy zachodnioeuropejskie i zmusił do rekonstrukcji czwartego, który w czasie waszyngtońskiej konferencji importerów ropy podporządkował prawie wszystkie kraje zachodnie USA — **teraz jednoczy je przeciwko Stanom Zjednoczonym.** Czy można było przewidywać, że tak rozległe będą jego następstwa?

Przegląd wydarzeń kończymy sygnalizowaniem **nowego etapu walki o władzę w Chinach.** Mimo trudności w obserwowaniu sytuacji politycznej w ChRL — nikt nie ma już wątpliwości, że toczy się tam coś, przypominającego sławetną „rewolucję kulturalną". Jej następstwa doskonale pamiętamy...

WITOLD SŁAWSKI

ZDARZENIA ZWIERZENIA?!

ŁÓDZKIE DOKUMENTY

Istnieje jakaś dziwna prawidłowość wydawnicza. Jak już trafia mi do rąk książkowa rewelacja — to opadają ręce z powodu nakładu. Zacznę więc od tego, że historyczny bestseller Ryszarda Rosina i Mieczysława Bandurki wydano w ilości 2 tysięcy egzemplarzy, co skutecznie ogranicza zasięg książki i zmniejsza jej poznawcze funkcje.

Co to bowiem za książka? Otóż autorzy zebrali dokumenty z historii Łodzi z lat 1332—1973. Tak więc najważniejsza notacja dokumentalna naszego miasta doczekała się wydania w zwartej publikacji. Dla wszystkich, którzy interesują się historią Łodzi jest to rzeczywiście druk bezcenny. Rozproszone po dziesiątkach książek i archiwach dokumenty znalazły się w jednym tomie. Rangę tomu podnosi też zarys dziejów wypełniający połowę książki i będący interesującym esejem historycznym.

Ale ten bibliofilski nakład. Nie mam zresztą pretensji do wydawców, bowiem publikacja Rosina i Bandurki nie ukazała się w żadnej z firm wydawniczych. Po prostu łódzki oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego oraz Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi zastąpiły tą bezcenną inicjatywą nieruchawe firmy powołane do działalności wydawniczej.

Komplet czterdziestu pięciu dokumentów zaczyna się od „Monitora" z 1332 roku, w którym to Władysław, książę łęczycki i dobrzyński zwalnia wsie biskupstwa i kapituły wrocławskiej od wszelkich opłat, powinności oraz sądownictwa urzędników ziemskich i pozwala przenieść je na prawo niemieckie lub polskie. Wśród owych wymienionych wsi — między nazwami Strupin i Dąbrowa widnieje Łódź.

I to jest pierwszy dokument, pierwsza wzmianka o naszym mieście.

Komplet owych czterdziestu pięciu dokumentów kończy Uchwała Rady Ministrów w sprawie rozwoju i modernizacji m. Łodzi w latach 1971—1975 i założeń na lata dalsze.

Te dwa doniosłe pisma wykreślają cezurę czasową nie tylko książki Rosina i Bandurki, ale dziejów miasta. Pismo księcia Władysława jest ważne, bo notuje punkt zerowy — sześćset pięćdziesiąt lat temu. Uchwała Rady Ministrów z roku 1971 jest ważna i dla dziejów miasta i dla nas — żyjących dziś w tym mieście, bo określa wysoki punkt startu do roku dwutysięcznego. Czyli — dwa graniczne dokumenty określają nie tylko dzieje miasta, ale niejako sytuują je w dziejach kraju.

Na podstawie lektury tych dokumentów śledzimy po prostu historię Polski rozgrywającą się na rozległych terenach, które kiedyś nazywały się różnie, a dziś noszą nazwę Łodzi.

A więc mamy w księdze Rosina i Bandurki dokumenty lokacyjne, pozwolenie na budowę ratusza, protokół zajęcia wójtostwa łódzkiego pod osadę sukienniczą, nadanie praw miasta gubernialnego — i zaraz potem raport o zniszczeniu maszyn przez tkaczy, co było, jak wiadomo, bodaj ostatnim w Europie przejawem ruchu tzw. luddystów.

A dalej już idą te znamienne raporty z lat znanych nam z historii, lat pięknie zapisanych w dziejach łódzkiego proletariatu.

Gubernator piotrkowski, Arcimowicz, pisze do genarał-gubernatora warszawskiego, Maksymowicza, w czerwcu 1905: „W ciągu wczorajszego dnia na ulicach Łodzi odbywały się manifestacje ze sztandarami, z tłumu strzelano bez przerwy do wojska i policji, z balkonów, okien i dachów domów padały pojedyńcze strzały i salwy (...) Wszystkie fabryki w liczbie 473 strajkowały. Sytuacja bardzo groźna..."

Rzeczywiście dla caratu sytuacja stawała się w 1905 roku „bardzo groźna". Od Rewolucji Październikowej dzieliło ludzkość już tylko kilkanaście lat. Łódzkie dokumenty z tych lat wpisane są jakże wyraźnie w krwioobieg historii Europy.

Zresztą nie tylko te dokumenty. Oto odezwa z listopada roku 1918 wzywająca do „objęcia całej władzy politycznej przez Rady Delegatów Robotniczych, Chłopskich i Żołnierskich — wprowadzenia rządów robotniczych — dyktatury czyli wszechwładzy proletariatu..."

Dalej mamy dokumenty z lat kryzysu, odezwy KPP, akt erekcyjny obowiązku powszechnego nauczania w Łodzi, wreszcie wrzesień 1939, odezwa Komitetu Obywatelskiego, potem komisarza władz okupacyjnych. I okupacja — „Głos Łodzi" — pismo PPR, aż wreszcie rok 1944 i ustawa o organizacji i zakresie działania rad narodowych...

Ten skrót wygląda oczywiście sucho i brzmi beznamiętnie, ale w gruncie rzeczy ta 180-stronicowa książka jest lekturą pasjonującą. Setki nazwisk i spraw — historia Polski żywa, wyzierająca z dokumentów naszego miasta.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

DYSCYPLINA

Trafił do moich rąk 6 numer tygodnika „Kaliski Włókniarz". Jest to pismo kilku dysponentów, co wyjaśnia napis w podtytule: „Organ Samorządów Robotniczych: Runotexu, Wistilu, Polo, Haftu, Kalpo, Kalimetu, Kalgaru". Wprawdzie stare przysłowie głosi, że „gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść", ale w tym wypadku nie może mieć ono zastosowania. Zamiast siedmiu pism zakładowych, kaliscy włókniarze mają jedno. I słusznie. W myśl zasady, że „lepiej raz a dobrze, niż często a źle", choć trudno mi sądzić na podstawie jednego numeru, czy „Kaliski Włókniarz" jest dobrym czy złym pismem. I nie o to mi idzie.

W 6 numerze „Kaliskiego Włókniarza" znalazłem na pierwszej stronie artykuł, napisany przez Zastępcę Prokuratora Wojewódzkiego w Poznaniu – Włodzimierza Wilke, którego nazwisko opublikowano w nawiasie, a który – wykazując aż taką skromność – zabrał głos na temat: „PROKURATURA ogniwem umacniającym dyscyplinę pracy".

W domu mego przyjaciela z lat dziecinnych wisiała nad biurkiem jego ojca kozia nóżka, pięknie przyozdobiona długimi, skórzanymi rzemieniami i równie pięknie, a groźnie nazywana „dyscypliną". Nie wiem dlaczego, ale skojarzenie prokuratury z dyscypliną pracy przywiodło mi na myśl tamtą „dyscyplinę". I to mimo pełnej świadomości tego, jak bardzo potrzeba nam dyscypliny, jak bardzo jesteśmy jeszcze społeczeństwem pod tym względem rozkojarzonym, jak często ludzki egoizm i lekkomyślność przynoszą straty nie tylko materialne w gospodarstwie. Zdaję sobie sprawę z tego, że w trosce o umacnianie dyscypliny i w wychowywaniu ludzi świadomie zdyscyplinowanych dobry jest każdy sojusznik. A mimo to przyszło mi na myśl takie skojarzenie. Sprawdziłem u innych. Reakcja była podobna.

Włodzimierz Wilke oparł swoje spostrzeżenia na wynikach prokuratorskiej kontroli przestrzegania prawa. Pisze on:

„Są jednak w naszych zakładach pracownicy świadomie łamiący dyscyplinę pracy... Polega to albo na spóźnianiu się do pracy, albo na nieprzychodzeniu do pracy przez jeden lub kilka dni – i to bez usprawiedliwienia. Są i tacy, którzy nie przyjdą do pracy na skutek wprawiania się w okresie poprzedzającym przyjście do pracy (wieczorem, w nocy) w stan nietrzeźwości, lub wprawiający się w taki stan w czasie pracy".

I dalej.

„Najistotniejsze z uchybień stwierdzonych w toku badań prokuratorskich polegały na nieprzestrzeganiu obowiązku wymierzania pracownikom kar pieniężnych w postaci 1/4 dziennego zarobku za przekroczenia dyscyplinarne w postaci: nieusprawiedliwionej nieobecności w pracy i przyjścia do pracy w stanie nietrzeźwym, bądź doprowadzania się do takiego stanu w czasie pracy".

Pomijam już stylistyczną niezręczność, która wymaga, aby **„wprawianie się w stan nietrzeźwości"** tłumaczyć w myśli na język polski jako „pijaństwo" lub „nadużywanie alkoholu". Istotniejszym jest to, że poza nazwaniem – powszechnie zresztą znanych objawów łamania dyscypliny pracy, brak jest konkluzji, przykładów, jakich to sankcji użyła prokuratura, aby ukarać tych, którzy nie przestrzegają przepisów. Kontrolą przeprowadzono i co?

Codzienna działalność prokuratury kojarzy się z karaniem, choć o wysokości kary decyduje sąd. Opinia publiczna nie wie jednak, że prokuratura spełnia też inną rolę. W toku licznie prowadzonych dochodzeń gromadzą się sygnały, które w miarę przekazywania jednostkom społecznym i gospodarczym, uruchamiają właściwe komórki kontrolne i zapobiegają konfliktom z prawem. Jest to działalność ze wszech miar pożyteczna i dobrze, że ludzie się o tym dowiedzą. Ale problem dyscypliny pracy ma znacznie szersze i bardziej skomplikowane podłoże, aby go można było rozpatrywać jedynie tylko na płaszczyźnie prawa i przepisów.

Nawet przez myśl mi nie przyszło, aby stawać w obronie liberalizmu, aby pochwalać tych którzy wobec winnych łamania dyscypliny nie stosują sankcji określonych przepisami. Istnieją jednak takie warunki społeczne, które powodują zjawisko nazywane „deficytem siły roboczej". Nie jest to określenie ładne, ale – niestety – prawdziwe. I w tych warunkach trudno nie rozumieć „przymykania oczu" wielu dyrektorów, kierowników, mistrzów i brygadzistów, którzy postawieni wobec alternatywy: mieć dostatek złych pracowników lub nie mieć żadnych, decydują się na mniejsze zło.

Moje żachnięcie bierze się nie tylko ze sprzeciwu wobec „dyscypliny wymuszonej", jako jedynej formie dyscypliny. Bierze się ono również stąd, że wyniki prokuratorskiej kontroli ujawniły – przynajmniej dla mnie – nie tylko objawy naruszania dyscypliny i przepisów, ale jednocześnie obnażyły niedostatek wielowarstwowego systemu kontroli, od wewnętrznej począwszy. Skoro już prokuratura zainteresowała się dyscypliną społeczną, to bardzo źle musi być z funkcjonowaniem wszystkich innych komórek. Ale do tej konkluzji autor z „Kaliskiego Włókniarza" nie doszedł.

Działo się to wszystko w Kaliszu, daleko od Łodzi, cóż nas to może obchodzić? Otóż nie. Powinno nas to również obchodzić, choćby przez analogię, choćby jako ostrzeżenie – żeby zarówno nie popełniać błędów propagandowych, wynikających z nieprecyzyjnego sformułowania, odwołujących się do zastanych stereotypów myślowych, jak też, aby uważniej przyjrzeć się innym ogniwom kontroli, które powinny sprawniej działać na co dzień i nie czekać na prokuratorskie sygnały.

MARCIN RODAK

WSPÓŁCZUJĘ BALLADYNIE

Poważnym wstrząsem była dla mnie recenzja pana Stefana Treugutta w „Kulturze" — „Balladyna od końca".

Współcześnie żyjący wróg Słowackiego, intrygant, krytyk literacki Stanisław Ropelewski, ośmieszając Słowackiego tak streścił „Balladynę".

„(...) kiedy się (Grabiec) spać położył, Balladyna go zarżnęła i jest królową — Kostryn powiesił Pustelnika; potem wspólnym usiłowaniem sprowadzili śmierć Kirkora, potem jeszcze parę zabójstw, Balladyna truje Kostryna i matkę na torturach zamęcza — wreszcie piorun w nią trzasł i tragedia się skończyła".

Ropelewski nie ukrywał swej niechęci do Słowackiego, drwił z niego otwarcie. Z tym większym zdumieniem przeczytałem streszczenie „Balladyny" pióra pana Stefana Treugutta.

„(...) Bohaterka tytułowa gwałci wszelkie prawidła etyki naturalnej i społecznej, drogą zbrodni dochodzi od prostoty wiejskiej chaty do tronu. Zabita piorunem, do końca przez ludzką sprawiedliwość nie zdemaskowana, przeciwnie, chwalona dzwonami pogrzebnymi i panegirykami dziejopisa. Jej siostra zarżnięta nożem. Matka zamęczona torturami. Mąż zasiekany w bitwie. Jeden z jej kochanków, po nieoczekiwanej karierze, która realizuje schemat tradycyjny „z chłopa król" całkiem nie wedle tego schematu, nietradycyjnie zakłuty w łóżku (pomyślmy, pijany Grabek gra tu rolę Króla Lira!) — drugi kochanek ginie od zamachu trucicielskiego Zacny eremita, w którego szacie ukrywał się wygnany król, obwieszony przed własną chatą na gałęzi. Padają i mniej znaczne osoby. Jak to określił w polemicznej uwadze sam Słowacki".

Oczywiście, posługując się taką metodą treść każdego utworu można wydrwić. Co prawda pan Stefan Treugutt przyznaje, że Słowacki mądrością słynie nieustannie, ale dla mnie jest to tylko mydlenie oczu. Swój wywód kończy bowiem cytatem samego Słowackiego, sugerując czytelnikowi dyskretnie, że Słowacki z jego pana Stefana Treugutta stanowiskiem się zgadza, a cytat tego dowodzi.

„Nie podobało się, że Grabiec spity
Jest wierzbą, że się Balladyna krwawi,
Że w całej sztuce tylko nie zabity
Sufler (...)"

Tymczasem pełny cytat brzmi:

„Nie podobało się już w BALLADYNIE
Że mój maleńki Skierka w bańce z mydła
Cicho po rzece kryształowej płynie,
Że bańka się od gazowego skrzydła
Babki-konika rozbija i ginie,
Że w grobie leżąc Alina nie zbrzydła,
Lecz piękna z dzbankiem na głowie martwica
Jest jak duch z woni malin i z księżyca.

Nie podobało się, że Grabiec spity
Jest wierzbą, że się Balladyna krwawi,
Że w całej sztuce tylko nie zabity
Sufler i Młoda Polska, co się bawi
Jak każdy głupiec, plwając na sufity
Lub w studnię... która po sobie zostawi
Tyle co bańka mydlana rozwalin,
A pewnie nie woń mirry — ani malin..."

Ostatni czterowiersz jest więc rzeczywistą odpowiedzią Słowackiego, skierowaną do obu recenzentów: Stanisława Ropelewskiego i Stefana Treugutta. Słowacki udzielił więc w tej materii sam pełnej, żarliwej i godnej mistrza odpowiedzi.

Wypada mi jeszcze, nie wdając się w subtelności, na terror stosowany wobec czytelnika przez pana Stefana Treugutta, odpowiedzieć: terrorem jest dla mnie groźba zawarta w przypisie. Jak to? więc mamy bez dyskusji paść na kolana przed pańskim intelektem i wykrętną erudycją i przyjąć do wiadomości to, co pan nam podaje. A więc z góry zakłada pan, że brak będzie obrońcom Słowackiego sił i amunicji i że wobec tego służy pan swoją?

„Przeciwnikom ostatniej premiery balladowego dramatu służę garścią tytułów, pod którymi łatwo im będzie snuć smutne refleksje o niszczeniu poczciwej klasyki przez niepoczciwych reżyserów: „maliny i spaliny", „motory i zmory", „bitwa czołgów pod Gnieznem", „Balladyna na dziko, z przyprawami" itd."

W recenzji są jeszcze aluzje do naszych cech narodowych co zdumiewa tym bardziej, że nie wiem czy jest na świecie człowiek, który by Greczynki według Medei osądzał.

KAROL OBIDNIAK

SPORT

PO SŁOŃCE I SUKCES?

Wyścig kolarski Paryż — Nicea przekonał mnie osobiście, że wszelkie wątpliwości na temat naszego sportowego amatorstwa nie mają żadnego sensu. Przekonać mnie było łatwo, bo nie miałam tutaj żadnych, poważniejszych wątpliwości, ale zdarzają się tacy, którzy je mają. Ich właśnie chciałabym przekonać, aby odłożyli te wątpliwości na stronę. Wszyscy kolarze mieli bowiem na koszulkach reklamowe napisy a nasi chłopcy — nic. Nie reklamowali bydgoskiej fabryki produkującej rowery, ani jej nawet nie reprezentowali w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych, którzy czerpiąc korzyści dla siebie, przysparzali sławy różnym zagranicznym zresztą firmom.

Wyścig kolarski Paryż — Nicea przekonał mnie również, a myślę, że powinien przekonać też innych, że życie zawodowca nie jest usłane różami. Szlabany im się przed nosem zamyka, choć pociągu ani widać ani słychać, bocznymi drogami ich się wodzi, ruchu kołowego na szosach dla nich się nie zatrzymuje i wiele innych jeszcze trudności przysparza. I słusznie. Sami wybrali taki zawód, nikt ich do tego nie zmuszał, nie zachęcał, złotych gór nie obiecywał.

Wprawdzie nasi sprawozdawcy, którzy dostąpili zaszczytu osobistego udziału w wyścigu Paryż — Nicea, skarżyli się na fatalną organizację, porównując ją do organizacji Wyścigu Pokoju i twierdząc, że „Wyścig Pokoju ma się do przedsięwzięcia Paryż — Nicea tak, jak Pałac Wilanowski do znajdującej się w ruinie lepianki" ale mimo to uznano, że zaproszenie dziesięciu amatorów do współzawodnictwa z zawodowcami jest dla amatorów wyróżnieniem i zaszczytem. Co tu dużo mówić, profesjonalizm zawsze był u nas w cenie i są dziedziny życia, gdzie słowo amator budzi popłoch. Ale w kolarstwie mamy na szczęście inną sytuację, gdyż właśnie tu mamy najlepszych na świecie amatorów. I wcale się nie dziwię, że postanowiono, aby ci najlepsi amatorzy spotkali się z najlepszymi zawodowcami.

Był to krok ryzykowny, wiele osób marzyło sobie, że Ryszard Szurkowski i Stanisław Szozda pokażą zawodowcom, gdzie raki zimują i porozstawiają ich po kątach Europy, ale były to tylko nieodpowiedzialne mrzonki. Z faktu, że Stanisław Szozda wylądował w szpitalu, a Ryszard Szurkowski na 28 pozycji, nawet za Januszem Kowalskim, malkontenci będą wyciągać wnioski, że z kolarstwem, jak z innymi dyscyplinami, znów będą kłopoty, że spadek formy, że spoczęli na laurach itd. Malkontentów u nas nigdy nie brakuje, można byłoby się nimi nie przejmować, ale wydaje mi się, że chodziło tu zupełnie o coś innego.

A więc traktując rzecz poważnie, wstydzić się nie ma czego, bo i Ryszard Szurkowski nawiązał równorzędną walkę z najlepszymi zawodowcami, bo i dla naszej kolarskiej dziesiątki były to nowe i ważne doświadczenia. Jeśli chodzi o Ryszarda Szurkowskiego, to chciałabym tylko przypomnieć, że 6 razy zameldował się na mecie w pierwszej dziesiątce, dwa razy na trzecim miejscu, raz na drugim, a w ogólnej klasyfikacji na najaktywniejszego kolarza zajął trzecie miejsce. To się liczy.

W wyścigach zawodowców — jak się okazało — obowiązuje inna taktyka i poznanie jej przyda się niewątpliwie naszym kolarzom. Poza tym — jak to podkreślano wśród obserwatorów — polscy kolarze mieli w przeciwieństwie do zawodowców tylko jeden wyścig „w nogach", podczas gdy tamci startowali już po kilka razy. I wreszcie sprawa najważniejsza. Nie należy zapominać, że dla nas, sprawą patriotycznej i kolarskiej ambicji jest Wyścig Pokoju, do którego przecież nie pozostało tak wiele czasu. I dobrze, że nasi kolarze nie „szarpnęli się" we Francji, bo gdyby gorzej później pojechali w maju w Polsce, Czechosłowacji i NRD, to już nie tylko malkontenci, ale wszyscy tego by im nie darowali. A tak zwycięstwo jeszcze przed Ryszardem Szurkowskim i jego kompanią. W perspektywie — Igrzyska Olimpijskie.

BOGDA MADEJ

POWRÓT STIRLITZA

Telewizja Polska wyświetla serial radziecki, powstały w oparciu o powieść Juliana Siemionowa pt. „Siedemnaście mgnień wiosny", której bohaterem jest radziecki wywiadowca Maksym Isajew, występujący w III Rzeszy jako Stirlitz. I oto „Książka i Wiedza" wydała następną powieść Juliana Siemionowa pt. „Bomba dla przewodniczącego".

Maksym Isajew jest już historykiem, profesorem, który przypadkiem włącza się do światowej gry. Spotykamy w niej „starych znajomych" — dawnych hitlerowców, służących dziś wielkim koncernom, prowadzącym swoją politykę, zmierzających do odrodzenia faszyzmu, Isajew zostaje zamieszany w tę grę przez swego ucznia, który staje się ofiarą prowokacji i spisku. Akcja powieści toczy się głównie w Niemczech Zachodnich i Zachodnim Berlinie, a także w Hongkongu i Tokio, tam wszędzie, gdzie sięgają wpływy niemieckich koncernów, gdzie knuje się intrygi przeciw ludzkości.

Jest to powieść sensacyjna w najlepszym tego słowa znaczeniu, rządząca się prawami tego gatunku, a jednocześnie posiadająca inne walory. Ujawnia ona bowiem mechanizmy działania wielkich koncernów, pokazuje metody, jakimi posługują się ludzie, mający na uwadze tylko interes wielkiego kapitału. Pokazuje także ludzi, którzy gotowi są poświęcić życie, aby nie dopuścić do następnej katastrofy. I choć Isajew — Stirlitz powrócił znów do gry, to nie on toczy główną walkę, jest tylko sojusznikiem, pomaga tym razem samym Niemcom rozprawić się z bezprawiem, zbrodnią i niebezpieczeństwem.

Julian Siemionow — **Bomba dla przewodniczącego**, „Książka i Wiedza", Warszawa — 1973, str. 326, cena: 26,— zł.

CZŁOWIEK W LABIRYNCIE

Powieść Roberta Silverberga „Iskry" wydały w serii „Fantastyka — Przygoda". Jest to powieść fantastyczno-naukowa, której akcja rozgrywa się na Ziemi, planecie Lemnos, Beta Hydri IV i innych. Robert Silverberg ma w swoim dorobku przeszło pięćdziesiąt książek fantastyczno-naukowych, a także naukowych. Był przed laty prezesem Amerykańskiego Stowarzyszenia Autorów Literatury Fantastyczno-Naukowej. „Człowieka w labiryncie" opublikował po raz pierwszy w 1969 roku.

Jest to powieść fantastyczno-naukowa, ale nie labirynt planety Lemnos — tajemnicza budowla postawiona przed milionami lat przez stworzenia nieznanej, a wysokiej cywilizacji — jest tematem tej powieści. Jest nim człowiek, który znalazł się w labiryncie swoich możliwości i niemożliwości, który zaplątał się w kosmiczne problemy, z którymi musi sobie radzić, aby utrzymać Ludzkość w Galaktyce. Silverberg w fantastycznym tle podróży kosmicznych, kiedy dochodzi do zetknięcia się cywilizacji różnych galaktyk, pokazuje człowieka, jego postawy, umiejętność dokonywania wyboru, poświęcania się dla wyższych celów, jego ambicje, marzenia i rezygnacje.

I choć rzecz dzieje się w dalekiej przyszłości, na różnych planetach Galaktyki, to przecież człowiek pozostał taki sam. Jest nam współczesny mimo zmienionych akcesoriów i scenerii. Czy tacy będą ludzie przyszłych pokoleń? O to Silverbergowi nie chodzi. Napisał znakomitą książkę fantastyczno-naukową, w której występują prawdziwi ludzie. A to jest sztuka nielada.

Robert Silverberg — **Człowiek w labiryncie**, „Iskry", Warszawa 1973, str. 284, cena: 14,— zł.

SŁAWY W CIENIU

Elżbieta Krzesińska, Gerard Cieślik, Jerzy Chromik, Elwira Seroczyńska, Zbigniew Pietrzykowski, Ireneusz Paliński — to tylko niektórzy bohaterowie książki Tadeusza Olszańskiego „Za metą i dalej". Już w samym tytule, który autor nadał zbiorowi reportaży o sportowcach, zawarta jest sugestia, że w reportażach tych nie chodzi tylko o sylwetkę sportowca z okresu jego największych sukcesów, ale i o ten dalszy etap życia, który jakże często dla kibiców jest już tylko wielką niewiadomą.

Obserwatorzy sportu i kibice sportowi, zachłystując się wielkim wynikiem lub drąc szaty nad porażką, często nie widzą poza tym sportowca — człowieka. Często człowieka z kompleksami, często walczącego przeciwko wszystkim, przeciwko sobie. Kreśląc sylwetki swoich bohaterów, Olszański starał się pokazać prawdziwą twarz, prawdziwe życie sportowca. Rozmowy, jakie przeprowadzał z dawnymi mistrzami, mówią też o ich dalszych losach, już za metą sportowej kariery. Często na kartach książki padają słowa gorzkie, a odnoszące się do sportowej przeszłości. Jest ludzka, mądra ocena drogi, jaką dawni sportowi idole przeszli, jest to ostrzeżenie dla tych, którzy dziś są u szczytu sławy.

Tadeusz Olszański — **„Za metą i dalej"**, Wydawnictwo „Sport i Turystyka", Warszawa — 1973, str. 219, cena: 22,— zł.

WIELCY HOLENDRZY

Jedną z najnowszych pozycji serii „ceramowskiej" jest książka małżonków Jana i Annie Romein „Twórcy kultury holenderskiej". Jan Romein, jeden z najwybitniejszych historyków holenderskich, był uczniem słynego J. Huizingi — autora popularnej u nas „Jesieni średniowiecza".

Książka Jana i Annie Romeinów powstała 35 lat temu i obecna jej polska edycja jest zaledwie wyborem z angielskiej i niemieckiej wersji czterotomowego dzieła. Jest to zbiór portretów wielkich Holendrów, z których wielu zasłużyło się nie tylko dla kultury swojego kraju, ale i dla kultury europejskiej. Znajdziemy więc tutaj sylwetki Hieronima Boscha, Erazma z Rotterdamu, Rembrandta, Benedykta Spinozy, Wincenta van Gogha. Są więc sylwetki filozofów, artystów, polityków, władców, a także kupców, prawników, literatów.

Jest to niewątpliwie książka o wielkich walorach poznawczych. Słusznie opatrzono ją „Posłowiem" Tadeusza Brzostowskiego, który prostuje sporo nieścisłości i uzupełnia oceny, jakie przyniosło 35 lat rozwoju nauki na świecie. Przez te 35 lat autorzy „Twórców kultury holenderskiej" — mimo licznych wznowień i tłumaczeń ich książki — nie wnosili do niej żadnych poprawek.

Jan i Anna Romein — **„Twórcy kultury holenderskiej"**, PIW, Warszawa — 1973, str. 306, cena: 70.— zł.

WSPÓŁCZEŚNI AMERYKANIE

Trzeci raz już „Iskry" prezentują polskiemu czytelnikowi wybór opowiadań amerykańskich pisarzy. Pierwszy ukazał się w 1957 roku i zawierał 18 opowiadań, drugi — w 1963 roku i zawierał ich 26. Trzeci, obecny, zawiera 32 opowiadania. Różni się od poprzednich nie tylko objętością i obfitością wyboru, ale również tym, że prezentuje rzeczywiście współczesną literaturę amerykańską, i tym, że dokonując wyboru, Krzysztof Zarzecki kierował się pragnieniem pokazania polskiemu czytelnikowi aktualnych tendencji panujących w amerykańskim życiu literackim, jak również chęcią pokazania amerykańskiej współczesności.

Najstarsze opowiadanie powstało w 1942 roku, a najmłodsze w 1964 roku. Z pozostałych, większość powstała w latach pięćdziesiątych.

Zbiór amerykańskich opowiadań starannie wydano, zaopatrując dwa tomy „32 współczesnych amerykańskich opowiadań" w wyczerpujące słowa wstępne oraz w notki biograficzne, informujące polskiego czytelnika o autorach poszczególnych opowiadań.

B. M.

„32 współczesne opowiadania amerykańskie", Wydawnictwo „Iskry", Warszawa — 1973, przekład: Krystyna Tarnowska, tom I—II, cena 56,— zł.

FILM

ZAGROŻENIE

Film „GOŚCIE" powstał w warunkach amatorskich, co nie byłoby może czymś niezwykłym, gdyby nie fakt, że jego twórcą jest Elia Kazan. Wybitny reżyser amerykański, twórca m.in. takich znanych i polskiej publiczności filmów jak „Na wschód od Edenu", „Ameryka, Ameryka", czy „Układ", nauczyciel takich znakomitości z „Actor's Studio", jak Marlon Brando, James Dean i Montgomery Clift. Elia Kazan realizuje w 1972 roku film będący zupełnie prywatnym przedsięwzięciem. Zdjęcia kręcono w posiadłości Kazana według scenariusza jego syna Chrisa. Film powstał na taśmie Super-16 mm, później przekopiowany na normalny standart, przedstawiony został na festiwalu w Cannes. Większość również technicznych funkcji spełniali przyjaciele i aktorzy, młodzi wychowankowie Kazana z „Actor's Studio". Sądzić można, że nie tylko pewne sytuacje obiektywne (producent?) zdecydowały o okolicznościach powstania tego filmu. Okoliczności te przydają bowiem filmowi „Goście" znaczenia dodatkowego, jest on osobistą wypowiedzią grupy ludzi, jej dramatyzm warunkowany zaś jest politycznym i moralnym przesłaniem.

Tematem „Goście" wyraźnie nawiązują do sprawy My Lai i głośnego procesu porucznika Calleya. W jednej z postaci filmu, starego pisarza Harry Wayne'a E Kazan skarykaturował Johna Steinbecka, który ongi zadeklarował się jako zwolennik wojny wietnamskiej. Nazwisko Wayne wskazuje zaś aktora Johna Wayne'a, który zrealizował film „Zielone berety" stanowiący apologię działalności amerykańskich komandosów w Wietnamie. To są niektóre realia tego filmu. Zrealizowany przed zakończeniem wojny w Wietnamie, ale i przed, o czym dowiedzieliśmy się niedawno, wypuszczeniem na wolność Calleya, film Kazana niesie treści nadal niezdeaktualizowane. Tym bardziej, że w istocie swojej centralnym problemem „Gości" są psychologiczne skutki wojny wietnamskiej w społeczeństwie amerykańskim. Ich proces nie został zakończony wraz z ogłoszeniem w Wietnamie pokoju.

Zbrodnie wielkiej polityki stały się udziałem szeregowych ludzi, wciągniętych w jej przejawy. Elia Kazan w ogłoszonym w programie filmu na festiwal canneński wprowadzeniu napisał: „My Lai! To, co było żenujące w wydarzeniach My Lai, to nie ich dzika brutalność. Wojna zawsze była brutalna i z samej swej istoty barbarzyńska. Nas — Amerykanów w wydarzeniach My Lai zaszokował fakt, że odpowiedzialny za nie był ktoś z nas. Nie „obywatel amerykański" czy „jeden z naszych współczesnych", ale „dzielny chłopak", chłopak, z sąsiedztwa, narzeczony siostry, wasz partner w golfie, mój partner przy kręglach. Ktoś bliski, twój i mój. To nami wstrząsnęło. Wreszcie! Nie możemy odwrócić się od porucznika Calleya, machnąć ręką, powiedzieć mu „idź i nie wracaj!" Nie mamy ucieczki. Oto, co mój syn i ja chcieliśmy uświadomić za pośrednictwem „Gości".

Idei tej służy przejmująco pokazany obraz przeniesienia barbarzyństwa dokonywanego oficjalnie gdzieś w dalekim Wietnamie do przytulnego domu, gdzieś w środku własnej ojczyzny. Dramat wietnamskiej dziewczynki zakłóci spokój amerykańskiej rodziny — nie poprzez wyrzuty sumienia, moralne rozterki, lecz poprzez zadany gwałt. On to uświadomi istnienie zbrodni, którą odległość Wietnamu czyniła nie dość oczywistą.

Elia Kazan, pełen grozy finał swego filmu, przygotowywał z niezwykłą precyzją, stopniując atmosferę zdarzeń. Między idyllicznym obrazem domu i rodziny u początku filmu, a katami gwałtu go kończącymi sytuują się sceny, które mówią o Ameryce i jej społeczeństwie nie tylko poprzez pryzmat wietnamskiej wojny. Rewolwer w domu pisarza, karabin w samochodzie przyjezdnych, polowanie na psa, mecz w telewizji, zachwyty autora „westernów" nad „fajnymi chłopcami" z armii, beztroska młodej kobiety — to rekwizyty, sytuacje i rozmowy, będące śladami i wyrazem określonego systemu, w którym owi „fajni chłopcy" rośli nim znaleźli się w Wietnamie. Wojna spustoszeń psychicznych dokonała już ostatecznie.

Wydaje się, że Chris i Elia Kazan realizując „Gości" robili film przede wszystkim dla Ameryki i Amerykanów. Nic bowiem tak nie jest w stanie wstrząsnąć sytym i spokojnym, jak poczucie zagrożenia we własnym domu, zagrożenia spełnionego nie przez kogoś z dala i anonimowego, lecz tak jak Kazan sam powiedział „dzielnego chłopca z sąsiedztwa". Odchodzący w ciemność nocy goście pozostawią zgwałconą Marthę i skatowanego kolegę z wojska, dlatego, że chciał być inny niż oni sami. Zwycięstwo gwałtu dokonanego wśród swoich, wśród poczucia bezpieczeństwa, jakie daje własny dom, przeraża bardziej niż beznamiętne komunikaty, bądź okrutne w dosłowności obrazów kroniki wojny, które powtarzane przez lata tracą powoli swój straszliwy sens. Zło i zbrodnia doznane u siebie i od swoich jako skutek tamtych spraw, to argumenty przemawiające. „Goście" Elli Kazana nie doczekali się do dziś szerokiego rozpowszechniania w amerykańskich kinach.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

EROS W CZTERECH ŚCIANACH

Dobre czasy nastały dla gorliwych moralizatorów. Oto bowiem podnosi się w naszej kulturze fala ekscytacji, której na imię Eros. Trwa frywolna licytacja w zakresie obyczajowej odwagi: kto pokaże więcej? Wcale dzielnie biorą w niej udział „Odgłosy". Kibicowanie tej kampanii jest zajęciem zabawnym — obnaża się w niej nie tylko damską anatomię, ale również nieźle zakonserwowane pokłady dulszczyzny, demaskuje muzealny legion drobnomieszczańskich ciotek. Moralizatorzy szaleją, w nieco masochistycznym zapamiętaniu piętnując i pokazując palcem. Tymczasem figlarny Eros pokazuje im język i wypina na nich gołe pośladki. Ta erotyczna afera rozwija się spontanicznie i w klimacie ludycznym, który nie sprzyja poważnemu myśleniu. Mówimy i piszemy o tym z charakterystycznym zmrużeniem oka i z odrobiną nieodzownej pikanterii. Stąd bierze się ogromne pomieszanie pojęciowe oraz przyczynowo-skutkowe poplątanie w tej materii. Ale praktyki cielesne zawsze skutecznie wypierają wysiłki umysłowe. Zanim wszakże zanurzymy się w starannej i dogłębnej lekturze odwrotnej strony mała prośba o cierpliwość: spróbujmy bardziej serio na ten temat.

Pytanie podstawowe dotyczy celów i wartości zakładanych przez współczesnego człowieka, a ujawnianych w kulturze, którą tworzy. Łatwo odpowiedzieć, że praktycznie uznaną oczywistością jest hedonistyczna wersja ludzkiej egzystencji nakierowanej na cele doczesne. Jej konsumpcyjny, charakter może być mniej lub bardziej wyrafinowany, lecz te stopnie sublimacji (i satysfakcji) nie zmieniają zasadniczego nastawienia tj. możliwie pełnego wyczerpania potencjału przyjemności. Biologicznym stanem, który gwarantuje najszerszą skalę doznań i oddala metafizyczny problem śmierci jest młodość. Dlatego kultura masowa jest kulturą młodzieżową. Kulturowa pajdokracja terroryzuje pokolenie z okolic „smugi cienia" i wymusza na nim groteskową celebrację swojego stylu. Młodość stała się pojęciem bardzo elastycznym. Jej zewnętrzne atrybuty łączą nasto- i czterdziestolatka. Trafia się siwowłosy play-boy.

Niespotykany awans wartości młodzieńczych we współczesnej kulturze w naturalny sposób dotyczy erotycznej sfery ludzkiego życia. Zawsze stanowiła ona potężny motyw w historii kultur, który skrywał lub otwarcie demonstrował swój cielesny wymiar. Stopień tej otwartości był regulowany swoistością norm społecznych obowiązujących na danym obszarze i w danej epoce, norm o różnym nasileniu represji. Trudne do jednoznacznego ustalenia pojęcie pornografii zostało stworzone przez moralizatorów. W granicach sztuki problem jest nader skomplikowany i płynny, bowiem jego widzenie mącą nieprzewidziane (?) okoliczności — utwór nie unikający tematyki erotycznej może poruszać obok wrażliwości artystycznej także fizjologiczną.

Podniecający charakter erotyki fotograficznej został skwapliwie wykorzystany przez komercjalną kulturę masową w celach reklamowych. Edgar Morin tak pisze o tym w „Duchu czasu":

„Współczesne towary usiłują otoczyć się aurą sex-appealu. Rzecz w tym, że pomiędzy skierowanym w stronę kobiety erotyzmem, a tym istotnym dla współczesnego kapitalizmu nurtem, który stara się pobudzić konsumpcję nastąpiło jakieś zdumiewające skojarzenie. Nigdy nienasycony pieniądz odwołuje się do wiecznie niedożywionego Erosa, aby zintensyfikować przyjemność i rozkosz, które wywołują i wyzwalają rzucane na rynek towary."

Jednakże aspekt komercjalny fotografowanej nagości nie kończy się na reklamie. Jako problem psychologiczny, społeczny i pedagogiczny zaczyna się dopiero w ciemnej sali kinowej. Jedno jest pewne: pełna erotyzacja współczesnej kinematografii rozpoczęła się z przyczyn artystycznych. Dla złamania moralnego tabu powodować się trzeba odwagą artysty, a nie spekulancką chęcią zysku. Erotyczne tabu było w hollywoodzkiej kinematografii pilnie strzeżone przez skrupulatny kodeks Haysa, który dokładnie zakreślał granice dopuszczalnych konwencji przedstawieniowych. I tak — gwoli pikantnego przykładu — nogę kobiecą wraz z kolanem i częścią uda można było pokazać, ale wewnętrzną część uda już nie, małżeństwo w łożnicy owszem, ale pod warunkiem, że chociaż jedna stopa opiera się o podłogę, itd. Skądinąd jednak wiadomo, że pruderia p. Haysa płynęła z prostej potrzeby ochrony interesów, ponieważ strzegła producentów przed bojkotem purytańskiej publiczności. Rzecz jasna, obyczajowa ewolucja publiczności następuje wraz z takąż ewolucją kina, jednakże ono zawsze wyprzedza obowiązującą moralność potoczną i definiuje nowy obyczaj erotyczny, aby psychologicznym prawem filmowej identyfikacji wprowadzić go w szeroki obieg społeczny. Obyczaj wynika w filmie z coraz pełniejszej próby opisania ludzkiego życia, w którym motywacje erotyczne odgrywają bardzo istotną rolę. Drastyczny erotyzm filmów Bergmana stanowi konieczną wartość w jego filmowej filozofii człowieka.

Z kina wątek erotyczny wędruje filmową drogą do telewizji. Na małym ekranie nagie ciało jak gdyby nabiera nowych znaczeń moralnych, staje się bardziej agresywne i wyzywające. I — rzecz znamienna — znacznie bardziej szokuje w teatrze telewizyjnym niż w filmie. Jest tak jak gdyby teatralna konwencja żywego kontaktu z aktorem rzutowała na percepcję elektronicznego fantomu.

Przeważnie negatywna (potwierdzona badaniami) recepcja Erosa w TV posiada dwa wymiary: psychologiczny i socjologiczny, które składają się na ważny problem kulturowy. Sceny erotyczne ukazane w telewizji szokują znacznie bardziej aniżeli w kinie, gdzie są odbierane zupełnie w odmiennych warunkach. Ciemna sala i samotny w anonimowym tłumie widz, który chłonie filmowe obrazy w magicznym transie projekcji-identyfikacji zbliżają przybytek X muzy do gabinetu psychoanalitycznego, w którym grzeszne i występne emocje filmowego snu wyzwalają pacjenta z kompleksów i zahamowań. Odbiór filmu jest głęboko subiektywny i autentyczny, przebiegający poza wpływem społecznego otoczenia. Inaczej w telewizji — rodzinne otoczenie, często dystansowane pokoleniowo, nawyk natychmiastowej konfrontacji opinii, dyscyplinujący wpływ małej grupy nie sprzyjają zbyt radykalnemu naruszaniu milcząco przyjętych konwenansów, które posiadają ważki sens integracyjny. Dlatego też TV w domenie obyczajowej stanowi bastion konserwatyzmu.

Potwierdza go również wymiar społeczny recepcji telewizyjnej. Badania widowni wykazały, że tolerancja na innowacje w zakresie kultury erotycznej wzrasta w miarę zaawansowania pod względem wykształcenia. TV apelując do wielomilionowego audytorium musi odwoływać się tym samym do przekonań tradycyjnych mierzonych w skali całego społeczeństwa.

Stąd bierze się ważny problem edukacyjny: w jaki sposób telewizja może upowszechniać nową świadomość obyczajową i kształtować nowe wzorce moralne? Jakie metody socjo- i psychotechniczne winny znaleźć efektywne zastosowanie? Jakie mogą być rezultaty ewentualnej akcji?

Praktyczna odpowiedź na te pytania jest ważnym zadaniem dla środków masowego przekazu, które — jak na razie — bawią się drażnieniem zmurszałych Katonów.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

KSIĄŻKA

ZNAJOME MIEJSCE

W poezji dyskursywnej można wyodrębnić głównie dwa nurty: pierwszy, w którym poeta podejmuje dyskurs z otaczającym go światem na zasadzie zazwyczaj jednostronnego protestu, i drugi, w którym protest ten istnieje również, ale racje strony przeciwnej, a więc tego co się zwalcza, są także przedstawione, i dopiero z napięć wyrażonych w przeciwstawnych postawach odczytuje się właściwe poglądy twórcy. Istnieje jednak jeszcze jedna możliwość — wówczas, gdy z dyskursu nie wynika protest, gdy całość zamyka się w nierozerwalny krąg, łańcuch, w którym to, co wydawałoby się przeciwstawne zazębia się jednak ze swoim przeciwieństwem i w końcu stapia się z nim w uzupełniającą się całość. Z tej właśnie trzeciej możliwości korzysta A.W. Mikołajewski w swym debiutanckim tomie wierszy. Świat zewnętrzny stanowi w jego utworach zintegrowaną całość ze światem wewnętrznym, kreowanym, przy czym nie służy on do wyrażenia nastroju czy wrażeń estetycznych, a jedynie do podkreślenia tego, co autor proponuje jako indywidualną postawę poetycką. Już w utworze otwierającym książkę następuje zderzenie tych dwu światów: z jednej strony ukazane są sytuacje, w których podmiot liryczny zaznacza swój stosunek do otaczającego świata: z drugiej zdaje sobie sprawę z niepełności tych wszystkich doznań, gdyż już świat kreowany jest o wiele pełniejszy i bogatszy; i wreszcie z nigdy niepełnej ich wyrażalności, gdyż doskonałość okazuje się być stopniem nieosiągalnym.

Gdybyśmy jednak uwzględnili tylko tę jedną możliwość interpretacji, zubożylibyśmy to, co w poezji Mikołajewskiego najistotniejsze i najbardziej obsesyjne — problem śmierci. Problem ten występuje prawie w każdym utworze i sam poeta zdaje sobie z tego sprawę: „Pobieram więc specjalne nauki o swoim istnieniu. I przede wszystkim śmierć odkrywam z niebywałym talentem" — powie w utworze „Odpowiedzialność". Poza tym bowiem, iż śmierć może stanowić zespolenie omawianych już dwu światów, pozostaje jednak siłą groźną, niepoznaną, niezrozumiałą, a zarazem wszechobecną: „w jędrnym ciele swobodnej kobiety robactwo czyni swą powinność"; co nadaje jej wymiar najtragiczniejszego zdarzenia w życiu człowieka. Skoro więc śmierć jest wszędzie, a zarazem nie można uwolnić się od myśli o niej, należy nie tyle pogodzić się z nią (śmiercią), ile ją „oswoić". „Oswojenie to realizuje się w prozach poetyckich, drugiej części omawianego tomu. Już w „Odkryciu" następuje oswojenie się ze strachem i bólem fizycznym, (a są to przecież stany, których szczytowym momentem w myśl powszechnych przekonań jest śmierć) oraz ze śmiercią innego człowieka. Ironiczne zakończenie: „Odkryłem potencjał zbrodni we mnie i humanitaryzm jest mi teraz lżejszy, i spokojniej myślę o ludziach" staje się wyraźnym potwierdzeniem tej tezy, chociaż należy przy tym pamiętać o fragmencie wiersza „Odpowiedzialność": „Odpowiadam przed sobą za morderstwo, do którego nie jestem zdolny i nie mógłbym go popełnić z premedytacją — wyliczyłem każdy swój gest i ucieczkę..." Tak więc nawet ów „potencjał zbrodni" należy wyłącznie do świata wewnętrznego, świata, który choć tylko równoważny zewnętrznemu, to jednak istotniejszy dla człowieka, gdyż w nim właśnie ukryte jest to, co stanowi istotę człowieczeństwa.

Gdzie jednak, jeśli śmierć okazuje się możliwością nie do przyjęcia, dokonuje się owo zespolenie dwu światów, które nieustannie przewijają się w poezji Mikołajewskiego? Godząc się z tym, iż treścią życia jest cierpienie, zagrożenie śmiercią i tworzenie, zapytujemy jednak, gdzie istnieje ów moment, umożliwiający pisanie przy takim układzie odniesień, jaki proponuje poeta? I znajdujemy ów moment w klasycznym układzie greckim — bratem śmierci jest bowiem sen, a więc moment w którym podświadomość (zależna przecież jednak od świata otaczającego w jakiś sposób) dochodzi do głosu. Zacytujmy na zakończenie wiersz tytułowy, który w pełni upoważnia do wysnucia takiego wniosku: „nie ma snu który chodzi po naszych drogach/nie ma przepowiedni podczas snu — by zbudzić się nagle//i przekląć los//wszystko co jest — jest snem i przepowiednią/znajomym miejscem przejścia w ruch podziemny".

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

Andrzej Wiktor Mikołajewski — „Znajome miejsce", Wydawnictwo Łódzkie 1973.

MAGAZYNEK

PRZYPOMNIENIE

Ponieważ dawno nie czyniliśmy już tego, niniejszym przypominamy, że Łódź to polskie Hollywood. Koniec przypomnienia.

WESOŁA LEŚNA EDUKACJA

We wsi Pliszki grupa dziewcząt z klasy VI, pod wpływem filmów przyrodniczych nawiązała kontakt ze starym satyrem, żyjącym w pobliskim borze. Wzajemne stosunki układają się bardzo pomyślnie. Dziewczęta przynoszą satyrowi piwo z pobliskiej spółdzielni a w zamian satyr pokazuje im, jak jest zbudowany

DŁUGO, ALE DOBRZE

W Wytwórni Filmów Oświatowych z rozmachem przystąpiono do zdjęć nad nowym filmem. Twórcy filmu nie kryją trudności, uzbrojeni są jednak w cierpliwość, gdyż czas realizacji potrwa zapewne kilkaset lat. W swoim pasjonującym filmie pragną oni ukazać wreszcie, jak kropla drąży skałę. W końcowym momencie drażenia ma zostać wprowadzona wesoła muzyka.

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina"

K.I.G.

ŻYCZLIWOŚĆ DLA IDOLA

Jeden z bohaterów niezapomnianego serialu „Czarne Chmury" zapomniał raz zegarka. Było ciemno, nie wiadomo, rano czy wieczór.... Ratując się z opresji zapytał przygodnego spotkanego przechodnia o godzinę. „Dla Pana — odpowiedział poznając go przechodzień — jest godzina siódma". Uspokojony aktor wolno ruszył do teatru, lecz gdy przyszedł nie było tam już nikogo. Potem okazało się, że naprawdę była godzina dziewiąta, bo przechodzień przesunął dla popularnego aktora czas o dwie godziny, by ten nie spieszył się niepotrzebnie. Złośliwi koledzy mówili potem, że pomylił go ze Stanisławem Mikulskim.

CHWILA WSPOMNIEŃ NASZEGO SZWAGRA

Nasz szwagier przypomniał sobie wczoraj, że przy jego oddziale partyzanckim nie było kina objazdowego.

OWADY NIE SĄ GŁUPIE

Małorolny Hieronim Samosąd grzebiąc bezmyślnie kijem w mrowisku odkrył niespodzianie, że mrówki też mają kino. Wyświetlano właśnie jakiś produkcyjniak dla robotnic. Nie w ciemię bity rolnik pogadał jednak z królową matką i uzyskał od niej zaproszenie na cykl projekcji z życia wyższych sfer towaszyskich. Teraz Hieronim Samosąd siedzi sobie w lesie z okiem przy mrowisku i dobrze mu się powodzi.

HUMOR SAMURAJÓW

Oto dowcip, którym rozśmieszycie do łez każdego absolutnie Japończyka:

Spotyka się dwóch samurajów. Słońce, herbatą pachnie. „Cześć. Co robisz?" — pyta pierwszy samuraj. „Jakoś leci — grzecznie odpowiada drugi — najpierw harakiri a potem idę z narzeczoną do kina". „Czy aby nie pomyliłeś kolejności?" — delikatnie daje do zrozumienia ten pierwszy. „Fakt — ze wschodnią uprzejmością przyznaje ten drugi samuraj — harakiri robię z narzeczoną a do kina idę sam, bo film jest dozwolony od lat 18. Herbatą pachnie, słońce. Dowcip kiepski, nawet jak na samurajów.

Foto M. Myszkowski

Foto S. Gadomski

JAROSŁAW WARZECHA

GARBUS OD MŁYNA

Garbus obsługiwał diabelski młyn. Znał dobrze tę robotę. Pracował przecież przy wielu wesołych miasteczkach, które na Placu rozstawiały swoją maszynerię.

Powoli zanurzał w wypełnionej wodą skrzyni cztery żelazne lemiesze i wielkie koło z podwieszonymi wahadłowo wagonikami zaczynało się obracać. Kiedy nabrało już rozpędu, puszczał rączkę pokrywy do której były przymocowane lemiesze i obserwował ludzi w wagonikach. Nieraz to można było sporo zobaczyć. Moda była akurat na szerokie, powiewne suknie i bywało, że przy spadaniu wagoników odsłaniało się kolano i biegnące w mroki podsukienkowych tajemnic, udo. Zaraz jednak złośliwe ręce przytrzymywały powiewający materiał i Garbus nigdy nie widział, wyobrażanego sobie tyle razy, najważniejszego. Diabelskie koło nabierało rozpędu. Kręciło się coraz prędzej a dziewczyny piszczały, podmacywane chciwie przez fundatorów biletów. Garbus trochę się cieszył, ale przy łańcuchu zamykającym wstęp na pomost młyna czekała już kolejka do jazdy i trzeba było powoli zmniejszać szybkość obrotów, wyciągając żelazne lemiesze ze skrzyni napełnionej wodą. Głośniki ryczały jakieś obojętne melodyjki. Powoli przystawało wielkie kolisko. Wysiadali jedni a drudzy skwapliwie zajmowali jeszcze ciepłe miejsca. Garbus odbierał bilety, przedzierał wszystkie razem, rzucał pod nogi i uruchamiał maszynerię.

W niedzielę przychodzili do wesołego miasteczka koledzy z ulicy Garbusa. Łazili między strzelnicami, rzutniami do celu i karuzelami. Dziewczyny chodziły parami, trzymając się pod ręce. Włosy miały pokręcone od trwałej i ogryzione paznokcie. Jedna była przeważnie bardziej wygadana. Ta odpowiadała, gdy stawały zaczepione przez chłopców. Później szli razem pod diabelski młyn.

Garbus nie zwracał się do dziewczyn. Rozmawiał tylko z chłopakami. One zresztą patrzyły jakoś ponad nim, czekając niecierpliwie na zakończenie pertraktacji o jazdę. Trwało to zwykle kilka minut. Trzeba było przecież trochę przetrzymać, pokazać, że nie tak od razu. Zawsze się zgadzał, ale niech wiedzą, że może odmówić.

Kiedy młyn stawał, dziewczyny przechodziły obok Garbusa i wsiadały do wolnego wagonika. Chłopaki z ulicy umawiali się szybko za ich plecami, który z którą. Garbus włączał mechanizm i patrzył do góry na powiewające sukienki. Czasem, któryś z chłopaków robił w czasie jazdy ruch, że nieźle idzie.

Przy łańcuchu odgradzającym pomost, gromadzili się ludzie i trzeba było kończyć jazdę.

POWIĘKSZENIA

DWOJA Z LEKTURY „GŁOSU"

„Głos Robotniczy" pisze: „Na krytyczną informację zamieszczoną w Małym Głosie pt. „Bimbanie", a dotyczącą lasu rusztowań okalających od dawna blok 204 na Teofilowie otrzymaliśmy odpowiedź (...) dopiero ukazanie się notatki w „MG" sprawę załatwiło". Koniec cytatu.

Po pierwsze wokół bloku 204 na Teofilowie nigdy nie było lasu rusztowań.

Po drugie nigdy „Mały Głos" o tym nie pisał.

Po trzecie „Głos Robotniczy" pisał tylko o wiszącym dźwigu na bloku 204 i to nie w „MG", lecz w felietonie „Co słychać?"

Po czwarte dziennikarze „Głosu" mogliby w wolnych chwilach czytać własną gazetę.

DYZIO W „PANORAMIE"

Od jakiegoś czasu w telewizyjnej „Panoramie" — audycji zresztą znakomitej — pojawia się przemądrzały gadula zwany redaktorem Mikołajczykiem. Młody ten człowiek zachowuje się przed kamerą — delikatnie mówiąc — niegrzecznie. Przerywa rozmówcom w pół słowa, nie znosi sprzeciwu, nie dopuszcza do dyskusji... Lekceważenie swoje, a może brak obycia tylko, demonstruje nie tylko wobec rozmówców i kolegów, ale także wobec paru milionów telewidzów.

Ciekawi nas, skąd takie cudo wzięło się wśród grona składającego się z Miroszowej, Kozickiego, Rolickiego, Maziarskiego, Snopkiewicza?

SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

JERZY ANDRZEJEWSKI

IDZIE SKACZĄC PO GÓRACH

Co się stało? spytał, stał w progu wycierając mokre ramiona, zawsze niekroć widziałam go nagim, ogarniał mnie zachwyt, ale w tym zachwyceniu pięknością jego ciała był także ból, wtedy też mnie ból przeniknął, ból, że nigdy do ostatka jego ciała nie zdołam w siebie wchłonąć, zdałam sobie sprawę, że nie mogę powiedzieć, dlaczego go zawołałam, więc kiedy podszedł bliżej, powiedziałam: to jest bardzo piękny rysunek. Który? — spytał. Ten, pokazałam najbliższy rozpięty na blejtramie, nie widziałam jego twarzy, ponieważ stanął przed rysunkiem odwrócony do mnie plecami, wciąż wycierając ręcznikiem wilgotne ciało, rysunku też nie widziałam, bo go sobą zasłaniał, podeszłam bliżej i chciałam go objąć, ale ledwie go dotknęłam, drgnął i odsunął się ode mnie. Wyjdź! powiedział nie swoim głosem, pomyślałam, że żartuje. Wyjdź, powtórzył i wtedy się cofnęłam. Wyjdź, powiedział jeszcze raz, czy naprawdę nie mogę być chwilę sam?. Ależ tak, powiedziałam. Zamknij za sobą drzwi, powiedział, pamiętam: stałam potem przy oknie otwartym na ogród, wschodził rudy księżyc, terkotały świerszcze, ale w domu była cisza, nie pamiętam, jak długo stałam przy oknie, ale chyba długo, potem zgasiłam światło w łazience i górne w pokoju, rozebrałam się i położyłam, wciąż była cisza, żadnego odgłosu z pracowni obok, tylko te świerszcze wypełniające natrętnym suchym trzaskiem noc coraz bardziej jaśniejącą, już nie pamiętam, o czym myślałam, ale pamiętam, że nagle ogarnął mnie okropny lęk i chociaż tego nie chciałam, zawołałam: Alain! Boże, myślałam, spraw, żeby przyszedł i był przy mnie, chciałam jeszcze raz zawołać, kiedy wszedł, włożył stare dżinsy, które wkładał, kiedy pracował, chyba nigdy nie kochałam go i nie pragnęłam jak w tej chwili, bo miał głowę pochyloną. Chodź, powiedziałam cicho i kiedy wciąż stał bez ruchu, spytałam: pracowałeś? Tak, powiedział, pamiętam: zamknęłam oczy, żeby go nie widzieć, i tylko słyszałam, że podchodzi do tapczana, zmusiłam się, żeby oczu nie otworzyć, stał chwilę obok. Chodź, powiedziałam, choć nie chciałam tego powiedzieć, wtedy musiał się pochylić ku lampie, która stała przy tapczanie, ponieważ stało się ciemno, ale oczu wciąż nie otwierałam, znów była cisza, tylko te świerszcze w głębi, potem usłyszałam szelest zdejmowanych spodni i prawie w tym samym momencie poczułam jego ciało przy swoim, szepnęłam: kochanie, i wtedy bez pieszczot, w milczeniu, prawie niewidzialny w ciemnościach, z głową przechyloną na bok i wcale moich ust nie szukając, wszedł we mnie gwałtownie jak jeszcze nigdy, nigdy mnie nie brał w taki sposób, ale może dlatego, że to zrobił inaczej niż zawsze, poczułam rozkosz większą niż kiedykolwiek przedtem, chociaż przedtem nigdy większej rozkoszy od tej, jaką mi dawał, nawet nie umiałam sobie wyobrazić, po raz pierwszy pomyślałam, że wypełniona jego ciężką męskością chciałabym ponad zwykłe trwanie przedłużenia tych chwil zazwyczaj szybko przechodzących z pieszczotliwej tkliwości w niecierpliwy pośpiech, i on w ciemnościach prawie niewidzialny, z głową przechyloną na bok, tak właśnie to robił, jak pragnęłam, jakby odgadł moje pragnienie, a właściwie jakby je we mnie rozbudził, ponieważ nigdy nie pragnęłam więcej nad to, co mi dawał, nie wyobrażałam sobie, że mogę doznać większej rozkoszy nad tę, jaką mi wielokrotnie dawał, niecierpliwy i mnie tej swojej niecierpliwości użyczając, może wszystkich poprzednich nocy, kiedy byliśmy ze sobą, bardziej się z nim czułam zespolona, oddychałam jego przyśpieszonym oddechem, moje serce biło przyśpieszonym biciem jego serca, nasze ciała były jakby jednym ciałem dwugłownym i we wszystkich członkach cudownie podwojonym, a teraz, chociaż bliski, wydawał mu się obcy i daleki, lecz tym więcej pożądany, porzucił mnie w pewnym momencie i klęczał pomiędzy moimi nogami, z głową przechyloną na bok, na pewno mnie nie widząc, tylko smagłym zarysem ciała widoczny w ciemnościach, a mnie pozostawiając samotną na chłodnej i sztywnej pościeli, przecież jego wolą złączoną z nim, ale równocześnie samotną i jakby się miała za chwilę stoczyć w przepaść, przecież dość mocno z nim związaną, abym podążała w ciemność skrajem przepaści, nie słyszałam jego oddechu, nie słyszałam bicia jego serca, jego ciało prócz jego męskości ciężko się we mnie poruszającej nie było przy mnie, to było straszne i to było cudowne, pamiętam, że w pewnej chwili z głową nad skrajem przepaści i objęta rudą poświatą księżyca i klekotem świerszczy zamknęłam oczy i jęczałam, mówiłam: Alain, błagam cię, ale chociaż tak mówiłam, pragnęłam, aby mnie nie słyszał i robił to, czego chce — nagle się zatrzymała, mieli przed sobą rozległą perspektywę tuileryjskich ogrodów ze smukłym obeliskiem na placu Concorde, osadzonym w środku odległej Arki. Nie, mówi, nic pomiędzy nami nie zaszło i jeżeli można się czuć szczęśliwym, to chyba byliśmy szczęśliwi do samego końca.

(Fragment)

Jerzy Andrzejewski (ur. 1909 r.). Wybitny, współczesny pisarz polski. W roku 1939 otrzymał nagrodę Polskiej Akademii Literatury za powieść „Ład serca". Autor głośnej powieści „Popiół i diament", za którą otrzymał nagrodę tygodnika „Odrodzenie".

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 532. C-4, Nr indeksu 37006.